

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 9/636**

**2000**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

**K. WOLICKI:**

**ŚWIETNIE, CHOĆ NIE BEZNADZIEJNIE**

**J. KAJDAŃSKI: ŻABA PO KRAKOWSKU**

**B. OSADCZUK: MIĘDZY NIEMCAMI A ROSJĄ**

**M. SPANDOWSKI:**

**„KUP POLSCE BIAŁEGO KRUKA”**

# SPIS RZECZY

Krzysztof Wolicki:	<i>Świetnie, choć nie beznadziejnie</i> . . .	3
Stanisław Polaczek:	<i>O trzeźwą ocenę i skuteczną realizację reform gospodarczych</i> . . . . .	11
Andrzej Koraszewski:	<i>Niby rynek</i> . . . . .	20
Krzysztof Karwat:	<i>Śląsk Opolski zawsze polski?</i> . . . . .	33
Jarosław Kajdański:	<i>Żaba po krakowsku</i> . . . . .	38

## ARCHIWUM POLITYCZNE

Dominik Morawski:	<i>Tajwan – przyczółek wolności i demokracji na Dalekim Wschodzie</i> . . . . .	49
Beata Wilga, Tomasz Pichór:	<i>Kaliningrad</i> . . . . .	54
Magdalena Rostron:	<i>Syria – ciąg dalszy dynastii</i> . . . . .	61
Magdalena Rostron:	<i>Pakistańska junta</i> . . . . .	67
Janusz Mondry:	<i>Południowe perspektywy NATO</i> . . . . .	72
j.p.:	<i>Polski najazd na Moskwę</i> . . . . .	78

## WYWIADY „KULTURY”

Stanisław Beres:	<i>Duchy przeszłości. Rozmowa z Tomaszem Jastrunem</i> . . . . .	81
------------------	--	----

## O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Antoni Pospieszalski:	<i>Watykan religijny i polityczny</i> . . . . .	105
-----------------------	---	-----

## KRAJ

Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i> . . . . .	114
SMECZ:	<i>Z ukosa</i> . . . . .	127

## SĄSIEDZI

Bohdan Osadczyk:	<i>Między Niemcami a Rosją</i> . . . . .	133
------------------	--	-----

## KRONIKA KULTURALNA

Michał Spandowski:	<i>„Kup Polsce białego kruka”</i> . . . . .	147
–	<i>Wyróżnienia POLCUL Foundation</i> . . . . .	154
–	<i>Internetowa Księgarnia Akademicka</i> . . . . .	156

## NOTATKI REDAKTORA

		157
--	--	-----

## KSIAŻKI

Sławomir J. Żurek:	<i>Zbawienie pochodzi od Żydów</i> . . . . .	159
–	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> . . . . .	164



–	<i>Wydarzenia miesiąca</i> . . . . .	167
---	--------------------------------------	-----




A Chodakowski, R. Cukiernik, J. E. Kleszczyński, W. Popławski, A. Skupiński, K. Zamorski, M. Spandowski:	<i>Listy do Redakcji</i> . . . . .	169
--	------------------------------------	-----

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ      Wrzesień/Septembre      2000

**INSTYTUT**  **LITERACKI**

## WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy) – po raz 15-ty – DM 100,00 .....	F. 350,00
Maria Andrzejczek, Perth (Australia) – Dla uczczenia Pamięci Męża, Tadeusza Andrzejczka, w 13-tą rocznicę Jego śmierci .....	F. 1.515,00
Henryk Dunajewski, Aix-en-Provence (Francja) – zamiast kwiatów na grób Jerzego Monda .....	F. 500,00
Stefan Fulde, Offenbach (Niemcy) – zamiast kwiatów na grób Przyjaciela z ławy szkolnej, ś.p. Tomasza Wolframa, zmarłego 5 lipca 2000 w Warszawie .....	F. 500,00
Lech Krysiwicz, Montreal (Kanada) – po raz 14-ty – dol. can. 80,00 .....	F. 360,00
Barbara i Czesław Lorenc, Montreal (Kanada) – po raz 2-gi – dol. can. 100,00 .....	F. 450,00
Bolesław T. Łaszewski, Nowy Jork – po raz 30-ty – dol. 100 .....	F. 700,00
Dr Eugeniusz S. Łazowski – w 4-tą rocznicę śmierci Żony Marii z Tołwińskich Łazowskiej, Murki, żołnierza AK i b. adiunkta Wydziału Ekologii PAN – dol. 40,00 .....	F. 280,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja) – po raz 21-szy – ..	F. 100,00
Zbigniew Okołowicz, Sharon CT (USA) – po raz 13-ty – dol. 76 .....	F. 540, 00
Irena Pleszczyńska, Santa Barbara, CA (USA) – dla uczczenia pamięci Andrzeja Pleszczyńskiego, zmarłego 2 czerwca 1998 w Santa Barbara – Żona Irena, córka Helena i syn Władysław z rodziną – dol. 100,00 .....	F. 700,00

DZIĘKUJEMY

## Świetnie, choć nie beznadziejnie

1.

W połowie sierpnia pejzaż wyborczy potwierdza właściwie pierwsze, wstępne prognozy: batalia o prezydenturę jest już rozstrzygnięta. Wniosek taki wypływa przede wszystkim z fiaska operacji „Kwity...”. Sąd lustracyjny uznał prawdziwość oświadczeń Kwaśniewskiego i Wałęsy, którą UOP próbował zakwestionować dosyłając do sądu „nieznane” dotąd dokumenty. Właściwym celem uderzenia był oczywiście Kwaśniewski, aczkolwiek ostateczne zgnojenie założyciela Solidarności jest również bardzo potrzebne obecnemu kierownictwu AWS i jego sztabowi wyborczemu. Wałęsa jest *irrécupérable*, a po bardzo możliwej katastrofie wyborczej Krzaklewskiego mógłby mu się udać skuteczny powrót na solidarnościową arenę.

Operacja „Kwity” została zmontowana zadziwiająco nieskładnie. W sprawie Wałęsy UOP starało się przemieszczać dwa zupełnie różne wątki: starą historię przesłuchań młodego stoczniońca z r. 1970/71, o której sam Wałęsa mówił już był, że „coś tam podpisywał” i która zawędrowała do teczki „Bolek” do późniejszego użytku, oraz „rewelacyjne” kserografie zagubionych oryginałów z lat 80-tych zmontowane m.in. przez SB w celu zablokowania kandydatury Wałęsy do Nagrody Nobla w 1982 r. Sąd odmówił zdecydowanie pójścia śladami ekipy Macierewicza/Naimskiego (ten ostatni podtrzymał jako świadek swoje opinie z 1992 r.) i nie dał też posłuchu podprokuratorowi lustracyjnemu, Kaubie, który bronił ostatniej transzei i wnosił o umorzenie sprawy bez rozstrzygnięcia o prawdziwości oświadczenia Wałęsy.

Sprawa Kwaśniewskiego była przygotowana jeszcze bardziej niechlujnie. Jądro stanowiła postać „Alka” – „źródła piszącego w kierownictwie *Życia Warszawy*” – zarejestrowanego pod numerem, który się powtórzył przy zmianie zanumerowania w dzienniku rejestracyjnym, gdzie figurował Kwaśniewski jako „osoba zabezpieczana”, tzn. nadzorowana. Brak jednak, co bardzo mocno podkreślono w uzasadnieniu sentencji, jakiegokolwiek dokumentacji zazwyczaj towarzyszącej w aktach takiej podmianie numeru rejestracyjnego. Skądinąd Kwaśniewski, w latach 80-tych redaktor prasy młodzieżowej, nigdy nie pracował w *Życiu Warszawy*. Agent „zabezpieczający” Kwaśniewskiego oraz zwierzchnik tegoż w SB, zeznając w sądzie stanowczo zaprzeczyli, jakoby ich „zabezpieczany” był informatorem. Sąd lustracyjny odrzucił wniosek prokuratora Nizieńskiego o umorzenie i uznał prawdziwość oświadczenia Kwaśniewskiego.

Znajomy senator AWS mówił mi jeszcze przed finałem tej afery, że Marian Krzaklewski zdecydował się kandydować dopiero po tym, jak zapewniono go, że są kwity na Kwaśniewskiego. Byłby to więc pierwszy przeciek w tej sprawie, następnym poinformowanym był redaktor *Gazety Polskiej* Piotr Wierzbicki, który zresztą już tradycyjnie jest wdzięcznym odbiorcą rewelacji z UOP. Komisja sejmowa do spraw służb specjalnych zwołana w pośpiechu ustaliła, że UOP wprowadzie „nie naruszył prawa”, ale dopuścił się przynajmniej trzech „poważnych uchybień” w lustrowaniu Aleksandra Kwaśniewskiego. Możliwym naruszeniem prawa było nieprzesłanie dokumentów ewentualnie obciążających prezydenta od razu, w odpowiedzi na pismo rzecznika interesu publicznego Bogusława Nizieńskiego z marca 1999 – i „odnajdywanie” ich jak na zamówienie tuż przed posiedzeniem sądu lustrującego kandydata Kwaśniewskiego. UOP wybrał się wskazując, że lustrowanie kandydatów jest odrębną procedurą i nie odbywa się na wniosek rzecznika. Orzeczenie o uchybieniach przegłosowało trzech członków komisji: Siemiątkowski (SLD), Lityński (UW) i Piotrowski (AWS-PC). *Votum separatum* złożył Konstanty Miodowicz (AWS), eks-szef kontrwywiadu z czasów Krzysztofa Kozłowskiego. Młody Miodowicz zachował z owych czasów niedobry nawyk „solidarności z firmą”. Leszek Piotrowski ze swej strony ma tę samą firmę

na wątrobie w związku ze znaną aferą inwigilacji partii. Zwraçało uwagę, że koordynator służb specjalnych, członek rządu Janusz Pałubicki i, tym bardziej, jego zwierzchnik – premier Jerzy Buzek w ogóle „nic nie wiedzieli” o aferze. Podkreślał to lojalnie szef UOP, płk Nowek, a jak było naprawdę dowiemy się (jeśli w ogóle) dopiero po zmianie układu politycznego. Kwaśniewski wychodząc z sądu zapowiedział, żeby „winni nie spali spokojnie”.

Wiele wskazuje, że realnym celem operacji nie było orzeczenie sądu eliminujące Kwaśniewskiego z gry – nawet półgłówek rozumie, jakim wstrząsem byłoby to dla kraju i jego pozycji międzynarodowej – ale narobienie hałasu i dostarczenie amunicji do łatwych oszczerstw agitatorom. Jak dotąd, efektu tego nie udało się uzyskać. Pierwszy sierpniowy sondaż CBOS, przeprowadzony już w czasie trwania lustracji, przyznaje Kwaśniewskiemu niezmiennie 62% wskazań, natomiast Krzaklewski dostaje 6% (Olechowski 10%, Kalinowski i Wałęsa po 4%). Sympatie zaś do stronnictw układają się, sądząc z intencji głosowania w wyborach parlamentarnych, następująco: SLD – 45%, AWS – 17%, PSL – 10%, Unia Wolności – 9%, ROP – 5% (OBOP, w końcu lipca). Stąd wniosek sformułowany na wstępie.

## 2.

Zerwanie koalicji i wyjście Unii Wolności z rządu sprawia, że w kierownictwie AWS doraźne względy taktyczne, zwłaszcza wyborcze, wypierają bardziej długofalową strategię. Wyraża się to, by zacząć od najbardziej niewinnych efektów, wzmożonymi „akcjami symbolicznymi”: weterani, kombatan-ci i harcerze na front! Teraz mamy akcję oczyszczania Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie od wszelkich komunistycznych naleciałości, Krzyża Grunwaldu itd... Innymi słowy, AWS w nadchodzących miesiącach robi, co zdoła, by mobilizować cienie i przywoływać przeszłość (dowolnie wybieraną) na pomoc Marianowi Krzaklewskiemu, który nie chce przyjąć do wiadomości, że przegrywa z Kwaśniewskim właśnie jako z „prezydentem wszystkich Polaków”, nie zaś – walczącym postkomunistą. Kwaśniewski reprezentuje w tych wyborach rację stanu i autorytet państwa, a im bardziej jego kontrkandydat będzie wywijał szablą spod Kircholmu, tym ta

identyfikacja stanie się wyraźniejsza. To, jako się rzekło, najbardziej niewinne efekty. Ważniejsze, że AWS chce teraz zrealizować pomysły ze swego programu, które w rządzie koalicyjnym były skutecznie blokowane. Najsylniejsze z nich to reprivatyzacja i tzw. powszechne uwłaszczenie.

Ustawa uwłaszczeniowa, która we wrześniu powróci do Sejmu z poprawkami Senatu, została poparta przez PSL i dlatego przeszła w pierwszym podejściu trzema głosami większości. Unia Wolności i SLD były przeciw, doradcy prezydenta i niektórzy doradcy rządu również. Kwaśniewski na pewno tej ustawy dobrowolnie nie podpisze: albo zawetuje, albo odeśle do Trybunału Konstytucyjnego (ustawa wywłaszcza gminy, spółdzielnie mieszkaniowe i związki ogródków działkowych). Tak czy inaczej, ustawa w końcu zostanie zablokowana – i to jest właśnie efekt, na który liczy sztab polityczny AWS, niezależnie od szczerych intencji pp. Wójcika i Bieli, autorów tekstu, i niezależnie też od równie szczerych pragnień ludzi na dole, którzy chcieliby wreszcie coś mieć na własność z tej całej przemiany ustrojowej. Gdyby ustawa weszła w życie, okazałoby się wprędce, jakie się w niej kryją niesprawiedliwości i ile wznieca ona zawiści (bo tamten dostał elegancki lokal ze 100 m<sup>2</sup>, a ja klitkę do remontu...). Wyszłoby też na jaw, ile obdarowani muszą dopłacić w postaci kosztów utrzymania nowych nabytków. Jeśli jednak nic z tego w końcu nie wyjdzie, ci wszyscy, którzy mieliby coś dostać, obrócą się z gniewem przeciw SLD, UW i prezydentowi. Jest to, ostatecznie, jeszcze jeden przykład, jak stare obietnice, że transformacja ustrojowa jest dla wszystkich, owocują próbami rozdawnictwa „po równo”, poczynając od „100 mln dla każdego” (Lech Wałęsa w 1990). Ale nasi liberałowie i socjaliberałowie powinni raczej milczeć nad tą trumną. Sami w swoim czasie przekreślili hasła Rzeczypospolitej samorządnej, skręcili nadzieje ludzi w kanał Narodowych Funduszy Inwestycyjnych (Janusz Lewandowski z UW i Wiesław Kaczmarek z SLD), które okazały się ekonomiczną bzdurą i okazją do masowych przekrętów dla „swoich”. Dzisiaj, kiedy nowy kapitalizm jest ukształtowany i dopięty na guziki, łatwo im dowodzić, że na rozdawnictwo w tym systemie nie ma miejsca.

O ile w sprawie uwłaszczenia linia podziału w Sejmie biegnie pomiędzy „nieuczonym plebsem” z PSL i AWS, a

„ekonomistami” z UW i SLD, o tyle w sprawie reprivatyzacji dochodzi do głosu święte prawo własności wstecz do św. Tomasza: po jednej stronie są arystokraci z AWS (bardziej pazerni) wspierani przez Kościół i burżuje z UW (bardziej propaństwowi), a po drugiej komuchy (SLD) i chłopstwo (PSL). Wszyscy poza kierownictwem AWS wiedzą, że reprivatyzacja inna niż symboliczna nie sumuje się ani z budżetem państwa ani tym bardziej z powszechną reprivatyzacją. Tadeusz Koss, który na czele byłych właścicieli walczy wytrwale o działkę po dziadku na środku placu Defilad w Warszawie, oświadczył w związku z tym wprost, że ustawa uwłaszczeniowa przekreśla „ostatecznie” ustawę reprivatyzacyjną, tzn. „nadzieję dwóch i pół miliona” b. właścicieli i ich spadkobierców (demograficznie, najwidoczniej, najbardziej prężna klasa, zaraz po kombatantach). Nie jest tak źle: podobnie jak ustawę uwłaszczeniową z pomocą PSL, tak ustawę reprivatyzacyjną z pomocą UW – kierownictwo AWS zdecydowane jest przepchnąć w parlamencie po to, żeby prezydent znowu miał co wetować, lub przynajmniej zapowiedzieć *veto*, bo przed 8 października reprivatyzacja chyba nie zdąży. Kwaśniewski jako negatywista, to jeszcze jeden pomysł sztabu wyborczego AWS. Niepodobna mu odmówić pewnej skuteczności, ale to kandydat Kwaśniewski ze swoimi 62% wskazań będzie musiał wliczyć w koszty.

Presja kampanii wyborczej w połączeniu z relatywną swobodą ruchów w jednopartyjnym rządzie, który poparcia w parlamencie szuka zależnie od okazji, po prawej, po lewej i w środku sprawiają, że gabinet Buzka robi też rzeczy słusznie pożądane przez wyborców. W ten np. sposób minister Handke, profesor wyższej uczelni, który przez pół roku nie umiał się doliczyć, ile się należy gminom na podwyżki dla nauczycieli, złamał się w końcu i „honorowo” podał do dymisji, za co był jeszcze chwalony(!), choć po prawdzie należało go po prostu wyrzucić z posady. Razem z nim, ale trochę później, poleciał jeszcze jeden wiceminister i jeden dyrektor. Tyle dobrego, choć pieniądze gminy nadal muszą wydierać po kawałku. W resorcie zdrowia pani Cegielska jakoś znikła z ekranów, ale słychać tam, że składkę na zdrowie trzeba będzie jednak podnieść (do 9% z obecnych 7,5% w trzech rocznych ruchach – SLD proponuje, żeby od razu w budżecie 2001).

Rodzinom wielodzietnym (od trojga dzieci wzwyż) rząd przyznał jednorazowo po 145 zł na dziecko, niezależnie od dochodu w rodzinie. Pani Smereczyńska, pełnomocnik rządu, dowodziła, że szlachetni bogacze sami się zrzekną zasiłku po chrześcijańsku, za to eseldowcy krzyczeli, że rząd wspiera nie dzieci lecz prokreację: to jest dodatek na reprodukcję... W ten sposób zasady chrześcijańskie starły się ze sprawiedliwością dystrybucyjną po marksowsku. Tanio, za 145 złotych...

Ale debata budżetowa położy kres tym igraszkom. Odbędzie się już po wyborach prezydenckich i przymus ekonomiczny zderzy się w niej frontalnie z interesem przetrwania rządu. Opozycja będzie się musiała zdecydować, czy chce, żeby rząd przetrwał do końca kadencji razem z budżetem, który sobie przygotowuje – i pogrążył się politycznie jeszcze bardziej, czy też w lęku przed dziedzictwem po rządach AWS, zaproponuje przedterminowe wybory i ewentualny nowy układ polityczny. Ale tu już wchodzimy w sferę spekulacji. (Preliminarz budżetowy nieuchwalony jest wprawdzie realizowany miesiąc po miesiącu, ale po wyborach nowa ekipa go nowelizuje).

Sytuacja jest mianowicie świetna, ale nie beznadziejna... Przepraszam za stary dowcip, wynika on wprost ze studium „Diagnoza społeczna 2000”, opracowanego z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Statystycznego przez pięciu profesorów i wielu ekspertów, za pieniądze (w 70%) kancelarii premiera. Kierował zespołem autorów Janusz Czapiński, psycholog społeczny z Uniwersytetu Warszawskiego, który powiada, w wywiadzie dla *Gazety Wyborczej*, że najbardziej zaskoczył go „rozdzźwięk między obiektywną poprawą sytuacji materialnej Polaków a rosnącym niezadowoleniem z poziomu życia”. Według Czapińskiego „w ostatnich latach nastąpił radykalny i gwałtowny spadek liczby rodzin, które nie są w stanie z bieżących dochodów pokrywać bieżących wydatków czyli związać końca z końcem. W 1997 r. było 66% takich gospodarstw domowych, w lutym 2000 r. – tylko 45%. To ogromny awans materialny, a równocześnie zadowolenie społeczne jest dziś najniższe od 1994 r. Im lepiej nam się wiedzie, tym bardziej narzekamy...”. Tyle konstatacji. Dalszy wywód mniej zasługuje na cytowanie – kto chce, może przeczytać w *Gazecie Wyborczej* z 12-13 sierpnia – ponieważ wydaje mi

się, że psycholog Czapiński nie całkiem radzi sobie z motywacjami obywateli, kiedy podejmują decyzje polityczne. Nastroje w Polsce, jak słusznie podnosi, pogorszyły się gwałtownie po wprowadzeniu czterech reform (są liczby na poparcie tej znanej tezy). Zdaniem profesora reformy były jednak „niezbędne”, a „powołaniem polityków jest wprowadzanie zmian” (!), choć te akurat były „przygotowane na chybką”. Najwidoczniej jednak irracjonalni Polacy nie są przekonani do niezbędności reform i zwłaszcza ich sprawiedliwości oraz, równocześnie, efektywności: Polacy boją się reform i nie wierzą, by korzyści z nich równoważyły straty. Prof. Czapiński zdaje się nie zauważać, że stopniowo odradzają się w Polsce wątpliwości, czy w ogóle idziemy dobrą drogą (choć nadal nie widać lepszej). Ostatnio bardzo wyraźnie sformułował te wątpliwości Jacek Kuroń – w artykule w *GW* i w dyskusji w Klubie im. Zofii Kuratowskiej. – A trudno o człowieka, który dla stworzenia Trzeciej Rzeczypospolitej zrobił więcej od Kuronia...

„Ostatecznie – mówi dziennikarka rozmawiająca z Czapińskim – zaledwie 8 procent społeczeństwa akceptuje transformację. Ponad połowa twierdzi, że przed 1989 r. żyło im się lepiej. Lepiej było z pustymi sklepami, z kartkami na wszystkie podstawowe produkty. Nie rozumiem”.

– Nie lepiej – poprawia profesor – ale łatwiej.

„Żyj niebezpiecznie” – był kiedyś taki slogan reklamowy. Istotnie, wielu ludzi ma świadomość, że żyje coraz niebezpieczniej, nawet jeśli nie jeżdżą samochodem i uprawiają własny ogródek.

Na debatę programową przed wyborami prezydenckimi jeszcze czekamy, właśnie miał ją zainicjować Krzaklewski. Ale nie trzeba sobie robić nadziei: dźwięnie polityki wymknęły się już z rąk polityków. Jesteśmy w dryfie.

### 3.

Możliwe są natomiast przegrupowania w ukształtowanych formacjach, poza SLD, gdzie oczywiście, nie będzie się sądzić zwycięzców, a kryzys rządu „irracjonalnymi Polakami” dopiero się szykuje: miły i dobry budżet w r. 2001 i potem 2002 nie będzie możliwy, napięcia są zbyt duże...

Na prawicy zupełnie się dotychczas nie liczące ugrupowania, jak stronnictwa Łopuszańskiego, Olszewskiego, część KPN, rozpatrują możliwość zgrupowania w konkurencyjną dla AWS formację, którą połączy odmowa akcesu do Unii Europejskiej, przynajmniej na obecnie formułowanych warunkach. Taka formacja będzie mogła liczyć na dobre kontakty ze znaczną częścią aktualnego AWS, zwłaszcza ZChN, gdzie zwyciężyła grupa wicemarszałka Sejmu, Zająca, oraz ze stronnictwami chłopskimi.

Jarosław Kaczyński z nieśmiertelnego Porozumienia Centrum, które wyłania się wciąż jak Feniks z popiołów każdej po kolei koalicji, nie rezygnuje z samodzielnej gry, mimo że mu brata Lecha zrobiono ministrem sprawiedliwości. Będzie zmieniał kodeks karny i doludniał już przepelnione więzienia, ku radości współobywateli terroryzowanych przez kryminalistów i chyba jeszcze skuteczniej przez redaktorów, którzy z kryminalistów żyją.

Obie inicjatywy niewiele będą znaczyć, jeśli AWS zachowa jedność i minimum spoistości. Ale jest coraz mniej prawdopodobne, by tę jedność zdołało zabezpieczyć przywództwo Krzaklewskiego. Teraz będą obchody Sierpnia, a zaraz potem politycy AWS zaczną się rozglądać za bezpiecznym lądowiskiem. Jeśli Olechowski wypadnie dobrze w głosowaniu, lepiej niż Krzaklewski, to może się okazać *a posteriori*, że to on był wspólnym nieformalnym kandydatem liberałów wszelkiej maści, i z Unii Wolności, i z AWS, i z niezrzeszonych, i ot, płaszczyzna na lądowisko gotowa.

Zagadką pozostaje jednak, co zrobi Unia Wolności. Prezes Balcerowicz został wprawdzie doradcą prezydenta Gruzi, ale będzie przebywał w Warszawie i podobno nie zamierza rezygnować z szefostwa w Unii. Unijna większość czeka jednak niecierpliwie na Kongres w grudniu, żeby erę Balcerowicza rozliczyć i eks-wicepremierowi podziękować.

Warszawa, 15 sierpnia

Krzysztof WOLICKI

## O trzeźwą ocenę i skuteczną realizację reform gospodarczych

### Fakty

Jest rzeczą bezsporną, że dla 40 milionów ludzi, zamieszkujących ziemie między Odrą i Bugiem, podjęte w 1989 r. reformy gospodarcze stały się wydarzeniem wielkiej wagi, bo od reform zależał rozwój gospodarczy, a z kolei ten rozwój warunkuje siłę, dobrobyt i bezpieczeństwo kraju. Wyniki pierwszych dziesięciu lat realizowania reform nie rysują się jednoznacznie. W kraju zachodzi wiele pozytywnych, wszędzie widocznych zmian; nastąpiła radykalna poprawa zaopatrzenia rynku; rosła, nieraz zadziwiająco szybko, inwestycje budowlane; w wielu gałęziach przemysłu wprowadza się nowoczesne, dotąd niestosowane, technologie. A jednak, mimo to, nie można stwierdzić, że reformy już przyniosły duże sukcesy tak długo, jak długo utrzymuje się wysokie, ponad dwumilionowe bezrobocie, występują ogromne deficyty bilansu handlowego i płatniczego, a rosące dysproporcje w dochodach różnych grup ludności stają się częstym źródłem wybuchów społecznego niezadowolenia i masowych protestów nie tylko robotników i chłopów, ale i lekarzy, pielęgniarek, nauczycieli, a nawet policjantów.

Są zatem podstawy, aby sądzić, że dotychczasowe rezultaty reform nie spełniają oczekiwań społeczeństwa, ani obietnic jak zwykle zadowolonych z siebie reformatorów.

Niekorzystne zjawiska w gospodarce nie powstrzymują

jednak niektórych polityków od wypowiedzania niezwykle entuzjastycznych opinii o sytuacji kraju, a zatem pośrednio też opinii o gospodarce i o dotychczasowych rezultatach reform. Tak np. niezbyt dawno prof. Zbigniew Brzeziński dowodził, że dzisiejsza sytuacja Polski jest lepsza, niż kiedykolwiek była w ciągu minionych trzystu lat. Podobnie optymistycznie brzmiała wypowiedź marszałka Sejmu Macieja Płażyńskiego (z okazji dziesiątej rocznicy pierwszego posiedzenia tzw. sejmiku kontraktowego), że minione dziesięciolecie było najlepszym dziesięcioleciem w historii Polski. Głoszenie takich opinii, w świetle dotychczasowych rezultatów reform, nie tylko nie ma uzasadnienia, ale jest szkodliwe, gdyż odwraca uwagę od popełnionych błędów i paraliżuje dyskusję nad pożądanymi kierunkami ich korygowania. W istocie duże zdziwienie może budzić fakt, że reformy, spotykające się z tyloma wątpliwościami, zastrzeżeniami i protestami, inspirują tak mało rzeczowych dyskusji. Zazwyczaj uczestniczące w nich strony zajmują stanowiska z góry określone przez sympatie lub antypatie polityczne, z reguły nie wnikając w problemy merytoryczne. To ubóstwo dyskusji utrudnia dojście w procesach reform do rozwiązań lepszych od aktualnie realizowanych. Znalezienie takich rozwiązań jest jednak konieczne, jeżeli te reformy mają służyć podnoszeniu sprawności gospodarowania. Dlatego, nie pretendując do wyczerpania tematu, a tylko w celu próby wskazania możliwości i celowości innego podejścia do dyskusji o reformach, chcę zwrócić uwagę na trzy – w moim pojęciu – najistotniejsze błędy popełnione w toku realizacji dotychczasowych reform.

### 1. Zbyt szeroki front reform

Podejmowanie zadań przerastających możliwości wykonawców zdarza się w wielu dziedzinach, również w polityce gospodarczej. To przed tego rodzaju błędami ostrzegał wybitny polski ekonomista, twórca „Trzyletniego Planu Odbudowy Gospodarki, 1947-1949”, prof. Czesław Bobrowski, gdy wskazywał na niebezpieczeństwo w planach „nadmiaru słusznych celów”. Jednoczesne rozpoczęcie i potem prowadzenie reform w czterech tak rozległych obszarach, jak administracja,

służba zdrowia, emerytury i edukacja, to – można powiedzieć – niemal klasyczne wejście w pułapkę, którą miał na myśli Bobrowski. Skutki nie dały na siebie długo czekać. Najpowszechniej występującą bolączką jest pojawiający się w nowych układach administracyjnych brak środków na finansowanie działalności, czy to bieżącej, czy inwestycyjnej. W rezultacie nie buduje się autostrad, wstrzymuje budowę lub remonty dróg, placówek służby zdrowia, szkół. Liczne instytucje i przedsiębiorstwa, w obliczu braku środków finansowych, zmuszane są do szukania ratunku w drogich kredytach, często prowadzących do upadłości.

W tej sytuacji, dla zapewnienia sprawniejszej realizacji reform, należy rozważyć celowość skoncentrowania się w pierwszej fazie na dokończeniu reformy administracji, a w fazach dalszych przystępować kolejno do reformowania służby zdrowia, emerytur i edukacji.

### 2. Brak ochrony grup ludności najbardziej zagrożonej przez reformy

Znaczenie tego czynnika silnie podkreślał inny wybitny przedstawiciel polskiej myśli ekonomicznej, prof. Michał Kalecki. Analizując rozwój polskiej gospodarki po II wojnie światowej, za szczególnie ważną cechę tego rozwoju uznawał on zmiany w kierunku bardziej sprawiedliwego podziału dochodu narodowego. Wzrost dochodów chłopów i robotników niewykwalifikowanych był tym ważniejszy, że dokonywał się w społeczeństwie, w którym te dwie grupy ludności tradycyjnie skrajnie biedne, chyba po raz pierwszy w historii osiągnęły względnie godziwe warunki bytu. Oczywiście byłoby nie do przyjęcia, gdyby sytuacja materialna tych grup w wyniku reform ponownie miała ulec pogorszeniu.

Ten element polityki społecznej w trakcie przeprowadzania reform został zaniedbany, a zaniedbanie to było tym bardziej rażące, im bardziej niektóre grupy uprzywilejowane wykorzystywały wszelkie okazje dla zwiększania swoich dochodów. Jest zrozumiałe, że przyjęcie rozwiązań, które pełniej uwzględniłyby wymogi sprawiedliwości społecznej, stworzyłyby bardziej przychylny dla reform nastrój



w społeczeństwie i tym samym lepsze warunki dla ich realizacji. Konieczna jest zatem większa wrażliwość reformatorów na sytuację materialną mniej zamożnych grup ludności. Tej wrażliwości brakuje. Tak można sądzić, gdy np. obserwuje się, jak opornie czasem przebiegają prace nad decyzjami przyznającymi pomoc znajdującym się w sytuacjach kryzysowych producentom rolnym. Do podobnego wniosku może skłaniać też niezbyt przemyślana propozycja wprowadzenia podatku liniowego od dochodów osób fizycznych, który powodowałby zwiększenie obciążeń podatkowych w niskich grupach dochodowych, a obniżał natomiast obciążenia podatkowe w grupach wysokodochodowych.

### 3. Zaniedbanie równowagi zewnętrznej w gospodarce

Równowaga dewizowa, równowaga bilansu płatniczego, albo równowaga zewnętrzna, to są różne nazwy używane dla określenia tego samego zjawiska, jakim jest w każdym kraju równowaga wpływów i wydatków ponoszonych w walutach zagranicznych.

W prasie od dość dawna czytać można alarmistyczne wiadomości o wysokich deficytach bilansu płatniczego Polski. Fragmentaryczne i często niespójne informacje, jakie w tej sprawie od czasu do czasu ukazują się, niewiele wyjaśniają, zwłaszcza w sytuacji całkowitej pustki informacyjnej, jaka okrywa z różnych powodów problematykę bilansu płatniczego Polski od kilkudziesięciu lat. Jakkolwiek może to brzmieć niewiarygodnie, jest faktem, że ostatnia specjalistyczna publikacja Głównego Urzędu Statystycznego, zawierająca urzędową statystykę bilansu płatniczego Polski, ukazała się za rok 1935 (wcześniej publikacje takie ukazywały się regularnie za każdy rok). Wiele przyczyn spowodowało zaniechanie wydawania specjalnych statystyk bilansu płatniczego, w gruncie rzeczy do dnia dzisiejszego. Brak ciągłości w publikacjach statystycznych zawsze stwarza trudności w każdym obszarze badań ze względu na powstające luki w informacjach, zachodzące zmiany w metodologii obliczeń, w warunkach gospodarowania, zmiany w otoczeniu zewnętrznym itd. Gdy nieciągłość informacji albo i brak informacji występuje

na przestrzeni ponad sześćdziesięciu lat, to jest to zjawisko niezwykle, brzemienne w skutkach, którego przyczynom i nieraz głęboko sięgającym konsekwencjom warto poświęcić trochę uwagi.

Sięgając do odległych początków, wspomnijmy, że bilanse płatnicze za rok 1936 i 1937 zostały opracowane w kierowanym przez prof. Edwarda Lipińskiego Instytucie Konjunktur i Cen, lecz wybuch wojny w 1939 r. uniemożliwił ich publikację. W latach wojny (1939-1945) bilanse oczywiście nie były opracowywane. W latach PRL (1946-1989) bilanse były opracowywane, lecz podobnie, jak we wszystkich krajach socjalistycznych, nie ukazywały się w druku, gdyż przy obowiązujących, rygorystycznych klauzulach tajności, krąg osób mających dostęp do statystyk bilansu płatniczego był znikomy. Dziś zaś – po ponad 60-ciu latach od ostatniej publikacji – w dalszym ciągu brak jest specjalistycznego wydawnictwa, poświęconego bilansowi płatniczemu, a dotyczące tego bilansu dane liczbowe, publikowane w ogólnych rocznikach statystycznych lub różnych biuletynach, są z reguły ogólnikowe i oczywiście nie zawierają ani wyjaśnień metodologicznych, ani materiałów analitycznych.

Bilans płatniczy jest ważnym, ale mało wykorzystywanym narzędziem polityki gospodarczej. Ale narzędzie mało wykorzystywane systematycznie traci na znaczeniu.

Coraz mniej ludzi potrafi go sporządzać, czytać, analizować. W efekcie, chociaż często mówi się i pisze o bilansie płatniczym, o deficytach obrotów bieżących, to ciągle niewiele można się dowiedzieć skąd biorą się te deficyty, jakie są ich główne przyczyny, czy, kiedy i jakie środki zamierza się podjąć celem ich stopniowej likwidacji. W jakim zakresie to zadanie powinniśmy realizować w drodze promocji eksportu, albo przez racjonalizację importu. Można stawiać również pytania głębiej sięgające w samą istotę procesów gospodarczych, jak np. czy z uwagi na uwarunkowania finansowe i demograficzne gospodarki nie trzeba prowadzić selektywnej polityki inwestycyjnej, świadomie rezygnując z inwestycji służących oszczędzaniu pracy i koncentrując się na inwestycjach służących budowie nowych warsztatów pracy?

Problemy równowagi zewnętrznej będą nabierać coraz większego znaczenia w związku z przyjęciem Polski do

NATO i zamierzonym wstąpieniem do Unii Europejskiej. Udział w tych organizacjach pozwala przewidywać dużą intensyfikację stosunków gospodarczych Polski z zagranicą, co jest oczywiście zjawiskiem korzystnym, któremu jednak towarzyszyć będzie powstawanie nowych i trudnych zobowiązań otwierania rynków krajowych: towarowych, kapitałowych i pracy (dla importu z krajów Unii). Aby móc podołać takim zobowiązaniom trzeba nie tylko doprowadzić do równowagi bilansu płatniczego, ale także stworzyć system doskonałej ewidencji zachodzących zmian w tej równowadze i system sprawnego reagowania na te zmiany.

Celem tej ostatniej uwagi nie jest poddawanie w wątpliwość celowości uczestnictwa Polski w NATO i Unii Europejskiej. Celem tym jest natomiast zwrócenie uwagi, iż, aby z tego faktu uczestnictwa móc wyciągać korzyści potencjalnie możliwe do uzyskania, trzeba już dziś podejmować intensywne wysiłki, bez których to uczestnictwo może przynieść więcej szkód, niż korzyści. Nie wydaje się, aby świadomość takiego niebezpieczeństwa można było zaobserwować wśród sterników polskiej gospodarki, czy gospodarczych ekspertów.

### *Wskazania geopolityki*

Inaczej niż poprzednio, poniższe uwagi nie wynikają z jakichś błędów w polityce gospodarczej, popełnionych w bliższej czy dalszej przeszłości. Inspiracją dla nich są natomiast zjawiska występujące w stosunkach międzynarodowych, w światowej gospodarce i polityce. Te zjawiska wywierają wpływ na gospodarkę każdego kraju. Ale z racji samego usytuowania geograficznego ten wpływ zawsze był bardzo duży w przypadku Polski, a dziś jest wielokrotnie większy z najrozmaitszych przyczyn, m.in. chociażby takich, jak niebywały postęp techniki, globalizacja i istnienie broni atomowej.

Podobnie jak poprzednio, tak i tu, odwołuję się do stanowiska autorytetu naukowego, tym razem prof. Jana Karskiego, polskiego naukowca, zamieszkałego w Stanach Zjednoczonych. Prof. Karski jest autorem interesującej i ważnej tezy, że w zmieniających się warunkach politycznych,

ustrojowych i systemowych w Polsce i w świecie, Polska powinna starać się pełnić rolę swego rodzaju pomostu między Wschodem i Zachodem. Bez względu na to, czy bylibyśmy zdolni taką rolę pełnić, czy kontrahenci byliby skłonni taką rolę akceptować, teoretycznie taką propozycję warto rozważyć. A może właśnie w tej trudnej, dla wielu chyba przygnębiającej atmosferze stosunków międzynarodowych, mogłoby się okazać, że ten „polski pomost” nikomu nie przynosi specjalnej szkody, a jakiemuś krajowi nawet przynosi korzyść.

Tę rolę pomostu Polska może pełnić w stosunku do wielu krajów, a więc Białorusi, Litwy, Ukrainy, Rosji, dążąc jednocześnie do poprawy relacji z każdym z tych krajów. Z wielu względów szczególnie wysiłki należy kierować na poprawę stosunków z Rosją. Przemawiają za tym zarówno – historia wielowiekowych konfliktów i narosłych w ciągu wieków wzajemnych uprzedzeń, jak i ciężące wzajemne stosunki zbrodnie dokonane w czasie II wojny światowej, ale także pojawiające się i dziś napięcia we wzajemnych stosunkach, wynikające często nie z racjonalnych przesłanek, a raczej z mało przemyślanych posunięć dyplomatycznych. Posunięcia takie zdarzają się po obu stronach, psując możliwości porozumienia. Szczególnie krytycznie należy je oceniać, gdy pojawiają się one po stronie polskiej. Inicjatorzy takich posunięć nie zdają sobie sprawy, że stwarzają podatny grunt dla konfliktów na przyszłe wieki między 40-milionowym państwem polskim i 140-milionowym państwem rosyjskim. A powinniśmy się przeciw więcej troszczyć o przyszłość naszych wnuków.

Ale niezależnie od wielkości państw, należy podkreślić, że w dzisiejszej, bardzo niestabilnej sytuacji międzynarodowej, dobre stosunki wzajemne są bardzo cenne zarówno dla Polski jak i dla Rosji. W dobie globalizacji zmniejsza się rola organizacji międzynarodowych, a rośnie rola supermocarstw. I tu tkwi główne źródło niestabilnej sytuacji międzynarodowej. Oba supermocarstwa są w stanie kryzysu. W Rosji jest wielki kryzys gospodarczy. W Stanach Zjednoczonych trwa mniejszy, ale jednak znaczący wewnętrzny kryzys polityczny. Wydaje się, że kryzysy w obu przypadkach mają cechy trwałości i nie ustąpią zbyt szybko.

Dlatego właśnie ułożenie wzajemnych stosunków między

Polską i Rosją ma tak doniosłe znaczenie dla obu krajów.

Dobrze więc się stało, że w ostatnim czasie (kwiecień 2000) pojawiły się pewne oznaki odprężenia we wzajemnych działaniach.

Należałoby tę poprawę stosunków między Polską i Rosją utrwalać, a przede wszystkim rozszerzać, wpływając nie tylko na relacje władz i urzędów, ale także na zmiany ludzkich postaw przez ułatwienie wzajemnych kontaktów, zwłaszcza młodzieży, rozwijanie wymiany kulturalnej, podejmowanie wspólnych badań.

Na przestrzeni stuleci stosunków polsko-rosyjskich wydarzeniem najtragiczniejszym dla strony polskiej była zbrodnia katyńska. Ale postawić można pytanie, czy w istocie wydarzenie to nie było także tragiczne dla strony rosyjskiej. Czytelnik dokumentów katyńskich, gdy pierwszy raz czyta treść uchwały Biura Politycznego WKP(b) z 5 marca 1940 r., ogarnia naprzód przerażenie, ale potem też ciekawość. Kim byli, co myśleli ci ludzie, sześciu czy ośmiu podpisujących dokument, którzy z zimną krwią postanawiali wymordować ponad 15 tysięcy polskich oficerów, zagarniętych do obozów jenieckich, bez walk, którzy Związkowi Sowieckiemu nic złego nie uczynili, ani niczym nie zagrozili? Czy nikomu z nich nie przyszło do głowy, że wydając taki wyrok okryli hańbą naród rosyjski? Czy dla tych ludzi rzeczywiście obce były takie pojęcia jak dobro, honor, współczucie? A może, zamiast ciągle wracać do oskarżeń i gorzkich wspomnień, warto byłoby podjąć wspólne badania i próbować wyjaśnić, jak mogło dojść do tak okrutnej zbrodni, nie po to, aby szukać winnych, wybaczać, przepraszać, ale przede wszystkim po to, aby nic podobnego w przyszłości nie mogło się powtórzyć.

I jeszcze jedna sprawa, która może mieć istotne znaczenie dla właściwego ułożenia stosunków polsko-rosyjskich, to zerwanie z dalszymi polowaniami na czarownice typu dekomunizacji i lustracji. Patrząc na te liczne projekty dekomunizacyjno-lustracyjne, można by uwierzyć, że Polska była rzeczywiście krajem komunistycznym. Tymczasem w okresie międzywojennym wpływy komunistyczne były znikome. Po wojnie nie Polacy uczynili z Polski kraj komunistyczny, lecz Stalin, Churchill i Roosevelt (przy czym ci ostatni nie

ponoszą z tego tytułu żadnej winy, gdyż w Jałcie działali pod przymusem, aby nie dopuścić w decydującej fazie II wojny światowej do zawarcia przez Hitlera odrębnego pokoju ze Stalinem).

Dodajmy, że reżym komunistyczny w Polsce był bardziej cywilizowany, niż w wielu innych krajach socjalistycznych. Także w stosunku do Rosji postawa polskich komunistów była mniej serwilistyczna, niż komunistów z innych krajów. Reasumując, Polacy wykazali się dużym charakterem zarówno w wojnie 1939 r., jak i w czasie okupacji (w Polsce nie pojawił się żaden Quisling) i w ciągu pół wieku panowania komunizmu, a ci, którzy tak natarczywie domagają się dekomunizacji czy lustracji, nie doceniają wielkości własnego narodu. Wielkości, która powinna sprawić, że nie tylko bez kompleksów niższości odnosimy się do skłonnych udzielać nam nauk supermocarstw, ale potrafimy zachować niezależność poglądów i postaw, godną narodowych tradycji. Dla zilustrowania tych tradycji przytoczę dwie postaci historyczne: Jana Zamoyskiego (wodza i polityka) oraz Stanisława Karnkowskiego (dostojnika Kościoła i męża stanu), których zasługi\* są wciąż żywe i widoczne na przestrzeni 400 lat, poczynając od 1581 r., kiedy to zapewne przypadek sprawił, że w tym samym roku, gdy Jan Zamoyski został hetmanem wielkim koronnym, Stanisław Karnkowski objął stanowisko arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Stanisław POLACZEK

\* M.in. wybór Stefana Batorego na króla Polski i *Constitutiones Carnovianae*, uzasadniające przynależność Gdańska do Polski.

## Niby rynek

W poprzednim numerze *Kultury* pisałem o słabościach więzi społecznych w Polsce. Przypadek sprawił, że wkrótce po napisaniu tego artykułu przeczytałem książkę zmarłego niedawno amerykańskiego ekonomisty, Mancura Olsona „Power and Prosperity”. Olson zastanawia się nad pytaniem, dlaczego, mimo iż wszyscy sądzili, że po drugiej wojnie światowej państwa osi, a więc Niemcy, Włochy, Japonia, przez dziesiątki lat nie zdołają odbudować swojej gospodarki, zaś po upadku komunizmu panowało powszechne przekonanie, że były państwa komunistyczne będą się cieszyć natychmiastowym rozkwitem gospodarczym, w obydwu przypadkach stało się dokładnie odwrotnie. Odpowiedź Olsona ma raczej charakter socjologiczny niż ściśle ekonomiczny. Jego zdaniem główną przyczyną gospodarczych niepowodzeń byłych państw komunistycznych jest trwałość pewnych więzi społecznych, a dokładniej zmowy gapowiczów. Osobiście nie mam wątpliwości, że obok więzi rodzinnej, sojusz gapowiczów to najczęściej spotykany w dzisiejszej Polsce typ więzi społecznej. Ten sojusz obserwujemy na każdym kroku, od sygnałów świetlnych na drogach ostrzegających przed kontrolą policyjną, gotowości sojuszu policjanta z kierowcą naruszającym przepisy, urzędnika urzędu skarbowego życzliwie informującego jak ominąć przepisy podatkowe, czy zmowy lokalnego samorządu na rzecz zmaksymalizowania centralnych subwencji, przez manipulację danymi statystycznymi, aż do potężnych grup nacisku zapewniających sobie uprzywilejowaną pozycję na rynku lub nadzwyczajne środki z budżetu.

Olson przez wiele lat zajmował się badaniem struktur

nieformalnych w krajach Trzeciego Świata, a następnie w byłych krajach komunistycznych. Prezentuje on oryginalną wizję historii Związku Sowieckiego. Jego zdaniem Stalin wcale nie był motywowany ideologicznie. Twierdzi on, że był to autokrata zmierzający wyłącznie do maksymalizacji władzy poprzez maksymalizację obciążeń podatkowych. (Przez ściąganie podatku od produkcji, a nie naliczanie podatku od dochodów osobistych, ale to nie ma najmniejszego znaczenia.) Autor uważa, że Stalinowi udało się rzecz nieprawdopodobna – zabił gęś i zmusił ją do dalszego znoszenia złotych jaj. *Trick* polegał na odwróceniu mechanizmu progresji podatkowej. Wyobraźmy sobie – wyjaśnia Olson swoim amerykańskim czytelnikom – że rząd Stanów Zjednoczonych ustanawia podatek od pierwszych zarobionych pięciu tysięcy dolarów na poziomie 99 procent, niemal równie wysoko opodatkowane są dalsze dochody aż do poziomu średniej krajowej. Natomiast powyżej tego progu opodatkowanie gwałtownie spada do zera. W efekcie warunkiem przetrwania jest praca w nadgodzinach, ponad normę, na granicy możliwości. Dewizą stalinowskiego systemu jest zasada: „Od każdego według jego możliwości a wszystko dla panującego”. Dyrektorzy przedsiębiorstw są nie tylko nadzorcami ale i poborcami. Dzięki takiej organizacji Stalinowi udaje się to, o czym carska Rosja nie mogła nawet marzyć – Związek Sowiecki staje się supermocarstwem, państwo może z wielokrotności swoje inwestycje w dziedzinie zbrojeń, z punktu widzenia autokraty system jest superracjonalny. Porównywanie statystyk produkcji dóbr konsumpcyjnych przed i po rewolucji nie ma większego sensu, ponieważ osiągnięcia na tym polu nie były w żaden sposób istotnym celem sowieckiego centrum. Aż do śmierci Stalina system stać było na wysiłek inwestycyjny, o jakim żadnemu wcześniejszemu autokracie nawet się nie śniło. Starzenie się systemu sowieckiego polegało, zdaniem Olsona, na tworzeniu się więzi społecznych (zmowy) różnych grup dla uzyskania jednostkowych korzyści. Ponieważ system oparty był na bezwzględny wyzysku, oczywiście skłaniał do tego, aby próbować wyjąć z kasy jak najwięcej i dać jak najmniej. A ponieważ był to system, w którym „trudno było kupić, a łatwo było ukraść”, więc tworzył kulturę złodziejską, bardziej widoczną kiedy robotnik kradł z fabryki

materiał, z którego mógł sobie sklecić łóżko, ale znacznie skuteczniejszą na poziomie zarządców poszczególnych przedsiębiorstw i branż. W interesie zarządców było twierdzenie, że postawione przed nimi zadania są niewykonalne bez dodatkowych środków oraz realizacja tych zadań przy najniższych kosztach własnych. Wytworzona nadwyżka pozwalała na wygospodarowanie środków na konsumpcję własną jak i (co było znacznie ważniejsze) na potrzeby obrotu na nieformalnym rynku towarów i usług. Zmowa wasali nie tylko stanowiła ustawiczne zagrożenie dla autokraty, ale prowadziła do systematycznego kurczenia się wpływów z opodatkowania. W schyłkowej fazie władza autokraty stała się już tak słaba, że obok zmywy wasali widzimy coraz bardziej otwarte roszczenia różnych innych grup społecznych, głównie pracowników wielkich i ekonomicznie najmniej sprawnych zakładów pracy. System od dawna utracił swoją prężność inwestycyjną. Teraz, aby sprostać żądaniom, którym nie umie się przeciwstawić, jest zmuszony do drukowania pieniędzy, co nieuchronnie wywołuje galopującą inflację i w ostateczności powoduje rozpad systemu. Olson cytuje emigracyjnego ekonomistę rosyjskiego, który rozróżnił siedem rodzajów aktywności w szarej strefie (siedem odcieni szarości) od nieoficjalnego handlu barterowego między przedsiębiorstwami, aż po handel wśród znajomych towarami kradzionymi z fabryk.

W swojej analizie Olson często powraca do przykładów z Trzeciego Świata. Wszędzie, nawet w najbardziej państwie, po wyjściu z lotniska natychmiast widzimy kwitnący handel. Na ulicach Kalkuty, w afrykańskich miastach czy w dzisiejszej Moskwie, widzimy gorączkową działalność handlową. A jednak ten rynek nie prowadzi do zmniejszania się obszarów nędzy, nie prowadzi do racjonalności gospodarczej, nie tworzy jeszcze gospodarki rynkowej. Wszędzie jest to głównie szara strefa. Legalizacja tej działalności albo jest niemożliwa (ze względu na zakazy, oczekiwanie wysokich łapówek lub nieudolność administracji), albo nieopłacalna, ze względu na opłaty eliminujące cały lub niemal cały zysk. W efekcie jest to rynek oparty na bardzo prostych umowach i uniemożliwia lub radykalnie ogranicza bardziej skomplikowane formy wymiany.

Ponieważ produkcyjna wydajność komunizmu była zni-

koma, a w dodatku tylko w minimalnym stopniu skierowana na produkcję dóbr konsumpcyjnych, stworzenie po jego upadku systemu działającego sprawniej wydawało się być dziecinną igraszką. Tymczasem we wszystkich tych krajach nastąpił głęboki spadek produkcji, zdolność przestawiania się przedsiębiorstw na produkcję rynkową okazała się minimalna, wszędzie obserwowaliśmy zdecydowanie większą sprawność w niszczeniu istniejącego potencjału produkcyjnego, aniżeli w jego bardziej racjonalnym wykorzystywaniu. Wszędzie byliśmy świadkami rozgrabiania tego potencjału i to zarówno w formie przechwytywania własności przez byłą nomenklaturę, a następnie przez nowe władze, jak i przez dewastacje i kradzieże dokonywane przez szeregowych pracowników. Funkcjonujące zakłady państwowe ani nie racjonalizowały swojej produkcji, ani nie zmniejszały swojego nacisku na budżet państwowy, a co więcej świadomie i z premedytacją zwiększały swoje zadłużenie, w pełnym przekonaniu, że państwo będzie musiało je jakoś spłacić.

Podczas gdy w krajach, w których panował faszyzm, tęsknota do tego systemu była po jego upadku znikoma (i to nie tylko z powodu formalnych zakazów prowadzenia nazistowskiej działalności politycznej), w byłych krajach komunistycznych znaczna część wyborców jest przekonana, iż jest gorzej niż było, zaś mniej lub bardziej zmodernizowane partie komunistyczne często powracają do władzy w drodze demokratycznych wyborów.

Proces transformacji od komunizmu do kapitalizmu okazał się znacznie trudniejszy niż początkowo sądzono. Głównym filarem owej transformacji miała być prywatyzacja, reanimacja owej zamordowanej przez Stalina gęsi. Spór o prywatyzację – powiada Olson – toczy się głównie między zwolennikami szybkiej lub bardziej powolnej prywatyzacji, ale jest to głównie spór na mniej lub bardziej udane metafory, spór, który pomija sedno sprawy. W całym tym procesie zabrakło państwa; państwa, które z jednej strony umiałoby się oprzeć grupom nacisku, z drugiej zaś tworzyłoby zaplecze prawne dla gospodarki rynkowej.

Olson porównuje teorie ekonomiczne do stołu mającego tylko dwie nogi. W zachodnich społeczeństwach, podpora, dzięki której owe teorie się sprawdzają, jest system gwarancji

prawnych, strzegących praw jednostki, a więc również prawa własności, chroniących nas przed wywłaszczeniem, gwarantujących egzekucję umów handlowych, również tych długoterminowych, pozwalających na zaufanie do instytucji finansowych i tworzących infrastrukturę dla jednostkowej przedsiębiorczości. Oczywiście również w tych zamożnych, demokratycznych społeczeństwach jest i szara strefa, i korupcja, a czasem obserwujemy zwrot sympatii wyborców w kierunku polityków otwarcie kwestionujących pewne zasady demokracji. Jazda na gapę nie jest tu jednak sposobem życia, nie jest przenikającą wszystkie dziedziny aktywności gospodarczej i politycznej kulturą, przeciwnie, stanowi tylko stosunkowo drobny margines. Dlatego też studiujący na Zachodzie ekonomię przybysz z Trzeciego Świata, czy z byłych krajów komunistycznych, po powrocie odkrywa, że prawa ekonomiczne, które rządzą gospodarką rynkową, w jego kraju nie działają.

Na ile rację ma Mancur Olson, że główną przyczyną niepowodzeń w dotychczasowej transformacji od komunizmu do kapitalizmu jest zмова gapowiczów, siła grup nacisku gotowych na realizację swoich prywatnych interesów kosztem interesu publicznego? Dlaczego – zastanawia się Olson – droga wszystkich Nowo Uprzemysłowionych Krajów, takich jak Tajwan, Południowa Korea czy Singapur, prowadziła przez dyktatury? Nie ma wątpliwości, że demokracja jest systemem lepszym, ale czy jest możliwa w warunkach istnienia bardzo silnych grup nacisku, zdolnych kosztem innych dyktować korzystniejsze warunki dla siebie? Nie jest możliwa – odpowiada – bez dostatecznie silnego państwa, bez rządu mogącego gwarantować przestrzeganie umów, równość praw jednostek, minimum bezpieczeństwa.

Pojawia się tu pytanie, na ile zмова gapowiczów obejmuje nas wszystkich, bez wyjątku? Na ile uczestniczymy w niej chcąc nie chcąc? System podatkowy nadal w pewnym sensie przypomina stalinowski wynalazek. Nie płacimy podatków od procentów z oszczędności, nie płacimy podatków od zysków z akcji, im jesteśmy zamożniejsi i im mniej produkujemy, tym bardziej system nas nagradza. Zмова gapowiczów bardzo często nie wymaga wchodzenia w przestępcze porozumienia, przeciwnie, jesteśmy w nią wpychani.

Równocześnie, im mniej masz pieniędzy, im skromniejsze są twoje zyski, tym bardziej sytuacja zmusza cię do pozostania w szarej strefie, ze względu na wysokość opodatkowania niskich dochodów.

Interesującym uzupełnieniem lektury Mancura Olsons jest książka Kazimierza Z. Poznańskiego „Wielki przekręt”. Od kilku miesięcy ta książka jest bestsellerem na polskim rynku wydawniczym. Rzecz dość osobliwa, gdyż autor jest profesorem ekonomii, a jego praca, aczkolwiek napisana dość przystępnym językiem, jest jednak analizą ekonomiczną. Zainteresowanie tą książką ze strony poważnej prasy krajowej wydaje mi się niewspółmierne do zainteresowania nią czytelników. Niezwykle charakterystyczny wydaje mi się tu krótki akapit poświęcony pracy Poznańskiego w artykule znakomitego publicysty *Polityki*, Zdzisława Pietrasika. Otóż zdaniem tego autora, z książki Poznańskiego „ma wynikać, że gdyby nie zmiany systemowe, bylibyśmy dziś krajem mlekiem i miodem płynącym”. Wydaje się, że autor jest intelektualnie uczciwy, z czego można wnosić, że przy tak doktrynalnej mentalności na żadną dyskusję nie ma widoków.

Kazimierz Poznański, wykładowca ekonomii na Uniwersytecie Waszyngtońskim w Seattle, przedstawia tezę, że pozostawiony po systemie komunistycznym majątek sprzedany został za nie więcej niż dziesięć procent swojej wartości. Całkowicie nowe przedsiębiorstwa stanowią tylko znikomy procent inwestycji zagranicznych w Polsce. Zachodni inwestorzy zainteresowani byli wyłącznie wykupem łąpów po komunizmie. Wyprzedaż tego majątku odbywała się w atmosferze kompletnej beztroski o to, jaki charakter będzie miał system kapitalistyczny w Polsce, bez żadnego zastanowienia się, czy istnieją warunki dla powstania rodzimej klasy kapitalistycznej. To rozumowanie nie ukrywa jakichś nacjonalistycznych bzików. Dla Poznańskiego istotnym problemem jest to, czy właściciele przedsiębiorstw i kapitału są w Polsce rezydentami, czy też są mieszkańcami innych krajów, co oznacza, że znaczna część zysków będzie odprowadzana za granicę i nie będzie reinwestowana w Polsce. Można mieć pewne zastrzeżenia co do metody wyliczeń wartości sprzedawanych przedsiębiorstw (one to zapewne skłoniły Zdzisława Pietrasika do dziwacznej interpretacji całej książki), jednak

jeśli nawet zmniejszylibyśmy tę wartość o połowę czy o dwie trzecie, to nadal rozważania profesora Poznańskiego zasługiwałyby na dyskusję. Obawa, że w sytuacji gdy większość dużych przedsiębiorstw oraz banków należeć będzie do zagranicznego kapitału, Polska będzie głównie rynkiem taniej siły roboczej oraz rynkiem zbytu dla innych, nie jest obawą pozbawioną podstaw. Poznański nie jest bynajmniej przeciwnikiem zagranicznych inwestycji, pisze o proporcjach, o nierównych warunkach dla krajowych i zagranicznych inwestorów, o braku strategii i o korupcji. Przyjęta strategia transformacji jest strategią budowania kapitalizmu bez własnej klasy kapitalistów. Inwestycje zagraniczne to szansa pozyskania myśli technicznej (*know-how*) oraz kapitału na modernizację. Poznański nie lekceważy tej sprawy, chociaż moim zdaniem nazbyt pobieżnie przechodzi nad tym problemem. Jego zdaniem szansą było zachęcanie zagranicznych inwestorów do budowy nowych przedsiębiorstw w Polsce i wykorzystanie istniejącego majątku dla tworzenia własnego potencjału produkcyjnego. Trudno mi odpowiedzieć na pytanie, czy takie rozwiązanie było możliwe. O ile wiem, współczesna historia dostarcza tylko jednego przykładu takiego nagłego tworzenia klasy właścicieli. Po zajęciu Formozy armia Czang-Kai-Szeka przejęła po Japończykach fabryki i plantacje. Rząd rozdał udziały w tych fabrykach w zamian za mienie utracone przez oficerów i żołnierzy, tworząc w ten sposób akcjonariat, z którego wyłonili się pierwsi tajwańscy przedsiębiorcy. Być może można było w podobny sposób rozwiązać problem reprivatyzacji i utworzyć liczący się akcjonariat, w którym nie uczestniczyłaby była partyjna nomenklatura ani decydenci z nowej władzy. Dziś są to już jednak tylko jałowe spekulacje. Nie trzeba być ekonomistą, aby zgodzić się z Poznańskim, że po upadku komunizmu krajowy kapitał powstawał głównie w drodze przestępstw i spekulacji, zaś pozostawiony po gospodarce komunistycznej majątek nie został wykorzystany do tworzenia narodowego potencjału produkcyjnego (a tam gdzie przechodził w ręce krajowych przedsiębiorców działa się to nazbyt często z rażącym naruszeniem prawa). Z wielu względów mogło się wydawać łatwiejsze oraz skuteczniejsze poszukiwanie zagranicznych inwestorów strategicznych, którzy po pierwsze mieli kapitał, po drugie nie było powodów

martwić się tym, czy jest to kapitał uczciwego pochodzenia, a po trzecie mogli przyjść z nowoczesną technologią, kapitałem rozwojowym i umiejętnością operowania na zachodnich rynkach. Sama dyskusja na temat dotychczasowego przebiegu transformacji ustrojowej przebiega w atmosferze sporów religijnych. Ponieważ są to spory o kanony wiary, więc jest to raczej wymiana inwektyw.

Kazimierz Poznański twierdzi, że cała koncepcja „terapii szokowej” czerpie swój rodowód z formuły jednoczenia Niemiec. W jego rozumowaniu wszystko się zgadza prócz kalendarza. Nie jest jednak szczególnie istotne czy tę strategię wymyślił Leszek Balcerowicz, czy została ona wymyślona w Bonn. Jest natomiast rzeczą niesłychanie interesującą, że Niemcy Wschodnie, mimo monstrualnego wsparcia finansowego i technicznego, nie zdołały powtórzyć cudu gospodarczego Niemiec Zachodnich. Czy przyczynę tego dziwnego zjawiska lepiej wyjaśnia Olson czy Poznański? Czy demoralizacja przez komunizm była większa niż demoralizacja przez faszyzm? Czy negatywne więzi społeczne (zmowy gapowiczów) były w byłej NRD równie silne jak np. w Polsce? Czy też, jak chce Poznański, wydziedziczono mieszkańców byłej NRD z własności, a tym samym z inicjatywy? Praktycznie rzecz biorąc wszystkie przedsiębiorstwa w byłej NRD przejęte zostały przez firmy zachodniemieckie. Cała kadra menedżerska jest importowana. Niemcy Wschodni zostali zepchnięci do roli siły roboczej (bynajmniej nie taniej) i do rynku zbytu dla towarów z Niemiec Zachodnich. Teoria Poznańskiego wydaje się pasować tu lepiej niż teoria Mancura Olsona, ponieważ w odróżnieniu od tego co dzieje się w Rosji, na Ukrainie czy nawet w krajach takich jak Polska lub Węgry, nieformalne struktury z czasów komunizmu zostały tu znacznie szybciej i znacznie skuteczniej rozbite.

W przypadku Polski życie codzienne dostarcza znacznie więcej faktów na potwierdzenie teorii Olsona. Zmowa gapowiczów wydaje się być zjawiskiem wszechobecnym i właściwie trudno byłoby spotkać kogokolwiek, kto w niej w ten lub w inny sposób nie uczestniczy.

Zarówno Mancur Olson jak i Kazimierz Poznański są gorącymi zwolennikami liberalizmu i gospodarki rynkowej, zajmują się analizą rynków działających wadliwie, chorych.

W książce Olsona, w podziękowaniach dostrzegłem nazwisko Roberta Klitgaard, wieloletniego pracownika Banku Światowego w Afryce. Na początku lat dziewięćdziesiątych czytałem jego znakomitą książkę „The Tropical Gangsters”. Klitgaard opisywał jak afrykańscy dyktatorzy, z chwilą gdy przestawali być klientami Związku Sowieckiego, bez najmniejszych problemów przywdziewali kostiumy liberałów i występowali o pomoc międzynarodowych instytucji finansowych. Oczywiście lwia część tej pomocy lądowała w prywatnych kieszeniach dyktatorów, ich rodzin oraz partyjnych kolegów. Tropikalnymi gangsterami okazały się nie tylko elity polityczne państw afrykańskich, ale i operujący w sferze wysokiego ryzyka zachodni inwestorzy oraz różnego typu zachodni doradcy. Klitgaard pokazywał jak wysokie ryzyko inwestycyjne ściąga wszelkiego rodzaju awanturników, kierujących się zasadą „korzystać z zamieszania, braku prawa i naiwności, brać co się da i uciekać”. Nawet renomowane we własnych krajach firmy, w warunkach afrykańskich prowadziły bezwzględnie rabunkową gospodarkę.

Londyński *Economist* opisuje w numerze z 29 lipca br. interesujące praktyki zachodnich inwestorów w Europie Środkowej. Stylistyka tego artykułu dziwnie przypomina analizę Kazimierza Poznańskiego. „Zachodnie inwestycje uratowały wiele chorych ekskomunistycznych przedsiębiorstw w Europie Środkowej. Cudzoziemcy przynosili myśl techniczną, kapitał, dostęp do nowych rynków i co ważne, standardy zachowań. Nie było tu naruszania praw udziałowców, które tak często deptane były przez pozbawionych skrupułów tubylców w takich miejscach jak Rosja. Prawda? Może niezupełnie. Wzdłuż i wszerek Europy Środkowej właściciele mniejszościowych pakietów akcji dostają po głowach, a wśród winnych są często zachodni inwestorzy.” Dalej następują konkretne przykłady praktyk stosowanych przez zachodnich inwestorów, między innymi francuskiego Renault w Rumunii, gdzie nowi właściciele fabryki samochodów dacia odmawiają informacji, dlaczego firma zaczęła ponosić straty, odmawiają indeksacji kapitału startowego, manipulacjami zwiększyli swoje udziały z 51 do 73 procent, odmawiają dostępu do kierownictwa firmy przedstawicielom właścicieli pakietów mniejszościowych. Wśród tych przykładów znajdujemy również in-

ną francuską firmę – Michelin, która jest inwestorem strategicznym w polskim Stomilu. *Economist* pisze o ukrywaniu przez francuskie kierownictwo firmy danych finansowych, o machinacjach związanych z przelewaniem pieniędzy z kont przedsiębiorstwa w Polsce, itp. Amerykański holding inwestycyjny Templeton oskarżył w ubiegłym roku niemiecki HypoVereinsbank o kupno udziałów w polskim banku BPH po podejrzenie niskich cenach. Takich przykładów jest cała lista. Brytyjski tygodnik pisze o konieczności reform prawnych, których jednak nie można się prędko spodziewać ze względu na fakt, że politycy w tych krajach wydają się być zajęci zupełnie innymi sprawami. „W międzyczasie – pisze *Economist* – jedyną nadzieją na zmianę tego stanu rzeczy jest to, że zachodni inwestorzy zaczną dawać nieco lepszy przykład”. Moim skromnym zdaniem nie jest to wielka nadzieja.

Jeffrey Sachs, niewątpliwie jeden z głównych współautorów strategii transformacji ustrojowej w byłych krajach komunistycznych, jest również skłonny zrewidować swoją koncepcję globalizacji. Sachs (również na łamach *Economist*) wychodzi od stwierdzenia, że wysoka koncentracja technicznych innowacji ogranicza się do kilkudziesięciu krajów, zdolności korzystania z tych innowacji obserwuje się w kolejnej grupie kilkudziesięciu państw, zaś Trzeci Świat skazany jest na techniczną izolację. Sachs z pewnym przerażeniem patrzy na to, jak mało skuteczne okazują się różne strategie rozwoju. Nadal jest gorącym zwolennikiem włączania do nowoczesnej gospodarki światowej krajów zapóźnionych w rozwoju głównie poprzez liberalizację handlu i inwestycje zagraniczne, ale uważa, że znacznie większy niż dotychczas powinien być wysiłek międzynarodowych instytucji finansowych na rzecz rozwoju nauki w tych krajach, jak również uważa, że zdecydowanie większa musi być pomoc międzynarodowej społeczności w rozwoju systemów oświaty i opieki zdrowotnej.

Sachs, podobnie jak Olson, powraca do przykładu Nowo Uprzemysłowionych Krajów (wymieniając Tajwan, Koreę i Izrael), które zdołały przejść od zdolności korzystania z cudzych innowacji do wysokiej koncentracji własnych innowacji technicznych, ale nie próbuje wyjaśnić jak im się to



udało, ograniczając się do stwierdzenia, że taki fenomen nie dzieje się automatycznie. Patrząc na te kraje przez pryzmat rozważań Kazimierza Poznańskiego oraz teorii Olsona widzimy, że stworzono tam warunki dla powstania własnej silnej klasy kapitalistów, że banki są w tych krajach tylko w nikłym stopniu opanowane przez kapitał zagraniczny, inwestycje zagraniczne były rygorystycznie kontrolowane, co niejednokrotnie prowadziło do poważnych zadrażeń z silniejszymi partnerami zachodnimi, że we wszystkich tych trzech krajach włożono ogromny wysiłek, aby doprowadzić do minimalizacji szarej strefy gospodarczej, co nie oznacza, że udało się obłaskawić wszelkie nieformalne grupy nacisku i na przykład wielu analityków twierdziło, że powiązania konglomeratów finansowych ze światem polityki były głównym źródłem ostatniego kryzysu finansowego w Południowej Korei.

Artykuł Sachsa przypomina rzadko już dziś wspominane pojęcie konwergencji. Poświęconą teorii konwergencji książkę Zbigniewa Brzezińskiego odczytuje się po latach z pewnym rozbawieniem. Jeszcze na początku lat siedemdziesiątych mogło się wydawać, że kraje komunistyczne będą zmniejszać technologiczny i gospodarczy dystans do państw rozwiniętych i że po osiągnięciu pewnego poziomu zanikać zaczną również różnice ideologiczne. W pewnym sensie widzimy jak ta teoria sprawdza się jednak na przykładzie kapitalistycznych dyktatur południowo-wschodniej Azji. Po osiągnięciu pewnego poziomu rozwoju gospodarczego i technicznego kraje te, jeden po drugim, przechodzą do systemu demokratycznego. Nadal jednak żadna teoria ekonomiczna nie przedstawia jasnej instrukcji jak zacząć być krajem rozwijającym się nie tylko z nazwy i jak potem precyzyjnie się przez ucho igielne z grupy krajów rozwijających się do grupy państw rozwiniętych. Przejście do gospodarki rynkowej wymaga w każdym warunkach naprawy tego, co naturalne relacje rynkowe zakłócało najbardziej. W rozważaniach Olsona, Poznańskiego i Sachsa jest to element nieobecny, tymczasem udana transformacja do gospodarki rynkowej zaczyna się nieodmiennie od eliminacji zaburzeń w produkcji i handlu żywnością. W produkcji i handlu żywnością elementy przymusu i korupcji mają najdłuższą i najbardziej żywotną tradycję, zaś ceny żywności na rynku międzynarodowym nie mają nic wspólnego z prawdziwym rynkiem,

gdyż konkurują na nim towary będące owocem pracy przymusowej z towarami subwencjonowanymi i sprzedawanymi po cenach dumpingowych.

Likwidacja szarej strefy gospodarczej nie jest możliwa bez likwidacji zorganizowanej dyskryminacji ludności wiejskiej. Wielokrotnie w różnych miejscach powracałem do prac brytyjskiego ekonomisty Arthura W. Lewisa, który opisywał jak rewolucję przemysłową poprzedziła rewolucja agrarna, tworząc pierwszą wielką falę wynalazczości, a następnie poprzez równoległy wzrost umiejętności technicznych i wzrost podaży pieniądza u rolników, tworząc popyt na masową produkcję przemysłową i dalsze innowacje techniczne. Próby wprowadzenia gospodarki rynkowej bez zmasowanego wysiłku zmierzającego do kontrolowanej zmiany struktury zawodowej mieszkańców wsi, do modernizacji rolnictwa bez masowej pauperyzacji rolników, nigdzie jeszcze nie przyniosły pozytywnych rezultatów. Poczynając od Irlandii, która dostarcza przykładu najnowszego prawdziwego sukcesu ekonomicznego, poprzez historię wszystkich Nowo Uprzemysłowionych Krajów, a wreszcie historię gospodarczą wszystkich państw rozwiniętych, wszędzie polityka rozwoju wsi stanowiła kluczowy element budowy działającego rynku.

Kazimierz Z. Poznański ma niewątpliwie rację stwierdzając, że dotychczasowa transformacja w Polsce i w innych byłych krajach komunistycznych prowadzi do niepełnego kapitalizmu. Osobiście jestem głęboko przekonany, że szybka zmiana ordynacji wyborczej i głęboka sanacja areny politycznej jest warunkiem wstępnym do tego, aby programy partyjne i kampanie wyborcze mogły stać się forum dyskusji na temat racjonalizacji dalszej strategii transformacji ustrojowej. Podział parlamentarnej areny politycznej między nie więcej niż pięć partii politycznych, pozostawienie na tej arenie jedynie partii zdolnych do prezentacji ogólnonarodowych programów, nie będących radosną twórczością przekonanych o swojej genialności jednostek, mogłoby być początkiem drogi do stworzenia owej podpórki, pozwalającej na działanie rynkowych praw ekonomicznych. Mam wrażenie, że w warunkach polskich znacznie lepsza byłaby ordynacja większościowa, prowadząca do systemu dwupartyjnego, ale o tym nie możemy nawet marzyć.

Chwilowo wszelkie dyskusje o dalszej strategii transformacji ustrojowej, nawet gdyby przybrały charakter logicznej i uporządkowanej dyskusji, nie mają szans wpływania na ukształtowanie się wyraźnej dla wyborców opcji politycznej, ani na dysponujące szerokim poparciem parlamentarnym programu działania. Tymczasem dotychczasowy charakter tej transformacji wydaje się rzeczywiście utrwać patologiczne cechy naszego rynku.

Andrzej KORASZEWSKI

**KSIĄŻKI POLSKIE  
ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE  
DAWNE I NOWE**

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE  
POLECA

**ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI**

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

**SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI**

## Śląsk Opolski zawsze polski?

Ryszard Surmacz zatytułował swą publicystyczną książkę prowokacyjnie\*. Chce nas przestrzec, a jednocześnie pobudzić do pogłębionej refleksji. Nie tylko o Śląsku. Taki wstrząs mógłby być ożywczy, bo z jedną tezą autora wypada się bez zastrzeżeń zgodzić: o tym regionie niewiele wiemy, jeszcze mniej go rozumiemy. Czy ta książka pomoże nam w rozwikłaniu śląskich zagadek i problemów? Niestety, obawiam się, że nie.

Surmacz skonstruował swą pracę ze skrawków reportaży, wywiadów, komentarzy, dokumentów, prasowych cytatów. Narracja zatrzymuje się gdzieś w połowie lat 90-tych, co jednak nie może być zarzutem, choć następne lata nie potwierdziły katastroficznej wizji przyszłości Górnego Śląska, zwłaszcza jego opolskiej części, bo jej Surmacz poświęca najwięcej uwagi. Powstała więc polifoniczna mozaika, sprawiająca wrażenie, że oto autor oddaje głos wszystkim stronom – jak on to nazywa – „Śląsko-polskiego konfliktu”. W rzeczywistości eksponowane są przede wszystkim poglądy ludzi, którzy nie chcą pogodzić się z faktem odrodzenia się tak licznej i silnej mniejszości niemieckiej. Ba, którzy uważają, że mniejszości niemieckiej właściwie w ogóle w Polsce nie ma. Na Śląsku Opolskim najgłośniej postawę tę wyraża prof. Franciszek Antoni Marek z tamtejszego uniwersytetu. Skrótowno rzecz ujmując, uważa on, że mniejszość niemiecka jest tworem *stricte* politycznym, manipulowanym przez jej liderów, których nazywa – a w ustach Ślązaka słowo to jest silnie nacechowane emocjonalnie – „zaprztańcami”, czyli ludźmi, którzy motywując się

\* Ryszard Surmacz: „Znów tracimy Śląsk”. Wydawnictwo Retro. Lublin 1999, s. 263.

względami ekonomicznymi, wyparli się swych polskich, słowiańskich korzeni. Surmacz jednoznacznie popiera to stanowisko. Mało tego, w swych rozważaniach idzie o krok dalej. Przynajmniej dwukrotnie pisze wprost, że mniejszość niemiecka powstała z inspiracji zewnętrznych. „Niemcy po I wojnie światowej – czytamy na stronie 24 – jako państwo z mało zniszczonym przemysłem ciężkim, wyszły silniejsze od powalonej skutkami wojny ówczesnej Europy. Po II wojnie światowej zlikwidowano wprawdzie państwo pruskie, ale podzielone na trzy strefy Niemcy Zachodnie nie pozwoliły, poprzez podtrzymywanie działalności ziomkostw, zapomnieć swojemu narodowi o ‘ziemiach zabranych na Wschodzie’. Powstanie mniejszości niemieckiej na Śląsku Opolskim jest rezultatem właśnie tych tendencji.” Surmacz nie ma wątpliwości, że to aktywiści Związku Wypędzonych pewnego dnia przyjechali do Polski i „założyli” mniejszość. Według niego to właśnie „Związek BdV jest ojcem powstałej po II wojnie światowej mniejszości niemieckiej na Śląsku Opolskim i nadal wywiera na nią decydujący wpływ. Nie zaakceptował on bezpośrednio traktatu polsko-niemieckiego, a mimo to jest pośrednikiem rządu niemieckiego w finansowaniu mniejszości niemieckiej”.

Kiedy przyjmie się tak bardzo nieprawdziwą tezę wyjątkową, to nie sposób wyprowadzić z niej wniosków, które obiektywnie opisałyby etniczne i narodowe zawilości Górnego Śląska. A na marginesie, warto tezę tę odnieść do sytuacji na Białorusi, Litwie czy Ukrainie. Tamtejszym Polakom też wielokrotnie powtarzano, że nie wiedzą, kim są. Surmacz wierzy, że sama idea powołania mniejszości niemieckiej została „importowana”. Skoro więc mniejszości niemieckiej nie ma – chciałoby się zadać najprostsze pytanie – to dlaczego budzi taki niepokój autora? Surmacz tu i ówdzie powraca do historii, a z niej czerpie przekonanie, że Niemcy nigdy nie pogodziły się z utratą Śląska. Dowolnie więc miesza racje z przeszłości z nieraz drobnymi incydentami, jakie miały miejsce w ostatnich latach na Śląsku Opolskim, proponując przy tym przyjęcie ahistorycznej perspektywy (inna rzecz, że podobne błędy popełniają działacze mniejszości niemieckiej, bo dla wielu z nich historia zaczęła się dopiero w roku 1945). Surmacz przypomina zatem na przykład głośną swego czasu aferę, gdy w Dziewkowicach (to wioska przylegająca do Strzelec Opolskich) ulokowało się

trzech młodych neonazistów z Niemiec. Ci ludzie przebywali tam za zgodą miejscowego sołtysa, który miał na ich cześć – a swoją drogą, kto Surmaczowi taką bajkę opowiedział? – wywiesić hitlerowską flagę. Dopiero najazd polskich skinheadów zmusił wieś do usunięcia swastyki. W rzeczywistości było inaczej. Nazwijmy więc po imieniu owych wygolonych młodzieńców, którzy co roku 3 maja przyjeżdżają na Górę Świętej Anny i wywołują nacjonalistyczne „zadymy” (w tym roku mizerna). To również są neofaszyści, tyle że mówią po polsku. Do Dziewkowic zaś nie pojechali zrywać hitlerowskich flag, a tylko zdemolować dom sołtysa, zerwać niemiecki szyld z miejscowego sklepiku i wykrzyknąć, że „Śląsk Opolski zawsze polski”. Surmacz jednak woli wierzyć, że liderzy mniejszości niemieckiej skrywają swe profaszystowskie, a przynajmniej nacjonalistyczne tęsknoty. Chętnie więc powtórzy, że ktoś komuś kiedyś mówił, że w jakiejś małej wiosce jakiś staruszek uczył swego wnuka (*sic!*) hitlerowskiego pozdrowienia. W innym zaś momencie Surmacz przekracza wszelkie granice, jednoznacznie sugerując, że opolska gazeta mniejszości niemieckiej, zmieniając tytuł i kierownictwo, nieprzypadkowo wybrała na swe powtórne narodziny datę 20 kwietnia, czyli dzień urodzin Hitlera. Bez złej woli takich słów nie da się napisać. Domyślam się, jakich dodatkowych argumentów użyłby Surmacz, gdyby mimo wszystko chciał bronić tej tezy. W swej książce wiele uwagi poświęcił wojennym pomnikom, które po roku 1989 mniejszość niemiecka zaczęła restaurować i przywracać im dawny wygląd. Dawny, czyli z lat 20-tych, 30-tych i 40-tych, a więc w niektórych przypadkach niewolny od symboli, które Polakom boleśnie się kojarzą (niemieckie hełmy, żelazne krzyże etc.). Surmacz słusznie podniósł ten problem, lecz zrezygnował choćby tylko z próby zrozumienia powodów, dla których lokalne społeczności wiejskie tak bardzo upierały się, by pomniki były dokładnie takie jak przed laty. Najłatwiej powiedzieć, że w ten sposób zdemonizowani liderzy mniejszości niemieckiej (zauważmy mimochodem, że mówimy głównie o ludziach 60, 70-letnich i jeszcze starszych) świadomie budzą upiory przeszłości i jawnie gloryfikują III Rzeszę. Chodziło o zgoła coś innego – to była kontreakcja na długie dziesięciolecia niszczenia wszystkiego, co kojarzyło się z niemieckością (i Śląskością). To

była kontreakcja na dewastację cmentarzy i skuwanie niemieckich napisów z nagrobków. Tymczasem na owych inkryminowanych pomnikach na ogół znajdujemy litanie, bardzo często polsko brzmiących imion i nazwisk, za którymi kryją się konkretni ludzie, mieszkańcy danej wioski czy miasteczka (wielu z nich mówiło wyłącznie po polsku, a ściślej – śląską gwarą!). Te same nazwiska odnajdziemy wśród dzisiejszych mieszkańców, bo polegali byli ich braćmi, ojcami, dziadami... Inna rzecz, że aktywiści mniejszości niemieckiej rzeczywiście nieraz dawali wyraz swej politycznej naiwności, braku doświadczenia i wyobraźni. Najbardziej jaskrawym przykładem jest domaganie się dwujęzycznych nazw miejscowości w brzmieniu nadanym im w połowie lat 30-tych. Ale znowu – podobnie jak w przypadku pomników i krzyży przydrożnych – nie chodzi o gloryfikację porządków nazistowskich. Ci ludzie, po prostu innych nazw, tych wcześniejszych, na ogół zawierających silny słowiański rdzeń, po prostu nie pamiętają. To ich jakoś tłumaczy, choć oczywiście trzeba z takimi postawami polemizować. Nie wypada jednak polemizować z tym, że w opolskich kościołach odprawiane są msze także w języku niemieckim.

Nie ma powodu ironizować na temat „języka serca”, nie tylko dlatego, że termin ten ukuł opolski arcybiskup Alfons Nossol, człowiek, który cieszy się na Górnym Śląsku wielkim i zasłużonym autorytetem. Ci ludzie, a znowu mówimy o owych najstarszych Ślązakach, jako dzieci modlili się po niemiecku. I nie zmieni tej prawdy fakt, że ich starsze rodzeństwo, rodzice czy dziadkowie, mogli i być może uczęszczali na polskie nabożeństwa, dopóki administracja hitlerowska ich nie zakazała. Czytając zaś Surmacza można nabrać przekonania, że Śląsk Opolski do roku 1945 zamieszkiwali wyłącznie Ślązacy „polskiego ducha”. A to nieprawda. Po powstaniach i plebiscycie ok. 100 tysięcy polskich Ślązaków przeniosło się do województwa śląskiego, wchodzącego w skład odrodzonej II Rzeczypospolitej. W tym samym czasie wielu katowickich Niemców również wyemigrowało, niejako wzmocniło niemiecki żywioł na Śląsku Opolskim. Proporcje narodowościowe wyraźnie się więc zmieniły w porównaniu chociażby do pierwszych dwóch dekad XX wieku i czasu powstańczych walk. Poza tym w okresie międzywojennym procesy germanizacyjne nasiliły się i to nie tylko wskutek dyskryminacyjnej polityki

państwa niemieckiego. Biografie dzisiejszych liderów mniejszości niemieckiej na Śląsku Opolskim odbijają tamte procesy. Nic by to jednak nie znaczyło, gdyby nie cierpienia, szkany i upokorzenia, jakich doznali rdzenni mieszkańcy Górnego Śląska już w roku 1945 za sprawą wojsk sowieckich, a po chwili szabrowników i nadesłanych w „teczkach” nowych administratorów. Surmacz przywołuje te fakty, ale nie docenia ich wagi. Niby wie, jakie spustoszenia (także moralne, bo one zadecydowały o owym „zaprzaństwie” Ślązaków) spowodowały rządy komunistów. Wie, ale zachęca nas do tego, abyśmy „przestali już o tym mówić”, bo fakty te ponoć stały się zasłoną dymną. Po jej odsłonięciu zaś rzekomo widać prawdziwe intencje niemieckich Ślązaków, przygotowujących się do wypełnienia roli nowej V kolumny, która przygotowałaby grunt pod tym razem ekonomiczną ekspansję Republiki Federalnej Niemiec. Dziwna rzecz, bo w którymś miejscu Surmacz twierdzi, że polskość Ślązaków miała w przeszłości raczej charakter obyczajowy, a nie ideologiczny. Dziwna, bo tego argumentu chętnie używali nacjonaści niemieccy, którzy odbierali Ślązakom prawo do polskości. Ale – umówmy się – że tym razem zaakceptujemy tę nomenklaturę, a skoro tak i niech to będzie pociecha dla ludzi wyznających podobny do Surmacza system wartości, to również dzisiejsza niemieckość opolskich Ślązaków w wielu (w większości?) przypadkach nie ma charakteru ideologicznego. Fenomen odrodzenia się mniejszości niemieckiej wynika z faktu, że Śląskość była lekceważona i upodlona. Polscy komuniści okazali się najbardziej utalentowanymi spadkobiercami Bismarcka. Jestem pewny, że z taką tezą zgodziłby się na przykład Edmund Osmańczyk, przed wojną jeden z czołowych działaczy Związku Polaków w Niemczech, do którego etosu Surmacz w swojej książce tak często i chętnie się odwołuje, bolejąc nad tym, że polskie dziedzictwo na Śląsku Opolskim zostało zmarnowane. Bo to rzeczywiście może, to musi Polaków boleć. I boli. Podzielam to uczucie z autorem tej książki. W przeciwieństwie jednak do niego twierdzę, że nie tylko Wisły, ale i Odry nie da się kijem zawrócić. Nie ma więc sensu odbieranie prawa do takiego czy innego samookreślenia się opolskich Ślązaków.

## Żaba po krakowsku

Trudno dziś wskazać kto wpadł, podsunął i podjął pomysł organizowania imprez pod nazwą Europejski Miesiąc Kultury, nad którymi powiewał sztandar zjednoczonej Europy. Po raz pierwszy zrealizowano je w Atenach w 1985 roku. W kolejnych latach tytuły „europejskich stolic kultury” otrzymały: Florencja, Amsterdam, Berlin Zachodni, Paryż, Glasgow, Dublin, Antwerpia, Lizbona, Luksemburg, Kopenhaga, Saloniki, Sztokholm, a w ubiegłym roku Weimar. W 1991 roku wybór padł na Kraków i Madryt. Krakowski Europejski Miesiąc Kultury był w tamtym czasie ważną dla Polski próbą wykorzystania kultury w polityce międzynarodowej. Zaczęły się bowiem pierwsze nasze starania o członkostwo w strukturach europejskich i atlantyckich.

W czerwcu 1992 roku po raz drugi zadziwiliśmy wszystkich rekordowym tempem przygotowań (siedem miesięcy) i udaną wielką improwizacją organizatorską.

W odbudowanej po pożarze Filharmonii Krakowskiej w czerwcowej imprezie w roku 1992, wśród zaproszonych gości witano m.in. generalnego dyrektora ds. informacji i kultury EWG Collette Flesch, a depeszę przysłał ówczesny przewodniczący Komisji Wspólnot Europejskich Jacques Delors. Autorami ponad 150 imprez artystycznych byli m.in. Witold Lutosławski, Krzysztof Penderecki, Peter Brook, Tadeusz Łomnicki, Andrzej Wajda, Andrzej Dudziński, Chick Corea, reprezentowana była Piwnica pod Baranami, Festiwal Kultury Żydowskiej, Teatr Ósmego Dnia.

Cykl wystaw otwierał w krakowskim Muzeum Narodowym „Orient w sztuce polskiej”, czyli obraz naszych

związków kulturowych z Bliskim Wschodem.

Na końcowej konferencji prasowej organizatorzy (Międzynarodowe Centrum Kultury) podali, że festiwal kosztował 30 mld zł (przed denominacją), z czego największą dotację przyznał rząd włoski – osiem mld (w ramach konwersji polskiego zadłużenia, co bardzo podkreślano, licząc na przyszłość), nasze Ministerstwo Kultury i Sztuki wyłożyło pięć mld, a Wspólnota Europejska trzy mld. Resztę wydatków (czyli brakujące cztery mld) mieli pokryć sponsorzy.

Tytuły w prasie krakowskiej, podsumowujące Europejski Miesiąc Kultury, zawierały sporo dystansu i wątpliwości, np. „Kultura czy igrzyska” (*Gazeta Wyborcza*), „Miesiąc szaleńców” (*Dziennik Polski*), „Cud czerwcowy” (*Czas Krakowski*). Imprezę nazywano fajerwerkiem. Organizatorzy bronili się argumentem, że nie była to impreza elitarna, lecz masowa, skoro w 150 wydarzeniach (muzycznych, plastycznych, teatralnych, filmowych itp.) uczestniczyły nadkomplety widzów. Sprzedano ponad 50 tys. biletów i karnetów.

Konsul austriacki w Krakowie Emil Brix w ostatnim numerze gazety festiwalowej (wydawanej pod tytułem *Na Wschód od Zachodu*) wśród komplementów wypowiedział zarzut: Dlaczego zabrakło twórców i wydarzeń artystycznych z Czech, Słowacji, Węgier (dodajmy także z Litwy, Ukrainy, Białorusi i Rosji), czyli z krajów sąsiadujących z Polską?

Kraków chciał jednak udowodnić, że bliżej nam do Wiednia, Berlina, Rzymu i Paryża niż do miejsca, w którym jesteśmy. Z tej nadgorliwości, z tego udowadniania, wyrastania ponad siebie, pospiesznej mieszaniny i mnogości – wzięła się... niestrawna jakość krakowskiej edycji Europejskiego Miesiąca Kultury.

„Zadziwiliśmy” Europę, pouczyliśmy ją i w zamian oczekiwaliśmy równie wielkich rzeczy: „worków złota”, przywilejów, tytułów i statusów. Na takich właśnie, wysokich i histerycznych, odbywało się to diapazonach. Podkreślam, że nie chodzi o niekwestionowaną wartość dokonań artystycznych, lecz formę ich prezentacji i sposób traktowania innych – tych z Zachodu i tych ze Wschodu.

Idea europejskich miesięcy kultury (w 1992 roku Kraków realizował ją równoległe z Madrytem, a rok później

przeniesiono ją do Grazu) – pęczniała z roku na rok. Do otrzymania tytułu Europejskiej Stolicy Kultury trzeba było już imprez nie w wymiarze jednego miesiąca, lecz 12 miesięcy. Przez to idea stawała się coraz bardziej pusta.

Pod wpływem doświadczeń zmieniała się (nieco ostygła) polityka euroentuzjastów z Brukseli. Powodem ostygnięcia był koszt zjednoczenia Niemiec, głównego ideologa zjednoczenia Europy. W stopniu większym niż zapowiedziano zaczęto przerzucać koszty na naszą stronę.

Zaraz po zakończeniu krakowskiego EMK w lipcu 1992 roku dyrektor Międzynarodowego Centrum Kultury deklarował następne festiwale sztuki, finansowane (na pewno nie w całości) – tym razem przez władze austriackie.

Oprócz dyrektora krakowskiego Europejskiego Miesiąca Kultury – Purchli, o kontynuacji marzyli także dyrektorzy Marchwica i Opalski. Podkreślali, że Kraków zdobywając tytuł Europejskiej Stolicy Kultury „uzyska nie tylko wymierne korzyści kulturalne, ale co najważniejsze – finansowe”. Mieliśmy udowodnić, że „na kulturze można zarobić. I nie tylko poprzez zyski ze sprzedaży biletów, ale z rozbudowy infrastruktury festiwalowo-turystycznej i uniknięcia bezrobocia”. Dzięki temu zostaną „zrewaloryzowane zabytki, uzupełnione zbiory biblioteczne, podźwignie się uniwersytet, słowem – wszystko, czego nam brakuje”.

Wybrana w 1994 roku Rada Miasta Krakowa drugiej kadencji uchwaliła rok później docelowy „Program Kraków 2000”. Festiwal stał się oczkiem w głowie prezydenta miasta (obecnie i radnego, i posła UW) Józefa Lassoty, który realizację projektu powierzył swojemu zastępcy, Krzysztofowi Goerlichowi.

W listopadzie 1995 roku Rada Ministrów Kultury Unii Europejskiej, przyznała Krakowowi upragniony tytuł Europejskiej Stolicy Kultury w roku 2000. Aby nikogo nie zrazić, przyznano go większości ubiegających się miast. Oprócz Krakowa jest to Avignon, Bergen, Bolonia, Bruksela, Helsinki, Praga, Reykjavik i Santiago de Compostela.

W lutym 1996 roku w Krakowie zawiązано Stowarzyszenie Europejskich Miast Kultury roku 2000 (AECC) i przyjęto wspólne i osobne założenia programowe. Avignon miał pracować pod hasłem „Sztuka i Twórczość”,

Bergen: „Sztuka, Praca i Wypoczynek”, Bolonia: „Informacja i Komunikacja”, Bruksela: „Miasto”, Helsinki: „Wiedza, Technologia i Przyszłość”, Praga: „Dziedzictwo kultury”, Reykjavik: „Natura a Kultura”, Santiago de Compostela: „Europa i Świat”, Kraków: „Myśl – Duchowość – Twórczość”. Trudno o bardziej akademickie, pretensjonalne i nadęte hasła.

W 1995 roku powołano Komitet Honorowy Festiwalu Kraków 2000 z premierem, ministrem kultury, wojewodą, prezydentem miasta i metropolitą krakowskim. Wybrano Radę Programową, której przewodniczącą została Elżbieta Penderecka.

Powołano także Komitet Organizacyjny. Okazało się, że byliśmy jedyną spośród dziewięciu „stolic europejskiej kultury”, która porwała się na organizowanie festiwalu przez pięć kolejnych lat, do kulminacji w roku 2000. Krakowską zabę rozdepto więc pięciokrotnie.

Pomysł ten zawarto w przygotowanym przez władze miasta „Programie Kraków 2000” zanim jeszcze Rada Europy wybrała stolicę roku 2000. Oponentów nie brakowało, ale kuszone perspektywą uczynienia z Krakowa miasta, które zarobi na swój rozkwit i dobrobyt przy pomocy kultury, festiwali i turystyki. A wszystko to za unijne pieniądze, nad którymi powiewała triumfalnie flaga „zaszczytu i prestiżu” oraz „różowej przyszłości”.

Tymczasem festiwal nie zarabiał na Kraków, lecz odwrotnie. Tym bardziej więc nie było za co budować infrastruktury festiwalowo-turystycznej, ze standardową salą koncertową na czele.

Dotacje Unii Europejskiej ograniczyły się w zasadzie tylko do przyznania „zaszczytnego tytułu”. Nic dziwnego, że w przyznawaniu dotacji wahał się rząd polski i sponsorzy. Argumentowano, że nie można przyznawać pieniędzy z powodu braku programu, kosztorysu, organizacji, a nawet biura festiwalowego. Nie było nikogo, kto by przerwał festiwalowe pasmo. Nie opłacało się to nie tylko Krakowowi i Warszawie, ale również Brukseli.

Rozrastający się Kraków potrzebował koniecznych, wielkich inwestycji. Irytująco brzmiały więc deklaracje ekipy prezydenta Lassoty o planowaniu na rok 1997 amfiteatru na

Zakrzówku, 1998 – sali kongresowej w Krakowskim Centrum Komunikacyjnym, 1999 – kompleksu koncertowo-operowego przy Rondzie Grunwaldzkim. Oczekiwano sali na trzy tys. miejsc. Czekać na nią, imprezy festiwalowe odbywały się w małej krakowskiej filharmonii, w kościele św. Katarzyny, na dziedzińcu wawelskim, w ogrodzie Muzeum Archeologicznego, na płycie Rynku Głównego i gdzie tylko jeszczę się dało.

Według jednej z wersji początkowego kosztorysu pięcioletni Festiwal Kraków 2000 miał pochłonąć około 880 miliardów starych (czyli 88 milionów nowych) złotych, z czego 180 mld z budżetu miasta, 400 mld z budżetu państwa oraz 300 mld od sponsorów. Droga do finału była bardzo daleka i kręta.

Festiwal Kraków 2000 był, ale jakby go nie było. Wydział Kultury Urzędu Miasta miał swój samorządowy „Program Kraków 2000”. Rada Programowa obradowała sobie, Fundacja Polska i jej Komitet Organizacyjny sobie. Poszczególni członkowie nie oglądając się na pozostałych zaczęli organizować festiwalowe imprezy na własną rękę.

Jedni od drugich oczekiwali konkretnych działań. Spierano się o to, czy budżet przygotowuje się przed programem, czy program przed budżetem.

Spór taki nie miał miejsca w przypadku Weimaru („europejska stolica kultury” roku 1999), który wiedział od początku, że może dysponować kwotą 48 mln marek i koniec.

Narastał chaos i wzajemne niechęci. Co zatem łączyło ludzi w to zaangażowanych? Wydaje się, że szansa na wykorzystanie pieniędzy. Także dla kultury, Polski i Krakowa.

Pięcioletni Festiwal trwał. Patronem 1996 roku został Andrzej Wajda. Odbył się jego Festiwal Filmowy wzbogacony o innych mistrzów kina (m.in. Kurosawę), przy okazji sproszono do Krakowa V Festiwal Unii Teatrów Europy z najlepszymi scenami.

Biuro zarządzające tą imprezą musiało powstać niezależnie od skonfliktowanych stron. Od tej pory niemal każda impreza, a na pewno każdy patron kolejnego roku, aby zrealizować swoje projekty zaczynał od tworzenia własnych struktur organizacyjnych.

Zawał nastąpił w październiku 1996 roku, kiedy z wiel-

kim hukiem z festiwalu wycofał się Zbigniew Preisner, wybrany patronem roku 1997. Powodem było niedotrzymanie przez miasto umowy o stworzeniu odpowiedniej infrastruktury lub przynajmniej zmodernizowania istniejących obiektów, w których miałyby się zrealizować projekty Preisnera, który zamierzał zaprosić znanych międzynarodowych aktorów i reżyserów. W roku 2000 planował wielki koncert pt. „Cywilizacja”, autorstwa jego, Krzysztofa Kiesłowskiego i Krzysztofa Piesiewicza. Do organizowania swojego festiwalu zamierzał wynająć największą europejską kampanię producencką „Odyssey”. Promocją już się zajęła stacja radiowa RMF FM, podczas gdy miasto prowadziło rozmowy z telewizyjną „Dwójką”. Koszt przedsięwzięcia Preisner szacował na jakieś 51 mld starych złotych.

W końcu, zniecierpliwiony i obrażony kompozytor zamknął swoje biuro festiwalowe i wyjechał z kraju.

Sytuację z października 1996 roku wykorzystali dyrektorzy z Fundacji Kultury, którzy zaraz po Preisnerze złożyli swoje rezygnacje. Rada Miasta powołuje wtedy własne Biuro Festiwalu Kraków 2000, które obejmuje były dyrektor Instytutu Polskiego w Paryżu, Bogusław Sonik. Biuro to funkcjonuje tym razem jako tzw. zakład budżetowy, podlegający bezpośrednio Zarządowi Miasta. Z siedziby magistratu wkrótce przenosi się do wyremontowanego (już w „cudownym tempie”) byłego Domu Wileńskiego przy ulicy Św. Krzyża.

Radni krakowscy co jakiś czas powtarzali swoje zarzuty i obawy o niegospodarność i chaos kompetencyjny. W czerwcu 1996 roku Komisja Rewizyjna pisała, że „Fundacja Kultury stosowała drenaż budżetu gminy, a otrzymane środki wydatkowała bez dokładania starań o oszczędne nimi gospodarowanie”. Dokumenty finansowe zostały przekazane do zbadania przez NIK.

Organizatorzy festiwalu pracowali pod nieustanną presją. W czerwcu 1997 roku po koncercie pt. „Mieszkańcy wieży pieśni”, który odbył się w ogrodzie Muzeum Archeologicznego dla 600-osobowej widowni, zarzucono wypłacanie zawyżonych honorariów. Od tej pory artyści zaczęli „sekować” Kraków. Nastąpiła pora wzajemnych personalnych złośliwości, polegających na utrudnianiu sobie życia.

Trudno było oczekiwać, by radni „dla dobrej sprawy” nie kontrolowali sposobu wydawania publicznych pieniędzy, bo m.in. po to się ich wybiera, z drugiej strony radni swoje akcje prowadzili chyba nie tak i nie tam gdzie trzeba. To na pewno nie przysłużyło się festiwalowi. W każdym razie jego finanse były sprawdzane rok po roku.

Rok 1997, po skandalu na linii Preisner-miasto, zostaje naprędce zastąpiony Rokiem Poezji. O jego firmowanie Rada Programowa osobistymi adresami uprasza mieszkańców w Krakowie noblistów: Wisławę Szymborską i Czesława Miłosza. W październiku udaje się zorganizować „Spotkanie Poetów Wschodu i Zachodu” z udziałem m.in. Natalii Gorbaniewskiej, Julii Hartwig, Liny Kostenko, Ryszarda Krynickiego, Paula Muldoona, Jewgienija Riejna, Knutsa Skujeniksa, Tomasa Tranströmera, Tomasa Venclovy i Adama Zagajewskiego.

Po kryzysie z października 1996 ruszono festiwalowi z odsieczą. Dzięki temu w marcu 1997 roku odbył się I Wielkanocny Festiwal Beethovenowski – dzieło Elżbiety Pendereckiej, która przy tej okazji ujawniła swoje ukryte wielkie talenty menadżerskie. Okazją stała się 170. rocznica śmierci Beethovena. W Bibliotece Jagiellońskiej wystawiono manuskrypty kompozytora pochodzące ze zbiorów Biblioteki Pruskiej. Strona niemiecka wykorzystała to do zgłoszenia rewindykacji dzieł; strona polska nie umiała tego dyplomatycznie wykorzystać. Wkrótce potem „Jagiellonkę” zaczęły prześladować afery z odnajdywaniem jej zbiorów na rynkach antykwarycznych. Przy okazji udowodniono, że „Jagiellonka” sama nie wie co i gdzie ma... Rok później poszerzono wystawę beethovenowską o rękopisy Mozarta i Haydna, także wyjęte ze zbiorów „Jagiellonki”.

W krytycznym roku 1997 uaktywnił się jeszcze inny członek Rady Programowej, Jacek Woźniakowski, realizując pomysł pt. „Między Wawelem a Giewontem” (o związkach kulturalnych Krakowa z Zakopanem). W gorączce „ratowania tytułu, szczytu i prestiżu” zaczęto także zapęłniać program festiwalu pseudowydarzeniami, o których nie warto wspominać.

Rok 1988 nazwany Rokiem Muzyki lub Festiwalem Krzysztofa Pendereckiego także odbył się jesienią. Wykonano ok. 20 utworów tego kompozytora. Przewodnicząca Rady Programowej Elżbieta Penderecka siłą rzeczy zmieniła się w

dyrektora artystycznego Festiwalu Kraków 2000.

Rok 1999 stał pod znakiem kontynuacji (III Festiwal Beethovenowski) i zbierania sił na rok 2000. Ważnym wydarzeniem był Festiwal Środkowoeuropejski, zorganizowany przez Międzynarodowe Centrum Kultury, prezentujący „kultury narodowe i regionalne w wielokulturowym kontekście Krakowa”, z położeniem akcentu na udział kultury żydowskiej.

Wybrane w wyborach samorządowych jesienią 1998 roku nowe władze miasta nie mają innego wyjścia jak dalej „połykać żabę” srokurowaną im przez poprzedników. Wziął to na siebie prezydent miasta. Jemu osobiście podlega Biuro Festiwalowe i dyrektor Bogusław Sonik; trzecim centrum festiwalowym pozostaje Elżbieta Penderecka.

Tegoroczny program, który ma wieńczyć pięć lat trwające zmagania, stanowi zarazem... otwarcie Festiwalu Kraków 2000. Ta kosztowna sprzeczność wyraża wszystko. Imprezy festiwalowe to wybuchają, to gasną. Wpłynęło to na pewno na zachwianie czytelności festiwalu i jego odbioru przez mieszkańców.

15 stycznia br. na Rynku Głównym inauguracyjne przemówienie wygłosił prezydent miasta w obecności marszałków obu izb parlamentu, przedstawicieli rządu, prezydenta i miast-stolic roku 2000. Gwoździem programu uczyniono „Pochód królów” według projektu Waława Szymanowskiego, w inscenizacji Andrzeja Wajdy i Krystyny Zachwatowicz. Królewskie truchła przy dźwięku dzwonu Zygmunta przeszły z Wawelu na Rynek, budząc raczej trwogę i nadzieję, że z powrotem znikną w wawelskich katakumbach. Płytę Rynku wykorzystano jako scenę do historycznego happeningu, w którym uczestniczyła także Piwnica pod Baranami, aktorzy Teatru Tadeusza Kantora, sceny z „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego, a także Tatarzyn mierzący z łuku do hejalisty. Całość zakończył... pokaz laserowy z muzyką Marka Chołoniewskiego. W Rynku, który kilka dni wcześniej, w noc sylwestrową zmieścił 100 tys. osób, zjawilo się zaledwie 15 tys. widzów.

Impreza otwarcia festiwalu kosztowała 580 tys. zł., z czego 400 tys. zadeklarowali sponsorzy (w tym 200 tys. Centrum Handlowe „Carrefour”, 100 tys. firma budująca



Krakowskie Centrum Komunikacyjne – Tishman Speyer Properties sp. z o.o., której dyrektorem były wiceprezydent Krzysztof Goerlich.

Tym razem media, włącznie z telewizją, stanęły na wysokości zadania. Wszystkim otwarcie końca Festiwalu Kraków 2000 zaparło dech w piersiach.

Program roku 2000 pod hasłem „Myśl – Duchowość – Twórczość” obejmuje ok. 90 imprez, w tym Festiwal Stanisława Wyspiańskiego, Festiwal Tadeusza Kantora, IV Wielkanocny Festiwal Beethovenowski, „Cykl wielkich wykonań”, na który złoży się siedem koncertów w wykonaniu m.in. Norddeutscher Rundfunk Sinfonieorchester z Hamburga, Concentus Musicus z Wiednia i New York Philharmonic. Poza tym wpisano XXV Krakowskie Reminiscencje Teatralne, X Festiwal Kultury Żydowskiej, Krakowską Wiosnę Baletową, XIX Międzynarodowy Festiwal Piosenki Żeglarskiej, Japoński Dzień Dziecka, Pochód Jamników, Festiwal Rytuałów i Teatrów Obrzędowych, Międzynarodowe Triennale Grafiki, Małopolskie Dni Internetu oraz wystawy, m.in.: „Wawel 1000-2000” (w tym po raz pierwszy pokaz wszystkich arrasów), „Skarby Uniwersytetu Jagiellońskiego”, „Bogowie starożytnego Egiptu” i wystawę inauguracyjną „Obrazy modlitwą malowane” (287 ikon).

Etykieta festiwalową przybito w tym roku prawie wszystkim co się dało – aby zakończyć tę rekordową imprezę na dobre i na złe.

Festiwal kosztował w sumie blisko 50 mln złotych (tyle co rozpoczęta w zeszłym roku budowa od podstaw początkowego odcinka linii szybkiego tramwaju). Finanse festiwalu w ciągu pięciu lat jego trwania pochodziły z budżetu państwa, budżetu miasta, od sponsorów i z własnych wpływów.

Dyrektor Bogusław Sonik taki daje komentarz do tej cyfry.: „Wkład różnych donatorów był niejednakowy. O ile gmina zwiększyła swój udział mniej niż dwukrotnie, a państwo blisko ośmiokrotnie, to wzrost udziału sponsorów prywatnych i wpływów własnych biura był niemal dwudziestokrotny”.

Wielką klęską festiwalu były śmieszne dotacje z Unii Europejskiej, rzędu 30 tys. euro, a na zadanie wspólne dzie-

więciu stolic roku 2000 (m.in. wykonanie muzyki sakralnej wg XII-wiecznego manuskryptu „Codex Calixtinus”) po 244 tys. euro. Nie wierząc w te dane, wiele redakcji poprawiało „tysiące” na „miliony”.

Mimo sztandarowej obrony festiwalu, dyrektor Sonik przyznaje, że nie zyczyłby nikomu realizacji takiej idei, a już na pewno nie przez pięć lat. Kosztowny błąd polegał na rozbudzeniu marzeń, a potem pozostawieniu wybranych miast samym sobie.

Na tle pozostałych ośmiu stolic kultury roku 2000 Kraków nie wypadł najgorzej. Podobne wstrząsy przeżywano w Avignonie i Bolonii. Najlepiej organizacyjnie spisali się Skandynawowie w Bergen i Helsinkach. Również programy innych miast wypadają podobnie albo jeszcze gorzej, czyli eklektycznie, przypadkowo i jakby na odczepnego.

Co zostanie po festiwalu? Parę wartościowych imprez, które zostaną dopisane do kalendarza kulturalnego Krakowa, na pewno Centrum Informacji Kulturalnej przy ul. św. Jana.

Mimo pięciu lat starań, nie udało się zrealizować żadnego z planów inwestycyjnych. Centrum Koncertowo-Kongresowe doczekało się dopiero teraz konkursu na projekt architektoniczny. Miasto nadal tkwi na etapie porządkowania spraw własnościowych terenu, na którym miałyby stanąć obiekty festiwalowe. Bez tytułu Europejskiej Stolicy Kultury obiekty takie już posiadają Katowice, Kielce i Rzeszów.

Nie wykorzystano także szansy rozwoju krakowskiej turystyki. Wprawdzie Biuro Festiwalowe, według zapewnień dyrektora, udziela się poprzez oferty na Międzynarodowych Targach Turystycznych oraz przez współpracę z Polską Organizacją Turystyczną, ale z drugiej strony nie załatwiono tak elementarnej sprawy, jak wydanie przez Zarząd Miasta zaplanowanego w zeszłym roku informatora turystycznego.

Podobno Festiwalowi Europejskich Stolic Kultury przyświecała głęboko ukryta idea, wymyślona przez niedoinwestowane chyba w każdym państwie ministerstwa kultury. Miał to bowiem być sposób na zmuszenie rządów i samorządów do zwiększenia coraz bardziej ułamkowych nakładów na kulturę; na niej miano zbudować zjednoczoną Europę, a w niej – przy pomocy kultury – powszechny dobrobyt.

Zdaniem dyrektora Sonika, festiwal krakowski ujawnił słabość instytucji kulturalnych, które rozsiewały pretensje i żale, nie potrafiąc przy tym sprostać takim wymaganiom menadżerskim jak czytelność programowa, przedstawienie kosztorysu czy dotrzymanie terminów.

Do osiągnięć Festiwalu Kraków 2000 być może zaliczony zostanie projekt wybicia przez władze miasta tysiąca medali pamiątkowych. Do rzeczy byłoby, aby na honorowym miejscu takiego medalu widniała „zaszczytna i prestiżowa” europejska żaba.

Jarosław KAJDAŃSKI

---

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

---

## Archiwum polityczne

### Tajwan – przyczótek wolności i demokracji na Dalekim Wschodzie

Kiedy Jan Paweł II w podróży do Korei Południowej w 1989 r. przelatując nad obszarem Związku Sowieckiego, w przeddzień jego rozpadu, w swej znanej inwokacji „Lux ex Oriente” podniósł znaczenie przywrócenia wolności i demokracji w Europie Środkowo-Wschodniej, miał na myśli również cały azjatycki Wschód. Podczas mojego pobytu w czerwcu w Republice Chińskiej czyli Tajwanie, przypomniałem to wezwanie papieskie nowo wybranemu Prezydentowi Republiki, Chen Shu-bien i zapytałem go czy obecnie, biorąc pod uwagę, że Europa przestała być podzielona, nie uważa, iż to „światło” może zabłysnąć również na Dalekim Wschodzie, a zwłaszcza w Chinach Ludowych? Jego odpowiedź brzmiała: „Z doświadczeń europejskich możemy wyciągnąć lekcję odnoszącą się do integracji w oparciu o demokratyczny rozwój i gospodarkę wolnorynkową. W Azji, chociaż rozwój społeczno-gospodarczy jest zróżnicowany w zależności od kraju, to jednak potrzeba demokracji jest wszędzie obecna. I nie jest ważne jaki jest stopień ubóstwa – demokracja i wolność stanowią pragnienie wszystkich krajów. Gospodarka nie może jednak blokować rozwoju demokratycznego. W tym miejscu chcę wyrazić mój szacunek i wdzięczność dla wkładu, jaki papież dokonał na rzecz pokoju, demokracji i wolności na świecie. I mam nadzieję, że plany tego papieża będą mogły być zrealizowane w strefie Chin kontynentalnych. Jeśli demokryzacja Chin będzie mogła być urzeczywistniona w możliwie

szybkim czasie, to będzie stanowić gwarancję pokoju na całym świecie". I dodał następnie, że w tym procesie nie tylko USA, lecz również Unia Europejska powinna odegrać bardziej aktywną rolę, wnosząc wkład do postulowanej demokratyzacji Chińskiej Republiki Ludowej. Sprawa jest oczywiście złożona i nie rokująca szybkich rezultatów, aczkolwiek podpisany niedawno układ pomiędzy demokratyczną Koreą Południową i komunistyczną Koreą Północną (otrzymała uprzednią aprobatę ze strony Pekinu!), natchnął prezydenta i rząd Tajwanu umiarkowanym optymizmem i spowodował propozycję negocjacji z Pekinem, zmierzającą do normalizacji wzajemnych stosunków i pojednania. Kiedy do tego dojdzie? – pierwsze reakcje były wprawdzie chłodne, ale nie odrzucające *a priori* tej propozycji. Sprawa rozbija się o interpretację formuły „jednych Chin”, czego domaga się Pekin, nie uznając suwerenności Tajwanu. Neo-prezydent tej republiki jest gotów ją przyjąć, w przeciwieństwie do swego poprzednika, z tym jednak, że wychodzi z założenia: „Jedno państwo, dwa równorzędne systemy polityczne”...

Nie ulega wątpliwości, że po 50 latach doświadczeń budowy demokracji, tzn. od klęski doznanej od komunistów przez Czang-Kai-Szeka, Tajwan zadrośnie strzeże swej pozycji kraju doskonale prosperującego wśród „tygrysów” azjatyckich (obok Japonii, Korei Południowej, Malezji i Singapuru).

Po pierwszych etapach wprowadzania gospodarki wolnorynkowej pod znakiem nacjonalistycznej orientacji Kuomintangu (aż do śmierci syna Czang Kai-Szeka w r. 1987) nastąpiła konsolidacja demokratycznego systemu i stabilizacja nie tylko w sensie materialnym. To państwo oznacza się dzisiaj znikomym bezrobociem (ok. 2%), rosnącym dobrobytem i znajduje się w czołówce państw na świecie, jeśli chodzi o dochód na mieszkańca, przeciętny o połowę wyższy niż we Włoszech). Mamy tu do czynienia z kapitalizmem uregulowanym, społecznie wyważonym i kontrolowanym. System ten jest stabilny przede wszystkim w sensie psychologicznym, kulturowym, co wynika w dużej mierze z chińskiej obyczajowości i wręcz cywilizacji.

Ten model kapitalizmu różni się znacznie od „dzikiego kapitalizmu” wprowadzonego w Polsce po przełomie w 1989 r., który – jak wiadomo – odznacza się istniejącymi wciąż

rażącymi rozpiętościami w poziomie życia pomiędzy dochodami nowobogackich i ubogich czy też z trudem dających sobie radę, zwłaszcza zatrudnionych w sektorach państwowych: administracji publicznej, oświacie i służbie zdrowia. Równie bijący w oczy kontrast odnosi się do stosunków międzyludzkich. W zestawieniu z polskimi elitami, w polityce i mediach, zachłyśniętymi sobą, skłóconymi i uprawiającymi monologi, stosunki te wyróżniają się zarówno dyscypliną myślenia i postępowania, jak i postawą opartą na wzajemnej życzliwości i poszukiwaniu zgody w zasadniczych kwestiach.

W warunkach gwarantowanej przez państwo wolności wyznań i przekonań panuje tendencja ku harmonijnej współpracy i wzajemnemu uzupełnianiu się. I dzięki temu zapoczątkowana osiem lat temu „spokojna, pokojowa rewolucja” jest kontynuowana.



W kontaktach z przedstawicielami wspólnot religijnych – od katolików począwszy (zaledwie ok. 300 tys. na 22 miliony mieszkańców) do buddystów i taoistów (12 milionów) – byłem pod wrażeniem ich racjonalnego i pragmatycznego podejścia. Katolicy i w ogóle chrześcijanie (protestantów jest ponad 400 tys.) patrzą na buddystów jak na sojuszników, a nie kandydatów do nawracania. I podobnie buddyści, mimo nie uznawania Boga Stwórcy i Zbawiciela, przyznają: „Jesteśmy wszyscy Dziećmi Bożymi”. I jak powiedzieli mi dwaj liderzy głównych ośrodków buddyzmu, współpracują lojalnie i skutecznie z chrześcijanami nie tylko w obronie pokoju wciąż potencjalnie zagrożonego przez Chiny Ludowe), lecz w codziennej aktywności w dziedzinie charytatywnej i promowania ludzi wymagających edukacji obywatelskiej.

Kardynał Paul Shan w Kaohsiung, drugim po stolicy Tajpej, mieście (ponad milion mieszkańców) na południowym krańcu tej wielkiej wyspy, przypomniał, iż Pius XI powiedział kiedyś: „Chińczycy to *animae naturaliter cristianae*”, czyli dusze w naturalny sposób chrześcijańskie. I zwrócił uwagę na fakt, iż pontyfikat Jana Pawła II spowodował, poprzez swe otwarcie w skali światowej, co widać doskonale w Azji, iż Kościół katolicki jest dziś zbliżony nie tylko do

wyznań monoteistycznych (islam i judaizm), lecz również do religii tradycyjnych o antycznych korzeniach, jak buddyzm, taoizm czy szintoizm. A Kościół w Tajwanie stał się „Kościółem-mostem” w stosunku do Chin kontynentalnych. Tajwańscy katolicy, z którymi mogłem spotkać się przy okazji zamknięcia Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego 25 czerwca, przy udziale 12 biskupów, licznych kapłanów i ok. 15 tys. wiernych, odnoszą się z respektem nie tylko do wyznawców innych religii, lecz również do niewierzących (i reakcje odwrotne są analogiczne).

Jednym z punktów kluczowych moich rozmów był dramatyczny podział istniejący w Chinach Ludowych pomiędzy Kościołem „patriotycznym” – oficjalnie uznawanym a Kościołem podziemnym (w przybliżeniu pierwszy liczy ok. 4 milionów wyznawców, drugi ponad 6). Zdaniem kardynała Paula Shana, mamy do czynienia ze sztuczną, narzuconą konfrontacją, pomiędzy postawą wierną dla autentycznych wartości chrześcijańskich i postawą upolitycznioną, oportunistyczną i w pewnej mierze potencjalnie schizmatyczną. Występuje tu wyraźna analogia ze zjawiskiem „księży-patriotów” czyli kolaborantów, działających w latach 50-tych i 60-tych w Polsce i Czechosłowacji.

Podobnie jak w anormalnych stosunkach w byłej strefie komunistycznej, reżim w Chinach Ludowych nabrał obecnie, po przegranej walce ideologicznej, cech skrajnie nacjonalistycznych w imię własnych interesów. Mówi się więc, iż *de facto* mamy do czynienia z „azjatyckim faszyzmem”. Wiąże się to z zabiegami rządzących o wejście do WTO, Światowej Organizacji Handlu (akces ten popiera Administracja Amerykańska) i stąd rozwijający się stale przemysł i handel prywatny. Potwierdził to spotkany tajwański przedsiębiorca z Szanghaju, reprezentujący dwie znane amerykańskie firmy. Jego zdaniem, reżim na kontynencie ulega stopniowej transformacji pod naciskiem współczesnej technologii i informatyki, licząc się zarówno z Waszyngtonem, jak i z Moskwą. A przykład Tajwanu jest bezsprzecznie zaraźliwy, oczywiście w sensie pozytywnym.

W oczekiwaniu, nie biernym jednak lecz nader aktywnym, na odzew z tamtej strony Cieśniny Tajwanu (przyjęty potocznie termin stosunków z Chinami Ludowymi brzmi:

*across Taiwan Strait*), Republika Chińska stanowi rękojmię przyspieszenia demokratycznej transformacji Chin Ludowych i w pewnej mierze również pozostałych rejonów Azji Wschodniej. Ten niewielki kraj, oparty nie tylko w treści swej Konstytucji, ale i w praktyce życia publicznego na zasadach „pluralizmu, praworządności i równomiernego dobrobytu”, stanowi bowiem przyczółek wolności i demokracji w tej strefie – demokracji która zdała egzamin.

Biorąc pod uwagę istniejący dziś kryzys Kościoła na Zachodzie, zwłaszcza w Europie, kraj ten ujawnia, na progu trzeciego tysiąclecia, urodzajną, zaskakującą przestrzeń dla nowoczesnego, funkcjonującego prawidłowo, sprawiedliwego ustroju politycznego i społeczno-gospodarczego, stwarzającego równocześnie warunki dla autentycznej wolności religijnej. Jak się coraz bardziej okazuje, to właśnie w Azji wschodniej, czyli na obszarze jaki przywykliśmy utożsamiać z zacofaniem i kultem bożków, powstaje nowy, sprzyjający klimat, o czym świadczy m.in. rzeczywistość w Tajwanie, pod znakiem oświeconego humanizmu. Świadomy tej perspektywy nowy Prezydent Tajwanu zaprosił Jana Pawła II do złożenia wizyty w tym kraju, czego „pragną – jak oświadczył – wszyscy katolicy i 22 miliony tajwańczyków”. Ta podróż może dojść do skutku jedynie wówczas, kiedy pojawią się ze strony Pekinu wyraźne, konkretne sygnały wkraczania na drogę demokratyzacji (nie tylko w gospodarce) i przywrócenia wolności Kościołowi i katolickiej wspólnoty.

Kardynał Paul Shan nie ma wątpliwości: „nieodzwonne jest uprzednie wyklarowanie sytuacji w zakresie praw ludzkich, a tym samym religijnych, do tej pory nierespektowanych”.

*Dominik MORAWSKI*

PS. Stolica Apostolska należy do nielicznych państw utrzymujących stosunki dyplomatyczne z Republiką Chin. Przeszkodę stanowi fakt, iż Tajwan nie należy do ONZ na skutek oporu Chin Ludowych. Równocześnie jednak ponad 150 krajów utrzymuje z Tajwanem stosunki handlowe, kulturalne i turystyczne – również Polska – poprzez obustronne stałe przedstawicielstwa.

## Kaliningrad

Polska zawsze miała pecha w stosunku do Królewca. Nie przyłączono go, jak i całych Prus Książęcych, których był stolicą do przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Nie udało się, mimo nadziei, o których znakomicie pisze prof. Wrzesiński, przyłączyć Królewca do Polski po II wojnie światowej. Przebieg granicy polsko-sowieckiej regulowała dwustronna umowa z 16 sierpnia 1945 roku. Dawne Prusy Wschodnie podzielono w niej najzupełniej sztucznie, bez cienia szacunku dla istniejących granic administracyjnych, uwzględniania warunków geograficznych. Z istniejących przed wojną trzech rejencji (Gąbińskiej, Królewieckiej, Olsztyńskiej) Polsce w całości przypadła tylko ta ostatnia. Ostateczny przebieg granicy pomiędzy PRL a ZSSR również był swoistą wypadkową, między lokalnymi stosunkami polskiej władzy cywilnej a jednostkami wojsk sowieckich, które niejednokrotnie samowolnie przesuwają granicę, oraz „wielką” polsko-sowiecką polityką. I tak, wbrew początkowym ustaleniom w Darkejmach i Świętej Siekierce, nigdy nie powstały polskie władze, zaś Pruską Hławkę (niem. Preussische Eylau, ros. Bagrationowsk), Frydland (niem. Friedland, ros. Prawdinsk) i Gierdawy (niem. Gierdauen, ros. Żelaznodorożnyj) polska administracja musiała opuścić.

Próżno szukać, może poza kaliningradzkimi pisarzami, o których będzie jeszcze mowa oraz nielicznymi zabytkami, które dziś są z pietyzmem odtwarzane, jakichkolwiek związków pomiędzy Królewcem sprzed 1945 roku, a dzisiejszym Kaliningradem. Także używanie nazwy Koenigsberg w odniesieniu do Kaliningradu wydaje się być pewnym nadużyciem. Bowiem koniec dawnego Królewca nieodwołalnie rozpoczął się z końcem II wojny światowej. Pierwszeństwo należy się Brytyjczykom, którzy w sierpniu 1944 roku dotkliwie zbombardowali zabytkowe centrum miasta. To wtedy zniszczeniu

uległa zabytkowa katedra, w której koronował się w 1701 roku na króla Prus Fryderyk I. Po rozpoczęciu sowieckiej ofensywy zimowej 13 i 14 stycznia 1945 roku (zwanej „wschodniopruską”), po uporczywej obronie zupełnie zniszczony Królewec poddał się 9 kwietnia 1945 roku.

Na mocy dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSSR z 7 kwietnia 1946 roku utworzono obwód koenigsberski w składzie Sowieckiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Radzieckiej. Niewiele później, bowiem 7 lipca 1946 roku Rada Najwyższa ZSSR nazwała miasto na cześć zmarłego 3 czerwca 1946 roku M. Kalinina Kaliningradem, zaś cały obszar Obwodem Kaliningradzkim. W ślad za tą zasadniczą zmianą posypały się zmiany nazw innych, mniejszych miejscowości. Było niemalże regułą, że nowe nazwy nie miały nic wspólnego z poprzednimi określeniami niemieckimi. Były najczęściej albo neutralnymi terminami związanymi z opisami przyrody, pochodziły od nazwisk sowieckich i co ciekawe rosyjskich dowódców wojskowych, którzy niegdyś walczyli na tych terenach, bądź swe źródło miały w sowieckiej ideologii, na czele z Sowiekiem, dawniej zwanym Tylżą (niem. Tilsit). I tak Preussische Eylau, gdzie w 1807 roku Rosjanie stoczyli niezwykle krwawą bitwę z wojskami napoleońskimi, przemianowana została Bagrationowsk, zaś Insterburg, z którego *n.b.* na kampanię wrześniową wyruszyła jedyna niemiecka brygada kawalerii – (pol. Wystruć) został Czerniachowsk, na cześć poległego podczas operacji wschodniopruskiej (pod znajdującym się dziś w Polsce Pieniężnem) sowieckiego generała Czerniachowskiego.

Generalnie rosyjska tradycja Obwodu łączy się przede wszystkim z historią rosyjskiej wojskowości. Prusy Wschodnie po raz pierwszy pod rządami rosyjskimi (gubernatora Wasilija Suworowa, ojca „rzeźnika Pragi” gen. Suworowa), znalazły się podczas wojny siedmioletniej (1758-1762). Później, wojska rosyjskie pojawiły się w prowincji jako sojusznicy Prus w walce z Napoleonem w 1807 i 1813.

W roku 1945 opanowanie tych terenów odbyło się kosztem olbrzymich strat ludzkich Armii Czerwonej. Nic więc dziwnego, że już we wrześniu 1945 odsłonięto w Królewcu pomnik poległych w walce o zdobycie tego miasta czerwonoarmistów. Do dziś, w samym mieście znajduje się

mnóstwo tablic przypominających krwawe straty poniesione przy przełamywaniu poszczególnych niemieckich węzłów oporu. W przeciwieństwie do polskiej części dawnych Prus Wschodnich, w Kaliningradzie, obiekty te otoczone są widoczną troską, zaś przy największym z cmentarzy wojskowych w Kaliningradzie, młodożęcy w ślubnych strojach składają kwiaty.

Żywe tradycje wojskowe mają także źródło w strukturze ludności. Nie jest tajemnicą, że wojskowi stanowią znaczny procent mieszkańców Obwodu. Według różnych źródeł, w Obwodzie przebywa blisko 60 tys. rosyjskich wojskowych (na nieco ponad 900 tys. wszystkich mieszkańców)<sup>1</sup>. Zresztą przez cały okres powojenny Obwód Kaliningradzki jako jedna z najsilniejszych baz Armii Sowieckiej i Floty Bałtyckiej był okręgiem silnie zmilitaryzowanym, aż do roku 1990 praktycznie odcięty od świata.

Równie dramatycznie jak tożsamość miasta zmieniła się struktura narodowościowa mieszkańców. Niemcy, którzy przeżyli działania wojenne i powojenny terror, zostali deportowani do Niemiec. Ocenia się, że po zakończeniu działań wojennych w sowieckiej części Prus Wschodnich pozostało 110-120 tys. osób. W ciągu dwóch lat, z powodu nadzwyczaj trudnych warunków życia zginęło od 30% do 75% tej ludności<sup>2</sup>. Zaraz po zakończeniu działań wojennych na terytorium Obwodu zaczęli napływać przesiedleńcy z różnych stron Związku Sowieckiego. Jak podaje Walerij Galcow<sup>3</sup> przybyli do Królewca w kwietniu 1945 roku Polacy liczyli, że miasto znajdzie się w granicach Polski. Mimo intensywnej akcji osadniczej, do dziś obszar ten zamieszkuje blisko 100 tys. osób mniej niż przed 1919 rokiem. Można szukać wielu przyczyn takiego stanu rzeczy, powoływać się na wojenne zniszczenia i powojenną biedę, ale trudno uciec od natrętnej myśli, że Rosjanie ciągle jeszcze czują się w Obwodzie obco,

1. W niektórych źródłach podawano nawet oszałamiającą liczbę 300 tys. żołnierzy, patrz: M. Szymański. „Potencjał militarny w Obwodzie Kaliningradzkim a bezpieczeństwo Polski”, *Przegląd Zachodni* nr 1(290) 1999, s. 146.

2. W. Galcow, „Obwód Kaliningradzki w latach 1945-1991”, w: *Komunikaty Mazursko-Warmińskie*, nr 2/1996, s. 205

3. jw. s. 202.

niejako przejazdem, przypadkiem. Doskonale to widać po stanie budynków, dróg, wszechobecnym bałaganie i niechlujstwie. Przyczyną może być fakt, że wojskowi i ich rodziny nie mogli się zżyć z miejscem, z którego w każdej chwili mogli być służbowo przeniesieni w inny zakątek imperium. Musimy jednak pamiętać, że tradycje wojskowe, zdobywcze, nie mogą wystarczyć dla sprawnego, wszechstronnego rozwoju miasta. Stąd też dzisiejszy Kaliningrad ciągle jest miastem, w którym znajdują się pomniki Lenina i Kalinina, no i obowiązkowo gwiazdy na budynkach. Zabytkowy zamek królewiecki, który chociaż ciężko uszkodzony przetrwał wojnę, został rozebrany w roku 1969. W jego miejsce postawiono olbrzymi ratusz, wykonany w najgorszym socrealistycznym stylu, który z powodów, czy to finansowych, czy też wadliwości konstrukcji, po dziś dzień stoi niewykończony.

Pisanie o przyszłości Obwodu Kaliningradzkiego należy do rzeczy nader dla publicysty ryzykownych. Warto pamiętać, że na początku lat 90-tych, w chwili upadku Związku Sowieckiego, snuto rozmaite wizje przyszłości Obwodu. Dziś wydawać się mogą śmieszne, ale warto je przypomnieć. Bez wątplenia najbardziej wpływająca na wyobraźnię była koncepcja utworzenia czwartego, obok Litwy, Łotwy i Estonii, państwa bałtyckiego o nazwie „Borussia”<sup>4</sup>. Na łamach *Rzeczypospolitej* do autorstwa tego pomysłu przyznał się znakomity litewski poeta Tomasz Venclowa. Jego zdaniem „W głębi duszy o przyłączeniu obwodu kaliningradzkiego do Litwy marzy prawie każdy Litwin”<sup>5</sup>. Karalaniebs, jak nazywają to miasto Litwini, jest zdaniem niektórych naturalną stolicą tzw. „Małej Litwy”. Można wzruszyć ramionami nad niektórymi litewskimi aspiracjami, faktem jest jednak, że leżący w granicach Obwodu Sowieck (Tylża), jest miejscem, skąd w XIX wieku rozpoczęło się litewskie odrodzenie narodowe.

W publikacjach prasowych wszystkich zainteresowanych stron, a więc w Niemczech, w Polsce, na Litwie i w Rosji,

4. *Niezawisimaja Gazieta* z 14 marca 1997.

5. *Rzeczpospolita* z dn. 24 września 1997.

o terytorialne zakusy Obwodu wszyscy oskarżali wszystkich. *Komiersant* zamieścił artykuł pod charakterystycznym tytułem „Warszawskij Zagawor”, ilustrowany przyszłą mapą Rzeczypospolitej, zagarniającej nie tylko Kaliningrad, ale i sięgającą daleko na wschód poza Psków i Smoleńsk<sup>6</sup>. Obawy w Polsce wzbudziła przeprowadzana na początku lat 90-tych akcja osiedlania w obwodzie Niemców z terenów dawnego Związku Sowieckiego, którą próbował zorganizować Dietmar Munter z Kilonii<sup>7</sup>. W samych Niemczech zaś pojawiła się pogłoska o ofercie sprzedaży Obwodu Kaliningradzkiego, jaką rzekomo w imieniu I sekretarza KC KPZR M. Gorbaczowa otrzymał ówczesny minister spraw zagranicznych RFN H. Genscher. Chociaż nikt nigdy przekonująco nie udowodnił prawdziwości samego istnienia tej oferty, Genscher, pod zarzutem działania na szkodę Niemiec, został podany do sądu przez jedną z organizacji ziomkowskich. Faktem jest jednak, że jeden z rosyjskich publicystów, Aleksander Dugin w książce „Podstawy geopolityki. Przyszłość geopolityczna Rosji”, wydanej w 1997 roku w Moskwie, stwierdził wprost, że Rosja powinna zwrócić Obwód Kaliningradzki Niemcom, by zniszczyć symbol bratobójczego, niemiecko-rosyjskiego konfliktu.

Im dalej jednak od upadku Związku Sowieckiego, tym bardziej widać, że wszelkie teorie zakładające jakiegokolwiek zmiany przynależności państwowej Obwodu należały do gatunku *political fiction*. Tym niemniej, trudno udawać, że w ciągu ostatnich lat w Obwodzie nie doszło do zmian, które mogą mieć niebagatelny wpływ na jego przyszłość. Po pierwsze Obwód otworzył się na świat, co prawda z postulowanej i nawet zaakceptowanej przez prezydenta Rosji Borysa Jelcyna Strefy Wolnego Handlu „Jantar” nic nie wyszło, to jednak Kaliningrad – obok Bałtyjska (niem. Pillau, pol. Pila- wa) jest członkiem „Euroregionu Bałtyk”, zrzeszającego nadbałtyckie tereny Danii, Szwecji, Litwy, Łotwy i Polski. Pojawiają się tam inwestycje niemieckie, polskie, litewskie. Jest to szczególnie ważne w Obwodzie, w którym poziom życia zaliczany jest do najniższych w Rosji: „wyprzedza co najwyżej

6. *Komiersant*, nr 10 z 24 marca 1998.

7. *Süddeutsche Zeitung* z 8 stycznia 1998.

Buriację, Inguszetię, oraz kilka innych regionów Federacji...”<sup>8</sup>. Nic więc dziwnego, że może toczyć się tam dochodzenie w sprawie majora Floty Bałtyckiej, który miał w ciągu miesiąca ukraść ziemniaki o wartości 3312 rubli<sup>9</sup>. Po roku 1990 Obwód otworzył się także dla turystyki.

Najważniejsze wydają się jednak próby przywrócenia miejsca jego historii. Z inicjatywy Marion Donhoff pieczętowanie otworzono pomnik Kanta przy Uniwersytecie w Kaliningradzie. Odbudowywana jest dzięki wysiłkom niemieckim także sama katedra. Trudno mówić w tym przypadku o jakiegokolwiek odbudowie zabytkowego Królewca, tak jak to miało miejsce np. w Gdańsku, bowiem poza Knipawą, wyspą na której znajduje się katedra, nie ma już po prostu na nią miejsca.

Dzisiejszy Kaliningrad jest szczególnym miejscem, w którym stykają się architektoniczne pozostałości komunizmu, początki odradzającego się prawosławia i zainteresowań historią miasta sprzed 45 roku. Nie może dziwić widok budowanej cerkwi, pierwszej z prawdziwego zdarzenia w Kaliningradzie, na tyłach pomnika Lenina, ani cerkiew w specjalnie zaadaptowanym pomieszczeniu gotyckiej katedry. Nie może także dziwić opinia rosyjskiego pisarza mieszkającego w Kaliningradzie: „...Kaliningradzki okręg, półwysep Sambijski to jedyna prawdziwie europejska enklawa zasiedlona w przeważającej większości przez Rosjan i na razie należąca do Rosji (...). My już czterdzieści lat próbujemy ‘strawić’ Prusy Wschodnie, a one stając się częścią nas samych – niezuważalnie nas samych ‘trawia’<sup>10</sup>. Jesteśmy głęboko przekonani, że z tego literackiego „trawienia” może powstać zupełnie nowa kulturowa, a w przyszłości także gospodarcza jakość.

Granica z Obwodem Kaliningradzkim jest jedynym fragmentem wspólnej polsko-rosyjskiej granicy. Po roku 1990

8. cyt. za: „Obwód Kaliningradzki. Przegląd faktów, wydarzeń, opinii”, Olsztyn, marzec 1999, s. 35.

9. „Obwód Kaliningradzki...” nr 4(56) 1999, s. 21.

10. Walentin Zorin, „Rysa na lustrze. Dziesięć snów o Königsbergu”, w: „Borussia. Ziemia i ludzie”, Olsztyn 1999, s. 488.

nawiązano wcześniej niemożliwą współpracę. Uruchomiono przejścia graniczne, linię kolejową łączącą Berlin z Kaliningradem, linię autobusową. Regularnie w sezonie letnim kursują pomiędzy Gdańskiem, Elblągiem a Kaliningradem statki pasażerskie. I przede wszystkim w Kaliningradzie otworzono polski konsul, co jest tym bardziej ważne, że mimo starań nie powstała podobna niemiecka placówka dyplomatyczna (choć jest szczególnie honorowane przedstawicielstwo Hamburgskiej Izby Handlowej). Tym niemniej trudno uważać, że udało się rozwiązać wszystkie wynikające z powojennej przeszłości problemy. Nowopowstałe województwo warmińsko-mazurskie ma najwyższy w kraju współczynnik bezrobocia. Tymczasem jedna z głównych atrakcji turystycznych tego regionu, jaką jest niewątpliwie Zalew Wiślany, pozostaje martwa. Rosjanie ciągle wbrew podpisanym przez siebie umowom blokują Cieśninę Piławską, jedyne wyjście z Zalewu na otwarte morze. Blokada, trwająca blisko 50 lat, spowodowała obumarcie nie tylko rybackich portów w Tolknicku, Fromborku oraz mającego spore znaczenie przed 1945 rokiem portu w Elblągu.

Warto także pamiętać, że już dziś granica pomiędzy Obwodem a Polską jest też granicą Rosji z NATO. Zapewne za kilka lat będzie to granica Rosji z Unią Europejską. W polskim interesie leży, by granica ta pozostawała maksymalnie otwarta.

Tymczasem w Polsce zainteresowanie Obwodem praktycznie nie istnieje. Jeżeli już w mediach pojawiają się jakieś wzmianki, to najczęściej pozbawione sensu, jak choćby informacja, że podczas interwencji NATO w Kosowie, w Kaliningradzie właśnie rekrutowano ochotników do walki po stronie serbskiej. Problemy Obwodu, wynikające z sąsiedztwa z Obwodem, są szerzej w Polsce nieznanne. Pozostają na wyraźnym marginesie nie najlepszych ostatnio stosunków polsko-rosyjskich. W zasadzie trudno jest się temu dziwić, bowiem tematyka Kaliningradu czasami pojawia się na łamach wydawanego w Poznaniu *Przeglądu Zachodniego*, olsztyńskich *Komunikatów Warmińsko-Mazurskich* oraz pisma *Borussia* – wydawanego przez Stowarzyszenie noszące tą samą nazwę. Nakładem tej ostatniej organizacji ukazała się, wydana po polsku, rosyjsku i niemiecku, potężnych rozmiarów antologia

literacka „Borussia. Ziemia i ludzie” pod redakcją Kazimierza Brakonieckiego i Wilfreda Lipschera, poświęcona Prusom, a więc i Kaliningradowi. Dzięki tej książce można się zapoznać z twórczością pisarzy i poetów niemieckich, polskich i rosyjskich związanych z Prusami. Nieocenione wprost zasługi dla zrozumienia sytuacji w Kaliningradzie oddaje Ośrodek Badań Naukowych w Olsztynie, wydający comiesięczny przegląd międzynarodowej prasy zajmującej się Kaliningradem.

Wszystkie te inicjatywy są jednak kroplą w morzu potrzeb. Ze smutkiem trzeba skonstatować, że mimo widocznego postępu w stosunkach, jaki nastąpił po roku 1990, Kaliningrad ciągle pozostaje „Atlantyda” polskiej polityki.

Elbląg, czerwiec 2000

Beata WILGA, Tomasz PICHÓR

## Syria – ciąg dalszy dynastii

Umarł król, niech żyje król – mówiło się, kiedy światem rządili królowie, a demokrację uważano za ekscentryczny pomysł starożytnych Greków. Ostatnio jednak demokracja stała się modna i większości udzielnych władców na rękę jest podawać się za demokratów, nawet jeśli jeszcze za życia, nadzwyczaj „demokratycznie”, wyznaczają własnych synów na następców władzy. Hafez Al-Assad, zmarły 10 czerwca tego roku prezydent Syrii, także lubił szafować słowem „demokracja” oraz niemodnym już, ale swego czasu nader chwytliwym pojęciem „socjalizm”. Demokratycznym socjalistą będąc, na wszelki wypadek też przygotował swoich synów (miał dwóch: *an heir and a spare* – jak mawiają Anglicy, czyli następcę i zastępcę) – pierworodnego Basila, a po jego tragicznej śmierci w roku 1994, młodszego Bashara – do przejścia władzy w państwie syryjskim.



Generał Assad został premierem Syrii oraz pierwszym sekretarzem socjalistycznej partii Ba'ath w wyniku przewrotu wojskowego, jaki miał miejsce w listopadzie 1970 roku. Zaraz po *coup d'état*, biorąc przykład z innych znanych organizacji socjalistycznych, w partii Ba'ath zrobiono czystkę, wyrzucając na bruk jej poprzednich przywódców. Już w marcu następnego roku Assada wybrano prezydentem na okres 7-letniej kadencji. Od tego czasu, co siedem lat, Assad wygrywał wszystkie kolejne wybory, w rezultacie rządząc Syrią nieprzerwanie przez trzy dekady. W ciągu minionych trzech dziesięcioleci Assad wprowadził w kraju szereg zmian politycznych, na przykład nową konstytucję, przyjętą większością głosów wyborców w marcu 1973 roku. Konstytucja ta definiuje Syrię jako "socjalistyczną demokrację ludową" charakteryzującą się „planową gospodarką socjalistyczną”. Prawo do głosowania ma każdy dorosły Syryjczyk, a udział w wyborach jest przymusowy. Partia Ba'ath odgrywa „przewodnią rolę w państwie i społeczeństwie”.

W świetle powyższych rewelacji nie ma się co dziwić, że przez całe lata Zachód całkiem słusznie uważał Syrię za satelitę Związku Sowieckiego. Nie trzeba też być ekspertem, aby zauważyć, że wewnętrzne sukcesy polityczne Assada – ciągłość władzy oraz utrzymywanie w żelaznych ryzach islamskiej opozycji – wynikały z „połączenia rozbudowanego aparatu represji z przyjaźnią ze Związkiem Sowieckim (*Middle East International*, maj 1984). Przyjacielskie stosunki z ZSSR niewątpliwie dały Syrii wgląd w cały szereg ciekawych kwestii, nie tylko związanych z eliminacją opozycji i utrwalaniem monopartyjnego systemu, ale także z ekspertyzą militarną, przemysłem zbrojeniowym, szkoleniem wojskowym, no i wsparciem finansowo-politycznym wobec zagrożenia izraelskiego. Prezydent Assad zyskał sobie zresztą wielki szacunek wśród arabskich państw regionu jako nieprzejednany przeciwnik Izraela. Do końca uparcie i skutecznie odmawiał zgody na pójście drogą Jordanii, Egiptu i wreszcie samych Palestyńczyków, którzy ostatecznie wybrali rokowania pokojowe i kompromisy z Izraelem. Pomimo tego, że Assad od lat konsekwentnie przeciwstawiał się polityce Izraela, a więc teoretycznie stał po stronie Palestyńczyków, ci ostatni nie zawsze godzili się z jego koncepcjami, widząc w nim przede wszystkim twardego

dyktatora, który dążył wyłącznie do własnych celów i miał skłonności autorytarne także wobec PLO, nazbyt często usiłując kontrolować politykę Jasera Arafata i jego organizacji. Dlatego po śmierci Assada wielu Palestyńczyków odetchnęło tym samym westchnieniem ulgi, co wielu Izraelczyków, twierdząc zgodnie, że dopiero teraz pojawia się nadzieja na nowe kierunki w bliskowschodnim procesie pokojowym, na poprawę stosunków izraelsko-syryjskich oraz palestyńsko-syryjskich.

Bashar Al-Assad ma 34 lata i, między Bogiem a prawdą, uważany jest przez niektórych Syryjczyków za *second best*, jako młodszy syn prezydenta, pozbawiony charyzmy swego starszego brata Basila, niezwykle przystojnego i bardzo popularnego w Syrii, aż do tragicznej śmierci w roku 1994. Bashar studiował medycynę w Anglii, specjalizując się w oftalmologii. Na brytyjskim uniwersytecie dosięgły go wieści o wypadku brata. Skończywszy studia, Bashar wrócił na stałe do Syrii, gdzie przejął rolę następcy prezydenta. Jego ojciec, Hafez Assad, starannie oczyścił partię, wojsko i wywiad z elementów niepewnych lub podejrzanych, torując Basharowi drogę do prezydentury. Już 12 czerwca, a więc dwa dni po śmierci Hafeza, „politbiuro” partii Ba'ath jednogłośnie ogłosiło Bashara dowódcą sił zbrojnych Syrii. W oficjalnym oświadczeniu podkreślono konieczność zachowania dotychczasowych kierunków polityki, dotychczasowych zasad i dotychczasowej stabilizacji. Nacisk na „dotychczasowość” i „stabilizację” zmartwił zachodnich obserwatorów, z których wielu wyrażało nadzieję, że Bashar – krew jeśli nie nowa, to przynajmniej młoda – zechce wyrwać się z objęć starej gwardii. Syryjska stara gwardia naturalnie przedkłada *status quo* nad reformy nie tylko dlatego, że jak każda stara gwardia generalnie boi się zmian, ale także dlatego, że, starannie dobierana przez lata rządów alawickiego przywódcy, składa się z alawickiej mniejszości (szyicka sekta alawitów stanowi około 10% społeczeństwa syryjskiego) i lęka się konkurencji Sunnitów. Teoretycznie rzecz biorąc, zachowanie dominacji Alawitów w sferach władzy powinno też leżeć w interesie Bashara, ale wiadomo, że młodzi są mniej ostrożni i bardziej otwarci na sugestie zmian, co nader niepokoi starszyznę, lecz budzi jednocześnie nadzieję na tak potrzebne Syrii reformy i modernizację systemu.

W międzyczasie jeszcze, niczym w sztuce Szekspira, pojawił się wujek nowego prezydenta, znieślawniony brat zmarłego Hafeza, Rifaat Al-Assad. To on miał być przecież kolejnym prezydentem! Znany z bezwzględności, niegdyś o skrajnie lewicowych sympatiach, Rifaat Al-Assad przeprowadził swego czasu skuteczną kampanię przeciwko fundamentalistycznej organizacji opozycyjnej Braterstwo Muzułmańskie, która zakończyła się w lutym 1982 roku atakiem na jej bastion w mieście Hamas na północy kraju. Z dokumentów Amnesty International wynika, że zmasakrowano tam ogromną liczbę ludności, zginęło między 10 a 25 tysięcy osób. Akcja wzmocniła reżim, ale Rifaat zyskał mało pochlebną opinię rzeźnika. W roku 1983 podjął próbę przewrotu, jednakże armia pozostała wierna Hafezowi, który akurat przeszedł atak serca. Hafez wybaczył bratu nielojalność i nawet mianował go wiceprezydentem. Niedowierzał mu jednak, bo zdecydował się przysposobić do władzy swego syna, Basila, co spowodowało kolejne niesnaski w rodzinie. W końcu Rifaat się doigrał: na konferencji w Iranie w połowie lat 80-tych wszem i wobec wezwał do liberalizacji i reform politycznych w Syrii, ostro krytykując rządy brata. Wściekły Hafez skazał go na banicję (znowu: jak u Szekspira). Z europejskiej emigracji Rifaat, który podobno posiada rezydencje w Marbelli, Paryżu, Genewie i Londynie, nie przestawał jednak nawoływać o kompromis z Izraelem i rozwiązanie kwestii ekonomiczno-socjalnych w Syrii. Trudno się zorientować, czy i jakie poparcie polityczne mógłby faktycznie uzyskać w Syrii, ale na pewno cieszy się pewną sympatią w Egipcie i w niektórych środowiskach nad Zatoką Arabską, co jest o tyle ciekawe, że w roku 1975 na zjeździe partii Ba'ath Rifaat występował jako zdecydowany przeciwnik wszelkich związków z „reakcyjnymi reżimami arabskimi”. Widać młodość się wyszumiała...

Według Rifaata, wybór Bashara na prezydenta Syrii jest farsą i gwałtem popełnionym na konstytucji, „przeciwnym woli ludu”. Tylko on, Rifaat Al-Assad byłby w stanie zapewnić krajowi autentyczną demokrację – stwierdził brat zmarłego prezydenta w oświadczeniu wygłoszonym w *Arab News Network*, satelitarnej stacji arabskiej w Londynie, której właścicielem jest jego syn. Zdaje się jednak, że mało kto go słuchał, a znajomi Syryjczycy na dźwięk jego imienia wrzuszają

lekceważąco ramionami, okazując w ten sposób, że Rifaat w sumie niewiele się liczy w rzeczywistych rozgrywkach politycznych Damaszku. Nigdy jednak nic nie wiadomo, a motyw szekspirowski może jeszcze zakończyć się niespodziewaną wolą niegłównego bohatera.

Syria jest bez wątpienia jednym z najważniejszych graczy na scenie bliskowschodniej. Od jej polityki, tak jak od polityki Iranu, zależy powodzenie dalszych losów rokowań pokojowych z Izraelem. Nawet jednak prezydent Khatami stwierdził ostatnio, że Iran uznaje prawo Izraela do istnienia, co jest wielką odmianą w myśleniu muzułmanów o Izraelu i na pewno stanowi oświadczenie o niebywałej wadze politycznej z racji na to, że Iran wspiera i finansuje działania terrorystycznej organizacji islamskiej Hezbollah w Libanie. Niedawno ostatnie oddziały armii Izraela opuściły jednak terytorium Libanu, tym samym eliminując dotychczasowy powód antyizraelskiej działalności Hezbollah.

Za czasów prezydentury Assada jakiegokolwiek pozytywne oświadczenia Damaszku wobec Izraela były zupełnie nie do pomyślenia. Syria przy tym, znowu podobnie jak Iran, ma powiązania z niektórymi arabskimi terrorystami, szkoląc ich i dozbrajając, co kosztuje pieniądze. Jednocześnie jednak zwykli Syryjczycy borykają się od lat z całą masą problemów socjo-ekonomicznych, z których nie najmniejszy to na przykład fakt, że mieszka tam wielka liczba palestyńskich uchodźców. Tymczasem gospodarka Syrii jest w bardzo złym stanie, na co wskazują dane o inflacji (przeciętnie 16-procentowej w skali rocznej w latach 1985-98), ślimacze tempo wzrostu produkcji przy szybkim wzroście liczby ludności oraz niewspółmierny udział w gospodarce eksportu produktów syryjskich wobec rosnącego importu towarów z zagranicy. Ludzie, owszem, chcą odzyskać Wzgórze Golan, ale powoli zaczynają przekonywać się do bardziej pragmatycznego myślenia o rozwiązaniu tego problemu, napomykając o kompromisie dla pokoju i autentycznej stabilizacji regionalnej. Jak wszędzie na świecie, oni też chcą mieć dostęp do zachodnich towarów (w Syrii nie można kupić coca-coli i nie ma tam ani jednego MacDonalds'a, co, nawiasem mówiąc, nie jest wcale aż takim nieszczęściem, bo jedzenie lokalne jest naprawdę dużo smaczniejsze; polecam zwłaszcza dwie restauracje w Damaszku –

Abu Kamal i Ali Baba, hamburgery nawet się nie umywają!), chcą lepszego standardu życia i dlatego – szczególnie przedstawiciele młodszego, lepiej wykształconego pokolenia – coraz bardziej skłonni są myśleć w kategoriach gospodarki niż polityki.

Bashar powinien to rozumieć, o ile ma trochę oleju w głowie. A chyba ma, bo na przykład niedawno zapoczątkował komputerową rewolucję w Syrii, obiecując każdej syryjskiej rodzinie dostęp do Internetu. Dostęp do Internetu oznacza przede wszystkim dostęp do informacji, kluczowego pojęcia i... towaru ostatnich lat. Wraz z postępującą komputeryzacją szkół, uniwersytetów i innych instytucji, przyjdą nowe wyzwania społeczne i polityczne. Stara gwardia będzie musiała ustąpić miejsca rzutkim cyber-specom, z których większość zechce westernizacji, modernizacji, zmian. Informacja wygra w końcu z ignorancją, zacofaniem, brakiem tolerancji politycznej i religijnej.

Należy przy tym pamiętać, że Amerykanie nie zainwestują w Syrię pieniędzy (i nie otworzą MacDonaldsa!), jeśli rządzące elity Damaszku będą się nadal kurczowo trzymały coraz bardziej przestarzałych wytycznych polityki reżimu Hafeza Al-Assada. Bashar Al-Assad na pewno będzie musiał chytrze lawirować i kluczyć, aby utrzymać się przy władzy i nie dać się zniszczyć starej gwardii, ale szkoda by było, gdyby jego polityczne wysiłki miały się do tego ograniczyć, bo może on być wielką szansą dla Syrii, kraju o imponującej kulturze i historii, ale nadal niepewnej, choć obiecującej przyszłości. Czy jednak Basharowi uda się odmienić coś na lepsze? Czy też jest to tylko kontynuacja dynastii: umarł prezydent Assad, niech żyje prezydent Assad?..

*Magdalena ROSTRON*

## Pakistańska junta

Przeczytawszy „Koniec historii” Fukuyamy uznałam, że odtąd mogę spać spokojnie. Książka utwierdziła mnie w przekonaniu, że demokracja jest – musi być – ma być – będzie ostatecznym rozwiązaniem politycznych kłopotów ludzkości. Ze snu, a może tylko otepiałej drzemki, obudziłam się jednak jesienią roku 1999, z ręką w nocniku koloru khaki – oto telewizja podała, że nastąpił przewrót wojskowy w Pakistanie. Powrót do barbarzyństwa – pomyśleliśmy zgodnym chórem. Wszyscy przecież jesteśmy za demokracją, systemem najlepszym z możliwych. A tu nie tylko armia pakistańska obaliła prawowitą, demokratycznie obraną władzę w Islamabadzie, ale ogłosiła się zbawieniem oszukanego przez demokratów narodu, podejmując się przy tym herkulesowego zadania wyrugowania pozostawionych przez demokrację błędów, wypaczeń i korupcji. Na deser niedwuznacznie dała jeszcze do zrozumienia, że jak demokracja, to tylko wojskowa. Generał Pervez Musharraf ogłosił się szefem rządu, a dotychczasowy premier, Nawaz Sharif, poszedł siedzieć za korupcję, nepotyzm oraz inne błędy polityczne.

Świat natychmiast zerwał się do obrony sterroryzowanej przez wojsko demokracji. Oficjalne oświadczenia, listy, mowy, nawoływania żądały jednego: przywrócenia tego, co Zachód rozumie pod pojęciem demokracji. Trzeba przyznać, że z przeszłych doświadczeń ludzkości wynika dość jasno, iż armie nie grzeszą umiłowaniem demokratycznych form rządów i ich władza najczęściej zaczyna się rozlewem krwi, opiera na przemocy i represjach, a czasami też i kończy wojną domową, interwencją obcych wojsk lub innym rozwiązaniem siłowym. Przypadek Chile jest tu przykładem klasycznym, choć o finale w miarę pozytywnym, ale wystarczy poobserwować niektóre państwa afrykańskie czy na przykład Birnę, aby nabrać wstrętu do jakichkolwiek rządów militarnych.

Przyjrząwszy się bliżej stosunkom panującym w Pakistanie, a także innych krajach rozwijających się, nie sposób nie

zauważyć, że pojęcie „demokracja” okazuje się być pojęciem trochę demagogicznym i trochę na wyrost w kontekście państw Trzeciego Świata. W rozumieniu zachodnim, czyli euro-pejsko-amerykańskim, opiera się ono między innymi na koncepcji wolnych wyborów powszechnych, władzy jako reprezentacji całego społeczeństwa oraz społecznej partycypacji w procesach rządzenia. Koncepcje te zakładają pewien poziom wykształcenia i kultury społeczeństwa, poziom, jakiego nie osiągnęły jeszcze niektóre narody Europy, a co dopiero mówić o krajach mało rozwiniętych, gdzie na przykład duży procent ludności stanowią analfabeci.

W bardzo ciekawym eseju pt. „Kuwait, Qatar and the United Arab Emirates: Political and Social Evolution”, jego autor, Glen Balfour-Paul, cytuje wypowiedź socjologa, L.H. Melikiana, który napisał, że „podczas gdy na Zachodzie rządy autorytarne powodują neurozy, to w świecie arabskim im zapobiegają”. Przenikliwą tę obserwację łatwo da się rozciągnąć na inne kraje, zwłaszcza te o ukształtowanej przez wieki strukturze związków klanowych i plemiennych, patriarchalnych formach sprawowania władzy oraz nietolerancyjnych systemach religijnych. Pakistan należy do tej właśnie kategorii krajów, gdzie układy plemienne powodują polityczne rozbitcie społeczeństwa na odrębne ośrodki, nie związane ze sobą nawzajem (lub nawet wzajemnie sobie wrogie) oraz odległe od państwowego centrum. Istnieją w Pakistanie całe regiony geograficzne, które nie podlegają jurysdykcji Islamabadu, na przykład tereny na północnym zachodzie kraju, zamieszkałe przez wojownicze plemiona Pasztunów. Wojsko i policja, a także państwowi urzędnicy nie ingerują w ich życie, które płynie torem zupełnie odrębnym od reszty kraju. Nie ma mowy o zebraniu tam podatków, ujawnieniu dochodów czy w ogóle o przestrzeganiu prawa obowiązującego przecież na mocy pakistańskiego ustawodawstwa. Nie ma mowy o powszechnej edukacji, równouprawnieniu kobiet, ba, nie da się nawet skontrolować nadzwyczaj ożywionego ruchu przemysłników na legendarnej Granicy Północno-Zachodniej z Afganistanem; granicy, którą codziennie w obie strony kursują ciężarówka z opium, bronią i całą masą innych towarów. Jest to tak zwana ironicznie pakistańsko-afgańska strefa wolnościowa, z której korzyści czerpią przemysłnicy i terroryści

islamscy, ale nie państwo Pakistan. Natomiast nader uzasadnione okazują się podejrzenia, że poprzednie rządy – pani Bhutto (obecnie na emigracji) oraz Nawaza Sharifa (obecnie w więzieniu) – czerpały zyski z przemytu, lokując je jednak nie tyle w skarbcu państwa, co na prywatnych kontach za granicą...

Demokratyczne rządy na wzór systemów zachodnich są w tych okolicznościach mrzonką, utopią, marzeniem ściętej głowy. Przy braku jakichkolwiek organów kontroli społecznej „demokratycznie” wybrana władza może w sumie robić co chce... w granicach tradycyjnych układów. I tak, jej przedstawiciele nie stanowią reprezentacji społecznej, lecz reprezentację rodzinną, klanową, plemienną. Na naganę czy karę zasłużą sprzeniewierzając się związkom krwi, nie zaś emocjonalnie czy kulturowo obcym i obojętnym koncepcjom prawnym i teoriom politycznym rodem z Zachodu. Dlatego korupcja w Pakistanie, a także w innych krajach o podobnej strukturze zależności społecznych, rozwinęła się na taką skalę, że potrzebne są jak najbardziej drastyczne środki, aby ją ukrócić – na przykład rządy wojska, choć też nie do końca wiadomo, w jakiej mierze sama armia wolna jest od korupcji.

Jednak większość obserwatorów z zewnątrz, którzy od miesięcy bacznie przyglądają się poczynaniom generała Musharrafa, coraz śmielej wyraża zaskakującą opinię, że Musharraf konsekwentnie realizuje to, co zapowiedział na samym początku: plan uzdrowienia systemu politycznego i budżetu Pakistanu oraz walkę z korupcją. Sami Amerykanie – ci najlepsi przecież znawcy, praktycy, teoretycy, głosiciele i wielbiciele demokracji – choć regularnie powtarzają, że generałowie pakistańscy powinni jak najszybciej przywrócić demokrację w swoim kraju, jednocześnie nie kryją podziwu dla skuteczności działania wojska, które zaraz po objęciu władzy szparko zabrało się do autentycznych porządków polityczno-gospodarczych, sporządzając listy przekupnych oficjeli i pociągając do odpowiedzialności sądowej co bardziej skorumpowanych urzędników, ustanawiając nowy system podatkowy, proponując ulgi i pomoc dla najbiedniejszych oraz nakazując, aby liczne madrasy, mużulmańskie szkoły religijne, zaprzestały rekrutacji młodych mężczyzn do oddziałów bojowych (czytaj: terrorystycznych) tzw. walczącego islamu, a zamiast

tego skoncentrowały się na rozszerzaniu programu nauk ścisłych i technologii czyli faktycznej edukacji młodego pokolenia.

Próby naprawy ogólnej sytuacji w Pakistanie, podejmowane od ośmiu miesięcy przez wojsko, napotykają ogromne trudności w postaci sprzeciwu samego społeczeństwa lub raczej pewnych jego grup. Shaukat Aziz, minister finansów wojskowego rządu, w czerwcu tego roku zapowiedział wszem i wobec, że odtąd każdy pracujący Pakistańczyk będzie płacił podatki. Gdyby obecnej władzy rzeczywiście udało się ściągnąć podatki przynajmniej od większości, jeśli nawet nie od wszystkich zatrudnionych obywateli kraju, byłby to sukces na miarę stulecia, gdyż jak dotąd żaden demokratyczny (czy „demokratyczny”) rząd Pakistanu nie mógł się pochwalić sukcesem w tej dziedzinie. Statystyki podają, że mniej niż 1,2 miliona obywateli tego kraju – czyli, przy 140 milionach ludności, mniej niż 1% społeczeństwa (albo licząc inaczej: mniej niż 20 tysięcy spośród 2,5 miliona firm) – płaci regularne podatki do skarbu państwa. W ramach protestu przeciwko przymusowemu opodatkowaniu, drobni handlarze, sklepikarze, właściciele straganów – gremialnie zastrajkowali. Najbardziej agresywną postać protesty przybrały oczywiście na północy kraju, gdzie przez kilka czerwcowych dni odbywały się regularne bitwy policji z demonstrantami. Niektórzy handlarze podjęli strajk głodowy, paru popełniło samobójstwo. Problem jednak polega nie na tym, że oto wojskowy rząd wprowadza drakońskie przepisy ograniczające wolność osobistą obywateli kraju, ale na tym, że większość tych obywateli para się nielegalnym handlem (nie tylko bronią i narkotykami, ale także na przykład pomidorami i wołowiną, czymkolwiek), nie deklaruje swoich dochodów i nie płaci podatków – sytuacja nie do pomyślenia w „normalnym” państwie demokratycznym, w każdym razie na pewno nie na taką skalę. Dochody gospodarki czarnorynkowej szacuje się na równe całkowitym oficjalnym dochodom państwa, czyli wynoszące około 60 miliardów dolarów! Pakistan jest przy tym krajem bardzo biednym, gdzie 40% ludności egzystuje poniżej granicy nędzy i gdzie przeciętne zarobki w skali rocznej to zaledwie 470 dolarów. Musharraf dobrze wie, że nędza to pilny problem, na rozwiązanie którego potrzebne są wielkie

pożyczki z Zachodu. Pomoc finansowa dla Pakistanu uzależniona została jednak od reform podatkowych. Poprzednie rządy, pomimo obietnic składanych Międzynarodowemu Funduszowi Monetarnemu, prędzej czy później zarzucały plany zmian w systemie podatkowym – w grę bowiem wchodziło widmo utraty władzy przy tak silnym oporze społeczeństwa wobec prób normalizacji tej niesłychanej sytuacji. Generał Musharraf jest jednak zdeterminowany opodatkować czarnorynkowców i jako rząd wyjść na swoje.

Wojskowy rząd Pakistanu podjął też współpracę z ONZ w celu ustanowienia praw regulujących wspólne działania państw na rzecz zwrotu nielegalnych sum złożonych przez osoby indywidualne lub organizacje w bankach zagranicznych. Pakistan ma do odzyskania około 30 miliardów dolarów, odsyłanych systematycznie za granicę przez niektórych urzędników państwowych i polityków (patrz: sprawa byłej premier Benazir Bhutto i jej męża, Asifa Zardari – obecnie w więzieniu). Pani Bhutto nie przestaje przy tym wołać z Londynu o powrót do demokracji w Pakistanie...

Z tych kilku powyższych uwag wynika zupełnie jasno – że, jak na ironię, ów rząd wojskowych faktycznie stara się wprowadzić jakiś porządek w niebywały chaos rozregulowanych pakistańskich mechanizmów społeczno-politycznych. Paradoks to czy zasłużony koniec niekontrolowanej „demokracji”?

Amerykański podsekretarz stanu do spraw Azji Południowej, Karl Inderfurth, który w połowie czerwca przeprowadził rozmowy z pakistańskim ministrem spraw zagranicznych Abdulem Sattarem, jest zdania, że ponieważ generał Pervez Musharraf faktycznie dokłada wszelkich starań, aby uzdrowić sytuację ekonomiczno-polityczną Pakistanu, to Zachód (czytaj: IMF) powinien raczej iść mu na rękę i ułatwiać życie niż rzucać kłody pod nogi. Zachód, zwłaszcza Ameryka, ma oczywiście swój interes w tym, aby dopomóc Pakistanowi. Po pierwsze, Pakistan od niedawna jest kolejnym państwem nuklearnym, co budzi poważne obawy o szanse na stabilizację regionu, gdyż jest on państwem niepozostającym w przyjacielskich stosunkach z sąsiednimi Indiami, które także posiadają broń atomową, oraz nieskłonny do podpisania ani CTBC (*Comprehensive Test Ban Treaty*) ani NPT

(*Nuclear Non – Proliferation Treaty*), układów o kontroli i nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Po drugie, Pakistan utrzymuje też bliskie związki z Talibanami: obok Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich jest jedynym państwem, które oficjalnie uznaje ich rząd. W związku z tym, najrozmaitszej maści, ale na ogół protalibańscy, przedstawiciele walczącego islamu, wrogiemu Zachodowi i nawołującego do dżihadu czyli świętej wojny z niewiernymi, całkiem jawnie rekrutują i szkolą w Pakistanie nowych członków swoich organizacji. Musharraf zamierza wszystko to ukrócić, nawet podjął już w tym celu pewne kroki. Nie da się więc ukryć, że generał cieszy się coraz większym podziwem? szacunkiem? zaufaniem? świata. Tylko, że światu nie wypada głośno o tym mówić.

Dla zbudowania demokracji trzeba więc nie tyle samych wyborów czy jakiegoś parlamentu, co długoplanowej edukacji społeczeństwa, tak aby mogło ono oduczyć się zachowań destrukcyjnych i nabrać nawyków bardziej obywatelskich, bez których nie zaistnieje nigdy autentyczna demokracja. Jeśli generał Musharraf na dłuższą metę zapewni Pakistańczykom warunki konieczne do nabycia takich nawyków oraz wykształcenia się świadomych postaw obywatelskich, to kto wie, może oficjalnie zostanie pierwszym generałem – demokratą?

Doha, czerwiec 2000.

*Magdalena ROSTROŃ*

## Południowe perspektywy NATO

Po przyjęciu Polski, Czech i Węgier do NATO w marcu ub. r., sprawa dalszego poszerzania na Wschód poniekąd przycichła. Na ogół przyjmuje się, iż nie będzie zaproszeń dla nowych członków sojuszu przed r. 2002, jak również to, iż

najbardziej prawdopodobny kierunek dalszego poszerzania będzie na północny wschód, kraje bałtyckie. Pomijając złożoną sprawę Słowacji, przyjęcie do NATO Litwy, Łotwy i Estonii oznaczałoby dla Polski wypełnienie ważnej luki bezpieczeństwa. Nie jest jednak pewne, że tak się stanie, że następna runda poszerzania obejmie północną flankę Polski. Pomimo oficjalnej retoryki i zapewnień, istnieją coraz wyraźniejsze poszlaki, wskazujące na południowy, a nie północny, kierunek poszerzania. Nie kraje bałtyckie, lecz Słowenia, Rumunia czy Bułgaria, mogą stanąć na starcie następnej rundy, w ramach nowej doktryny NATO, uwypuklającej strategiczne znaczenie południowych peryferii Europy. Chodzi tu o doktrynę która, jak na ironię, była zapoczątkowana na tymże, madryckim szczycie NATO, na którym zaproszono do sojuszu Polskę, Czechy i Węgry. Co ważniejsze, chodzi tu o doktrynę rozwijaną co prawda w ramach NATO, lecz mającą solidne zaplecze polityczne w bliskowschodniej polityce Unii Europejskiej. Bliższe zapoznanie się z ewolucją tej doktryny wskazuje również na to, iż militarna kampania sojuszu w Kosowie, formalnie pod szyldem obrony praw człowieka, w rzeczywistości mieściła się w nowych, ukierunkowanych na południe założeniach strategicznych NATO.

### *Śródziemnomorska Inicjatywa NATO*

Gdzieś w połowie r. 1998, wpływowa instytucja strategiczna RAND Corporation w Kalifornii, ogłosiła raport pt. „Śródziemnomorska Inicjatywa NATO”, który był pierwszym z rzędu trzech raportów związanych z tą tematyką<sup>1</sup>.

Od r. 1989, od początku końca „zimnej wojny”, główna uwaga NATO była skupiona na Wschód, na była przestrzeń posowiecką w Europie Środkowo-Wschodniej, a sprawy bezpieczeństwa Bałkanów, południowych peryferii Europy, były

1. Chodzi tu o następujące raporty RAND Corporation: R.S. Larabee: „NATO Mediterranean Initiative: Policy Issues and Dilemmas”, 1998; „The Future of NATO's Mediterranean Initiative-Evolution and Next Step”, Fall 1999; Ian O. Lesser: „NATO Looks South: New Challenges and Strategies in the Mediterranean”, Spring 2000.

traktowane drugoplanowo. Dopiero w r. 1994, gdy zrozumiano skalę potencjalnego zagrożenia balistycznego od strony rejonu śródziemnomorskiego (Afryka Północna, Bliski Wschód), zrodziła się tzw. „Śródziemnomorska Inicjatywa NATO” (ang. *Mediterranean Initiative/MI*). W początkowym okresie, ze względu na delikatny proces pokojowy na Bliskim Wschodzie, oraz plany poszerzenia sojuszu na Wschód, inicjatywa ta nie weszła na oficjalną agendę spraw bezpieczeństwa NATO. Ogólna sytuacja polityczna nie sprzyjała bardziej wyraźnemu, strategicznemu uwypuklaniu Inicjatywy (*MI*), chociaż podejmowano próby dostosowania jej do procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie, w formie ‘dialogu’ z wybranymi państwami tego rejonu. Maroko i Tunezja w Afryce Północnej, oraz Egipt, Jordania i Izrael na Bliskim Wschodzie, weszły do grona kandydatów na bliską współpracę z NATO, coś na wzór Partnerstwa dla Pokoju (ang. *PfP*) na obszarach postkomunistycznej Europy i b. ZSSR.

Dopiero na madryckim szczycie NATO w r. 1997 postanowiono włączyć Inicjatywę Śródziemnomorską do agendy „strategii południowej”, w związku z formowaniem nowej polityki bałkańskiej. Oznaczało to również odpowiednie przetasowanie funduszy, wydatków finansowych, a więc istotny przełom w dotychczasowym, raczej macoszym traktowaniu „strategii południowej”. W ten sposób inicjatywa ta przybrała geopolityczny wymiar „bliskiej zagranicy” Europy, stała się strategicznym pomostem między rejonem Bałkanów a rejonami Magrebu (Afryka Północna), Zatoki Perskiej, a nawet Zakaukazia.

Militarne zaangażowanie NATO najpierw w Bośni, a następnie w Kosowie, w istotny sposób wzmocniło geopolityczne znaczenie nie tylko Inicjatywy Śródziemnomorskiej, lecz „doktryny południowej” NATO w najszerszym tego słowa znaczeniu, eliminując resztę wątpliwości i wahań odnośnie ograniczeń dla tzw. pozaterytorialnych operacji (ang. *‘Out-of-Area’ operations*). Nowa koncepcja strategiczna NATO, wyjaśnia drugi z rzędu raport RAND-u, oprócz tradycyjnego elementu obrony terytorialnej państw członkowskich sojuszu, wprowadza element obrony „wspólnych interesów”, które są coraz wyraźniej lokowane na południu, w obrębie śródziemnomorskim. Autorzy raportu zlecają ugruntowanie Inicjatywy

(*MI*) w doktrynie południowej, ustanowienie nowego, śródziemnomorskiego centrum dowodzenia, w którym południowoeuropejskie kraje NATO (Francja, Włochy) odgrywałyby kluczową rolę. Naświetlając nową wizję, nowe wyzwania sojuszu w Europie, ostatni raport RAND-u z początku br. postuluje, iż transregionalna ekspansja NATO z Europy na południe jest logicznym kierunkiem rozwoju dla szerszego partnerstwa strategicznego. Koncentracja uwagi na Europie Środkowo-Wschodniej, na „strategii północnowschodniej”, była słuszna w sytuacji zagrożenia sowieckiego. Dziś jednak, zwłaszcza po włączeniu Europy Środkowej do NATO, nie ma dalszego uzasadnienia.

Ważnym momentem przełomowym w ożywieniu „strategii południowej” był konflikt z Irakiem w Zatoce Perskiej w r. 1990. Z kolei kampania w Kosowie uwypukliła centralne znaczenie Bałkanów dla sprawy radykalnego poszerzenia przestrzeni bezpieczeństwa europejskiego, jego połączenie z obrębem śródziemnomorskim. Dlatego następna runda poszerzenia NATO powinna mieć kierunek południowy, objąć Słowenię (połączenie Włoch z Węgrami), oraz Rumunię i Bułgarię.

### *Bałkańska geopolityka*

Przedstawione tu analizy i zlecenia RAND-u, bez względu na ich zasięg wpływowy, zdają się być potwierdzane przez wydarzenia, politykę, pociągnięcia strategów NATO. Przemawiając w Rzymie w grudniu 1997, ówczesny głównodowodzący Sojuszu Sił Południe (Ang. *Allied Forces South/ AFSOUTH*), Adm. T.J. Lopez oświadczył, iż szczyt w Madrycie dostarczył mocnego bodźca dla południowej strategii NATO. Zaproszenie do NATO Polski, Czech i Węgier jest ważnym, lecz nie ostatnim krokiem poszerzania NATO, które jednak powinno pójść dalej na południe. Pod tym względem włączenie Węgier ma szczególnie wymiar strategiczny, na równi z włączeniem do strategii południowej Inicjatywy Śródziemnomorskiej. Oznacza to również szczególnie, geopolityczny wymiar dla Bałkanów, będących w centrum nowej uwagi strategicznej NATO. Dziś południowo-wschodnia flanką NATO jest ważniejsza od północno-wschodniej. Odzwierciedla to nową sytuację, znaczną

stabilizację i redukcję zagrożenia na wschodzie, a eskalację zagrożenia bezpieczeństwa na południu<sup>2</sup>.

W parze z taką ewolucją bałkańskiej geopolityki, szczególnie po wojnie w Kosowie, posuwa się rosnące znaczenie Włoch w ramach strategii południowej. Wzmagają się też zabiegi Rzymu dla pierwszoplanowego włączenia do następnej rundy poszerzania Słowenii i Rumunii, których kandydaty, jak wiadomo, zostały odrzucone w Madrycie. Słowenia, w oczach włoskich strategów, stanowi logiczne połączenie z północno-wschodnią flanką, a Rumunia z Turcją. W pierwszym rzędzie chodzi jednak o stanięcie mocną nogą na Bałkanach, ze względu na ich nowy, śródziemnomorski wymiar geopolityczny<sup>3</sup>.

### *Kaukaz za daleko?*

W polityce USA, rejon Bliskiego Wschodu i Zatoki Perskiej, pomimo problemów z Irakiem i Iranem, pozostaje w centrum zainteresowania strategicznego. Klasyczne parametry geopolityki łączą się tu z czynnikami bezpieczeństwa energetycznego, ze względu na ropę, a głównie rosnące znaczenie gazu północnoafrykańskiego dla Europy Zachodniej. Istnieją plany rurociągów nie tylko dla Europy, lecz również złączenia sieci magrebskiej z siecią Zakaukazia, poprzez Turcję, na Bałkany, oraz Europę Środkowo-Wschodnią. Plany te wymagają odpowiedniego zabezpieczenia, zaplecza strategicznego. Okazuje się jednak, iż pierwotne nadzieje na stworzenie mocnej bazy strategicznej w oparciu o arabskie kraje Półwyspu Saudyjskiego zawodzą, nic z nich nie wychodzi. Według wyjaśnień wpływowego Centrum Badań Strategicznych w Waszyngtonie CSIS, dziś Ameryka zaczyna szukać takiego wsparcia w krajach zrębu śródziemnomorskiego, Egipcie,

2. Adm. T.J. Lopez – „NATO's Southern Region: An Emerging Focus”, w biuletynie informacyjnym Allied Forces South (AFSOUTH), December 1997.

3. L. Ratti: „NATO Enlargement to the Balkans: the view from Rome”, w biuletynie londyńskiego Instytutu Wojskowości RUSI Briefing, July 2000.

Jordanii, a nawet Syrii<sup>4</sup>. Przesunięcie takie mieści się również w promowanej od poł. lat 90-tych „Śródziemnomorskiej Inicjatywie” NATO. Pytaniem jednak pozostaje, czy do takich planów geostrategicznych można również włączyć rejon Zakaukazia? W ocenach RAND-u raczej nie, byłaby to „misja za daleko posunięta”, z ryzykami większymi od korzyści<sup>5</sup>.

Jest to zagadnienie prezentujące poważny dylemat dla NATO, które od poł. lat 90-tych próbuje poszerzyć swe wpływy w rejonie Zakaukazia, promując współpracę militarną z poszczególnymi krajami, w ramach Partnerstwa dla Pokoju. Politycznie jest to zrozumiałe, biorąc pod uwagę niebagatelne stawki geo-energetyczne, przyszłe, potencjalne znaczenie tego rejonu dla Zachodu. Eksperci zlecają jednak ostrożność, ze względu na wysoką niestabilność polityczną, konflikty oraz rosnącą determinację Rosji w tym rejonie. Nie wydaje się jednak, by rejon ten miał zejść z agendy strategicznych zainteresowań NATO.

Przyczyny południowego kursu w nowych założeniach strategicznych NATO mają wyraźne podłoże geo-energetyczne, wskazują na „wielki plan” kontroli nad strategicznie kluczowym obszarem śródziemnomorsko-kaukaskim.

Plany te zbiegają się tu z polityką Unii Europejskiej promowania zbliżenia polityczno-gospodarczego z rejonem Bliskiego Wschodu, w ramach tzw. Deklaracji Barcelońskiej z r. 1995. Stwarza to nowe możliwości dla ożywienia współpracy amerykańsko-europejskiej, oraz dla złagodzenia rozdźwięków transatlantyckich na tle projektu niezależnej tożsamości obronnej UE (ang. *ESDI*). Otwiera to również nowe możliwości polityczno-gospodarcze dla rejonu Bałkanów,

4. A.H. Cordesman: „US Policy, The Southern Gulf States, and the Changing Strategic Balance in the Gulf”, Strategic Assessment Paper, Center for Strategic and International Studies/CSIS, Middle East Section, March 1998.

5. R. Sokolsky, T. Charlick-Paley: „NATO and Caspian Security: A Mission too Far?”, RAND Report, 1999.



który z problematycznego przyczółka Europy staje się dziś jej kluczowym obszarem strategicznym.

Gdzie to pozostawia „strategię północno-wschodnią” NATO, perspektywy jej rozwoju? Czy rzeczywiście stopień zagrożenia został w tej części Europy zredukowany do minimum, jest mniejszy niż na południu? Czy też raczej działają tu względy Rosji, z którą Zachód szuka dziś układowego współżycia, wciągnięcia do architektury bezpieczeństwa europejskiego? Jak na tym tle przedstawiają się realne szanse włączenia do NATO krajów bałtyckich?

Są to pytania, na które nie ma dziś gotowych odpowiedzi. Stosunek USA do tych zagadnień jest niejasny, enigmatyczny. „Sprawy bezpieczeństwa w rejonie Europy Północno-Wschodniej” – stwierdza w konkluzji ubiegłoroczny raport prestiżowego *Council on Foreign Relations* w Waszyngtonie – „są jednym z największych dylematów polityki natowskiej USA. Najbardziej złożonym, najtrudniejszym zagadnieniem jest tu delikatna sprawa republik bałtyckich, stanowiąca jedną z największych zagadek w dalszym poszerzaniu NATO”<sup>6</sup>.

Janusz MONDRY

## Polski najazd na Moskwę

W czerwcu grupa składająca się z redaktorów, współpracowników i przyjaciół miesięcznika *Nowaja Polska* intensywnie działała w Moskwie.

Zaczęło się 13 czerwca w Instytucie Polskim – tymczasem

6. CFR Independent Task Force Report: „US Policy toward North East Council on Foreign Relations; Niezależny raport CFR, pod kierownictwem F.S. Larrabee, pod patronatem Zb. Brzezińskiego.

jeszcze w budynku Ambasady RP; niebawem Instytut, znakomicie prowadzony przez nowego dyrektora Marka Zielińskiego, przeniesie się na plac Puszkina.

Tego dnia Instytut wspólnie z wydawnictwem „MIK” zorganizował wieczór poświęcony pamięci Michała Hellera. „MIK” wydał do tej pory osiem jego książek, w tym „Historię imperium rosyjskiego” w trzech tomach i dwa obszerne tomy „Notatek rosyjskich”, drukowanych od 1969 w *Kulturze*. We wrześniu ma się ukazać książka wspomnień o Hellerze wraz z jego rozproszonymi szkicami wspomnieniowymi.

Z okazji tego spotkania można też było obejrzeć wystawę prywatnych fotografii autora, przygotowaną przez „MIK”.

Impreza miała się odbyć w małej sali Instytutu, ponieważ jednak zainteresowanie było ogromne i zebrani nie mogli się w niej pomieścić, wszyscy przeszli do dużej auli. Spotkanie rozpoczął wykład Jerzego Pomianowskiego (w języku rosyjskim). W trakcie dyskusji zabierali głos znajomi i przyjaciele Michała Jakowlewicza. Maja Turowskaja poświęciła swoje wystąpienie małżeństwu Hellerów, serdecznie wspominając panią Żenię, jako dobrego ducha opiekuńczego twórczości męża.

Anna Griszina, założycielka Sekcji Polskiej Stowarzyszenia „Memoriał”, znała Hellera od 1942 roku. Mówiła o pierwszym spotkaniu w Aszchabadzie, gdzie cierpieli głód i Misza zaczął chorować na gruźlicę, o powojennych spotkaniach podczas studiów historycznych. „Obronił pracę (o Róży Luksemburg), a potem zaczęły się dzieć dziwne rzeczy: na pytania o Miszę Żenia odpowiadała, że pracuje poza Moskwą, że się rozstali. A on wtedy już siedział.

W październiku 1956 roku odprowadzałam ich na Dworzec Białoruski, gdy odjeżdżali do Polski. Uściskaliśmy się, powiedziałam: – Bądźcie wreszcie szczęśliwi.

Niebawem zatelefonowali: – Wypełniliśmy twoje polecenie. Później były przyjazdy: ich do Moskwy, nasze do Warszawy. I nagle telefon w marcu 1968: – Aniu, sufit zwałił się nam na głowy, zupełnie nas przysypało.

Rozmowy o pracach i życiu Michała Hellera trwały do późnego wieczora.

Następnego dnia odbyła się zorganizowana przez „MIK” prezentacja *Nowej Polski* w gościnnych progach Biblioteki

Russkogo Zarubieżja. Prowadził ją Jerzy Pomianowski, głos zabierali czytelnicy.

Spotkanie uświetnił występ aktorek z Teatru im. Jeromolowej: Galiny Anisimowej i Iriny Borodulinej, które odczytały wiersze Czesława Miłosza (fragmenty „Traktatu poetyckiego”), Stanisława Różewicza i Stanisława Barańczaka (między innymi „To mnie nie dotyczy”), drukowane na łamach *Nowej Polisy*.

Gości obu tych spotkań można było spotkać raz jeszcze 15 czerwca na konferencji „Rosja – Europa – Polska w kontekście historii, polityki i gospodarki”, którą współorganizowały: Instytut Polski i RGGU (*Rossijskij Gosudarstwiennyj Gumanitarnyj Uniwersitet*), którego rektorem jest prof. Jurij Afanasjew. W burzliwych chwilami dyskusjach udział wzięli między innymi: Richard Pipes, Andrzej Walicki, Michael Rywkin, Waldemar Kuczyński i Jerzy Pomianowski.

Pomimo licznych obowiązków służbowych, na tych trzech spotkaniach był obecny i głos zabierał ambasador RP w Moskwie Andrzej Załucki.

j.p.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

**KSIĘGARNIA POLSKA**

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

## Wywiady „Kultury”

### Duchy przeszłości

Z TOMASZEM JASTRUNEM ROZMAWIA  
STANISŁAW BEREŚ

STANISŁAW BEREŚ: *Słyszałem, że dom, w którym mieszkałeś od dziecka, był w latach stalinowskich rodzajem literackiego kolchozu, w którym mieszkali najwybitniejsi polscy pisarze. Na pewno bywali w Waszym mieszkaniu, dyskutowali z Twoimi rodzicami...*

TOMASZ JASTRUN: Dom na Iwickiej był rzeczywiście niezwykły, ponieważ realizował socjalistyczny pomysł, by pisarze mieszkali razem. Zaczęło się od powojennego domu w Łodzi, która – jak wiesz – zastępowała wtedy zburzoną stolicę. Tam, na ulicy Bandurskiego, był jeszcze większy pisarski kolchoz, mieszkała w nim nawet Zofia Nałkowska i prawie wszyscy wybitni pisarze, którzy przeżyli wojnę. Z tego domu, który musiał być elegancki, bo w czasie wojny zajmowali go Niemcy, do mieszkania na Iwickiej przyjechały potężne polniemieckie meble.

S.B.: – *Czy pisarze czuli, że wchodzi do zastawionej sieci?*

T.J.: – Pamiętaj, że początek stalinizmu w Polsce podbijał serca, ale tylko tych, którzy byli potrzebni reżimowi. Podbijał nie przymusem i prześladowaniami, ale tym, że tak wiele dawał. Najłatwiej jest człowieka moralnie zniszczyć, gdy mu się daje, a nie kiedy się go prześladowuje. Im więcej mu się daje, tym bardziej się go demoralizuje. W kraju zburzonych miast

dawano pisarzom mieszkania i jakby przy okazji, nieograniczoną możliwość druku, a dla pisarza własne książki są może nawet jeszcze ważniejsze niż dach nad głową. Mieli więc literaci gwarancję na jedno i na drugie. Łódź przestała być stolicą Polski, więc wysłano Marysię Brandysową, by wybrała odpowiedni dom w Warszawie. Znalazła go na ulicy Iwickiej, wśród ruin. Niektórzy pisarze, jak go zobaczyli, byli oburzeni. Ważyk i Kott zrobili awanturę, że mieszkania są za małe i za daleko od centrum. Dostali więc inne, przy słynnej Alei Róż (powiedzmy sobie szczerze, przy alei zatrutych róż). Inni zgodzili się i w latach 49-50 dom został pisarsko zasiedlony. W tym samym budynku, obok moich pisarskich rodziców Mieczysławy Buczkówny i Mieczysława Jastruna, mieszkało kilkunastu wybitnych literatów: bracia Brandysowie, Czeszko, Rudnicki, Sandauer, Hertz, i wielu innych... Piszę o tym domu na Iwickiej książkę, ale nie mogę znaleźć formuły opowiadania, choć mam świetny materiał, może nawet za bogaty...

S.B.: – ??

T.J.: – Za wiele jest w nim niezwykłych faktów, wspomnień, anegdot, wielkiej i małej historii, za wiele losów ludzi w tym jednym domowym miejscu, zanurzonym w płynącym okrutnie czasie. To mnie przerasta, no i te anioły i demony mojego dzieciństwa...

S.B.: – *Taki „kombajn” literacki w latach 50-tych musiał być czymś groteskowo-surrealistycznym. Na pewno kłębiło się tu od namiętności i musiały się dziać rzeczy nietykalne...?*

T.J.: – W sferze politycznej, artystycznej i obyczajowej działo się tu więcej niż potrafi udźwignąć literatura, pewnie dlatego to nie ja piszę książkę o tym domu, ale ona mnie pisze. Anegdoty, to tylko margines tej Iwickiej. Chcesz kilka? Z tego balkonu na pierwszym piętrze, który ci wcześniej pokazywałem, Adolf Rudnicki opluł Artura Sandauera, oczywiście po lekturze „Bez taryfy ulgowej”. Sandauer mieszkał na parterze i jako krytyk bezwzględny, nonkonformista w sztuce, potem zaś polityczny konformista, miał licznych wrogów, też

w tym domu. Dał koty z moim ojcem, ale ja przyjaźniłem się z jego synem. Teraz Adaś, po romansach z KPN-em, po epizodzie funkcji rzeczownika partii emerytów i rencistów, walczy z lekarzami na czele swojej organizacji „Primum non nocere”... No popatrz, co się porobiło.

Przez pewien czas mieszkał nad nami poeta i tłumacz, Adolf Sowiński, który będąc w stanie nietrzeźwym zrobił siusiu pod gmachem KW PZPR. Przyłapał go na tym akcie milicjant. Sowiński pokazał legitymację partyjną, ze słowami, że jest partyjny, więc mu wolno. Milicjant jednak uznał, że miał miejsce akt antykomunistyczny. Odbyła się partyjna rozprawa pisarzy nad Sowińskim, w której brali udział liczni wybitni literaci, też niemal wszyscy mieszkańcy domu na Iwickiej. I miała miejsce zażarta dyskusja wokół tego wydarzenia, a szczególnie rozważano kwestię, czy towarzysz Sowiński pokalał legitymację partyjną czy nie? I jak go ukarać? Mam stenogram tego dramatycznego spotkania, żaden humorysta by czegoś takiego nie wymyślił. O takich sprawach słynni pisarze debatowali całymi godzinami. W końcu Sowiński dostał naganę z ostrzeżeniem. Za zhańbienie legitymacji partyjnej.

I te nocne powroty z partyjnych szkoleń, prowadzonych przez Adama Ważyka... Matka czekała zaniepokojona, wychodziła na balkon, aż nagle w środku nocy, wśród milczenia ruin rozlegał się wielki gwar, to słynni literaci wracali z partyjnych zebrań. Kiedyś, na jednym ze szkoleń, ojciec został skarcony przez Ważyka za to, że czytał pod ławką Baudelaire’a. Znalazłem niedawno notatki ojca z tych szkoleń. Oni musieli te nonsensy wkuwać na pamięć, np. „Bucharin, syn byka i dzikiej świni”. Przypomina to sceny z „Ferdynandem” Gombrowicza – najwięksi polscy pisarze siedzą w ławkach i są odpytywani jak na lekcjach z kompletnych idiotyzmów.

Ale to są anegdoty. Istotny jest natomiast problem zniewolenia umysłu. I jak to wszystko wyjaśnić? Dzisiaj ówczesny upadek środowiska służy skrajnej prawicy, by walić liberałów w łeb i w ogóle dyskredytować intelektualistów. A sprawa nie jest taka prosta, bo to nie była tylko słabość, cynizm i łajdacstwo. Miłosz w swoim „Zniewolonym umyśle” niezwykle przenikliwie wiele rzeczy uchwycił. Mój ojciec do końca życia miał wyrzuty sumienia, że dał się usidlić, że uwierzył. Bo jednak uwierzył. Potem jednak ta wiara topniała i zaczął się strach.

I to był moralnie najgorszy okres. Ale ojciec przynajmniej do końca życia miał poczucie winy, uważał, że nie ma wybaczenia. W każdym razie sobie nie wybaczył. Kiedy przy goleniu krzyczał, to nie dlatego, że się skaleczył, ale dlatego, że przypominał sobie to, co uważał za największy błąd swego życia. I zawsze angażował się potem po stronie opozycji, by odkupić winy, ale u niego to był też odruch moralny. Miał wrażliwość na kwestie kłamstwa i prawdy, a nie każdy artysta ją posiada (np. Iwaszkiewicz nie miał i sam mawiał o sobie, że nie posiada gruczołu moralnego). Paradoksalnie, to jednak ci z gruczołem najłatwiej wpadali w sidła stalinizmu. Ale nie wikłajmy się za bardzo w ten temat. Dla mnie ciekawe jest to, że ja dopiero teraz rozumiem lepiej stalinizm niż w gnijących latach PRL-u. Czy to nie paradoksalne?

S.B.: – *Dlaczego dopiero teraz lepiej to rozumiesz?*

T.J.: – Pomaga mi w tym diabeł kapitalizmu. Teraz rozumiem jak potężna może być presja mechanizmów historii, presja otoczenia, trucizna, która jest w powietrzu, którą oddychamy. Dzisiaj komercja, siła pieniądza gwałci nas tak jak ich stalinizm. To jest inny gwałt i odmienne zniewolenie, nie zrównuję tych dwóch zjawisk, ale siła mechanizmów jest podobna. I czuję, że dzisiaj idę na większe kompromisy niż w czasach gnijącego PRL-u. Ty nie?

S.B.: – *Mnie teraz interesują lata stalinowskie, a nie własne kompromisy. Szczególnie mnie ciekawi, jak w latach 50-tych wyglądały dyskusje w takim domu jak Twój? Powiedziałeś mi kiedyś, że rozmawiano głównie o polityce.*

T.J.: – Mogę pamiętać tylko późne lata 50-te. To były głównie narzekania i złorzeczenia – mówiąc dzisiejszym językiem – na komunę. Wszystkie rozmowy krążyły wokół kilku tematów: jak żyć w tym kraju? Jak pisarz, który zgodnie z polską tradycją ma moralny obowiązek mówienia prawdy, może funkcjonować w sieci cenzury? Mój ojciec kiedyś nagrzeszył, ale za mojej pamięci zawsze miał polityczne kłopoty: cięła go cenzura, buntował się. Legitymację partyjną oddał w roku 56. W roku 64. złożył podpis pod „Listem 34”,

za co spotkały go represje. Od tamtego czasu zaczął się jawny bunt środowiska, zresztą kto inny się wtedy buntował? Wyrastałem więc w duchu buntu przeciw reżimowi, nic dziwnego zatem, że miałem kłopoty już w roku 68., chociaż chodziłem wtedy jeszcze do szkoły. W roku 77., o czym już zdążyłem zapomnieć, zwolniono mnie z powodów politycznych z pracy w *Tygodniku Kulturalnym*, bo jeździłem do małych miasteczek, gadałem okropne rzeczy i woziłem bibułę. Przyszło na mnie kilka donosów i przerażony szef musiał mnie zwolnić. Fakt, że mój ojciec kiedyś popierał ten reżim, był dla mnie zaskoczeniem. Dowiedziałem się o tym dość późno. Ponieważ nie było to za mojej pamięci, więc było to jakby w innym świecie.

W naszym mieszkaniu rozmawiano oczywiście o sztuce, więcej niż rozmawia się dzisiaj. O polityce zresztą też dyskutowano częściej niż dzisiaj. A wtedy wyłączano telefony, patrzono z niepokojem na wywietrzniki, w których podobno instalowano urządzenia podsłuchowe. Z tego wszystkiego, pamiętam, śmiałem się, ale jak się okazało po latach – niesłusznie, bo telefon ze słuchawką na widełkach mógł być urządzeniem podsłuchowym.

S.B.: – *Ta domowa atmosfera pomogła Ci potem zaangażować się w opozycję?*

T.J.: – Na pewno tak, ale jak mówiłem, podobnie jak ojciec mam temperament społeczny. Nie było więc dyskusji, skoro nagle pojawił się wybór i powstała w roku 76. opozycja. Przez wiele lat byłem zaangażowany w działalność podziemną. To było rozkoszne, tak towarzysko, jak i moralnie. Świat nagle stał się bajecznie prosty, czarno-biały... Ale to akurat nie było zbyt mądre. Wiesz, co wtedy było najładniejsze? To, że nie wierzyliśmy, że wygramy. Komuniści, gdy byli w podziemiu wierzyli, a my nie. Robiliśmy to wszystko, gdyż tak wypadało. Uważaliśmy, że nie wolno na czarne mówić białe, a nawet jeśli wszyscy wokół tak mówią, ktoś musi wstać i krzyknąć, że to nieprawda. I była jakaś wspólna sprawa... Bardzo mi dzisiaj tego brakuje. Teraz są co najwyżej wspólne interesy, ale nie ma spraw. Dlatego tak lubię grać w piłkę nożną z redakcją *Polityki*. Kto by kiedyś pomyślał, że nie tylko będę dla nich pisał, ale na dodatek grał z nimi w futbol...?

S.B.: – *Taka myśl 20 lat temu wydałaby mi się rzeczywiście szalona...*

T.J.: – Ale takich paradoksów są dzisiaj setki. Wyobraź sobie np. że znów mamy rok 82., ja ukrywam się na Ursynowie, a Cyganka wróży mi z ręki następująco: „w roku 2000 ZSSR rozpadnie się, Polska wejdzie do NATO, ty będziesz przez kilka lat dyplomatą w Sztokholmie, potem córka Jaruzelskiego stanie się twoją koleżanką redakcyjną, a sam generał będzie w tobie budził mniejszą odrazę niż ludzie, którzy drukowali pierwszy numer twojego podziemnego pisma *Wezwanie*; na dodatek twoi koledzy zostaną szefami MSW, premierami i ministrami, a mimo to nie będziesz ich szanował; Bujak zostanie szefem ceł, a Frasyniuk będzie organizował we Wrocławiu walkę polskiego boksera-bandziora...” To wszystko byłoby rzeczywiście surrealistycznym snem szaleńca.

S.B.: – *No, byłoby. Ale futurologia to w ogóle trudna sztuka. Natomiast nadal nie bardzo rozumiem dlaczego tak Cię ekscytuje gra w piłkę z redakcją Polityki?*

T.J.: – Bo oto nareszcie robimy coś razem, w zespole, bezinteresownie. Właśnie tego mi dzisiaj najbardziej brakuje. Tych dawnych spraw, które zdawały nam się wielkie, zażdrości mi zresztą dzisiaj mój syn, który zaczął niedawno pracować jako prawnik. Szarpie się ze sobą, bo nie chce brać udziału w wyścigu szczurów, ale nie chce też dać się zepchnąć na margines. To jest wielki dramat całego młodego pokolenia. Mogą mieć wszystko, świat jest dla nich otwarty (dla nas był zamknięty), ale stają się niewolnikami pracy i pieniędzy. Wielu z nich wie o tym. Ale tu nie ma łatwych decyzji ani prostych recept. I nie ma dobrego wyjścia... Cała nasza cywilizacja jest chora, coraz mocniej to czuję, ale idziemy w nią, bo nie znamy innych dróg. A więc młodzi są zagubieni, patrzą na nas, choć coraz rzadziej, ale my nie potrafimy im pomóc, bo sami jesteśmy zagubieni, a świat wokół nas jest coraz bardziej nasz-nie nasz. Ja tak się właśnie czuję teraz w Warszawie, którą coraz mniej lubię, bo jest moja i nie-moja. Tak samo jak Polska. Kiedyś byłem patriotą, a teraz sam już nie wiem. Czy my w ogóle jeszcze lubimy siebie?

Dlatego czasami ze świadomie naiwną nostalgią wspomynam tamte, okropne przecież czasy PRL-u, gdyż tworzyliśmy środowisko, byliśmy wielką rodziną...

S.B.: – *Dziś rodzina jest już dawno po rozwodzie...*

T.J.: – Często nie lubimy się między sobą bardziej niż swoich starych wrogów. Oczywiście w tej rodzinie też były zdrady i nielojalności, ale jednocześnie było wiele ładnych rzeczy. Szczególnie poczucie wspólnego dobra, które dzisiaj jest w strzępach. Ale historia nas uczy, że tak jest zawsze.

S.B.: – *Ty ciągniesz jak koń ku naszym czasom, a ja chcę jeszcze mówić o przeszłości. Kto spośród bywających u Was wybitnych pisarzy miał w latach PRL-u najtrzeźwiejszy ogląd sytuacji?*

T.J.: – Na komunę narzekali wszyscy. Najbardziej jednak kategoriyczny był chyba Herbert. Pamiętam jego urodziny, które obchodził w naszej kuchni, wraz z moim ojcem i moją późniejszą żoną Ewą (traf chciał, że cała trójka urodziła się 29 października). Wszyscy upiliśmy się nalewką z tarniny, którą robiła moja mama. Były oczywiście polityczne rozmowy... Pamiętam, że długo gadano o konformizmie Iwaszkiewicza. Potem nagle Herbert oświadczył, że ma już dosyć tego kraju i emigruje (choć jednocześnie skarżył się, że urzędnicy nie chcą mu dać mieszkania, na które od dawna oczekiwał). To było zresztą typowe dla tamtych czasów: nawet zbuntowani oczekiwali czegoś od państwa. Mam notatki zrobione z tej rozmowy, więc nie wymyślam. A przecież to Herbert mi kiedyś mówił, że nasza sytuacja jest beznadziejna, bo „nawet pijąc wodę z kranu, kolaborujemy z komunistami”. Przy takiej jednak postawie nikt nie był do końca czysty. Herbert też, więc szkoda, że potem wydawał wyroki na kolegów, z którymi wcześniej się przyjaźnił. Nic dziwnego, że teraz ktoś mu co jakiś czas coś tam wyciąga, i okazuje się, że jednak nie był święty. Oczywiście, że nie (i całe szczęście!), bo żaden święty nie napisałby tak wielu świetnych wierszy. Wtedy pod stołem łapał za kolano moją śliczną narzeczoną, a Kasia prosiła go, by tego nie robił. Dlaczego prosiła? Bo

widziała, że jestem co najmniej zakłopotany. Potem w czasie tego urodzinowego spotkania, na rozkaz Herberta wstaliśmy i śpiewaliśmy AK-owskie pieśni patriotyczne... To było chyba trochę śmieszne, trochę wzruszające i trochę smutne.

Herbert – myślę – był nieraz zagrożony przez patos, też w swojej sztuce, ale zawsze wychodził z tego cało. Czuł granicę. On bardzo cenił mojego ojca, jako człowieka i poetę, znał wiele jego wierszy na pamięć. Mówię o tym, bo Herbert dzisiaj jest wielki, a mojego ojca zapomniano niemal zupełnie jako poetę. Był może nierówny, ale kilkanaście jego wierszy jest świetnych i zasługuje na pamięć. No i ta eseistyka, nie mówiąc o przekładach...

S.B.: – *Napisałeś, że „tam gdzie są Muzy, rodzą się Demony”. Nie wiem, czy można to zdanie odnosić do Twojego dzieciństwa? Ale jeśli tak, oznacza ono chyba, że w domu gdzie są dwie wielkie indywidualności artystyczne, dziecku nie może być łatwo?*

T.J.: – Być dzieckiem artystów, to trudne w wielu wymiarach. Z jednej strony jest się obciążonym genetycznie, z drugiej rodzice-artycy są zajęci sobą i nie mają zbyt wiele czasu dla dzieci, które przecież przeszkadzają pisać. Moi rodzice bez wątpienia mnie kochali, nad moim łóżkiem wisiał wierszyk: „Mleczko, kaszka dla Tomaszka”, tyle pięknych wierszy o mnie napisał ojciec, i mama też, ale oni często podróżowali, a ja zostawałem z babcią. I ciągle się o mnie bano. To była taka „prerażająca miłość”, typowa chyba dla ludzi, którzy sami się boją, bo są nadwrażliwi. A więc dzieciństwo pokaleczyło mnie, co chyba widać w moich wierszach. Urodzić się w domu artystów to dar, ale też zagrożenie i obciążenie.

S.B.: – *Oczekiwano od Ciebie zbyt wiele?*

T.J.: – Mój ojciec był człowiekiem zdroworoządkowym, więc nie stawiano mi jakichś wysokich wymagań. Pierwsze wiersze napisałem, gdy miałem siedem lat, ale na poważnie zacząłem pisać w wieku 16 lat. Ojciec był zaniepokojony. Wiedział, że jest to ciężka i bolesna droga. Herbert, pamiętam, także mnie ostrzegał, że w tej dyscyplinie właściwie

każdy przegrywa. I mieli rację. Dlatego ojciec początkowo był przeciwny temu, że piszę. A jednak po jakimś czasie przekonałem go swoimi wierszami. Był zdziwiony i poruszony, że tworzę prawdziwą poezję. Na pewno mnie przeceniał, ale ojciec ma do tego prawo. To zresztą on, gdy byłem jeszcze dzieckiem, zapisał mój pierwszy wiersz-pytanie: „Dlaczego jabłko ma tylko głowę”? Lepszego już dzisiaj nie napiszę. Każde dziecko jest poetą. Tylko trzeba to zauważyć.

S.B.: – *W dawnych, dobrych czasach przekazywało się zawód linią rodzinną. Jeżeli ojciec był stolarzem, był nim również syn i wnuk. Czy w literaturze można przekazać talent?*

T.J.: – O wiele częściej chyba przekazujemy swoim dzieciom neurastenię, choroby psychiczne, schorzenia serca i skłonności do siwienia lub łysienia. Można też przekazać rzemiosło, ale prawdziwego talentu nie da się przekazać. Może czasami pewne predyspozycje, głębę do rozwoju, czasami...? A ja miałem na co dzień za wiele literatury: wokół piętrzyły się góry książek, a ojciec mruczał wiersze, jak modlitwę. Należy pamiętać, że należał do generacji, dla której sztuka była wszystkim. Jeżeli miał jakieś literackie słabości, to chyba tylko takie, że za głęboko tkwił w literaturze, a za mało w życiu codziennym. To było inne pokolenie: znali grekę, łacinę i kilka innych języków, a w literaturze byli pogrążeni po uszy. Dla mojego ojca poezja była religią. Dzisiaj już nikt tak nie jest oddany sztuce. Nie ma możliwości, by skupić się na jednej dziedzinie, bo za wiele drzwi zostało otwartych, a telewizja, komputer, e-mail i komórkowy telefon, roztrzaskały skały skupienia.

S.B.: – *Jak to jest, gdy w jednym mieszkaniu żyje i tworzy dwoje pisarzy? Zwykle z takiego zderzenia rodzą się bardzo niesympatyczne wibrowania...*

T.J.: – Tutaj nie było takiego problemu. Może to się wiązało z dużą różnicą wieku pomiędzy moimi rodzicami? Teraz uświadomiłem sobie, że większa różnica jest między mną a moją obecną przyjaciółką (większa w latach, ale mentalnie minimalna, inne są czasy). To, że ojciec był wiele starszy od

matki, było problemem dla mnie, bo nie mógł być moim partnerem w sporcie, a ja bardzo chciałem z nim pograć w tenisa lub pobiegać. Niestety, jego to nie interesowało. I pomyśleć, że ja teraz nie mogę namówić mojego syna, by zagrał ze mną w tenisa. Ma ochotę, ale nie ma czasu.

Ojciec był dla mojej matki nie tylko mężem, ale i mistrzem. Ona była zdolną poetką, młodszą od niego o ponad 20 lat, więc nic dziwnego, że on miał mocniejszą pozycję w tym związku. Ale w sumie to był ładny związek. Łączyła ich miłość i artystyczne partnerstwo. Matka z kolei pomagała ojcu w jego zmaganiach ze światem, który go przerastał, bo ojciec był niezaradny, z głową w chmurach.

S.B.: – *Naturalnym instynktem jest bunt dzieci przeciwko rodzicom. Jak wygląda bunt ambitnego syna przeciwko wybitnemu ojcu?*

T.J.: – Nigdy nie było we mnie takiego buntu. To był tolerancyjny dom. Nie miałem więc szansy na bunt pokoleniowy, wtedy powszechny, a dzisiaj w zaniku, bo młodzi obecnie olewają rodziców lub traktują ich partnersko.

S.B.: – *Jak z perspektywy czasu spoglądasz na ojca? Co zrozumiałeś dziś, czego nie rozumiałeś wówczas?*

T.J.: – Ojciec zmarł w 1983 roku. Byłem wtedy już dorosłym człowiekiem, ale czy wystarczająco? Teraz tak chciałbym go zapytać o wiele rzeczy. Ale tak jest chyba zawsze. Po czasie żałujemy, że nie porozmawialiśmy z bliskimi, kiedy było to możliwe. Ale z drugiej strony, dany jest mi ogromny przywilej, bo mogę sięgnąć do jego twórczości. Inni ludzie odchodzą prawie bez śladu, mój ojciec natomiast pozostawił wiersze, eseje, prozę, gdzie zapisane jest jego życie. Są też dzienniki, które tylko w małym fragmencie zostały opublikowane w *Pulsie* (lata 1955-1960). Mam nadzieję, że w przyszłym roku ukaże się drukiem całość. Tam jest niemal całe moje życie widziane z góry, które ja pamiętam z dołu. Niebysza!

S.B.: – *Czytałem wszystkie Twoje wiersze w okresie stanu wojennego i przeżywałem je. „Skrzyżowanie Azji i Europy”*

*zrobiło na mnie piorunujące wrażenie. Dziś widzę, że w Twoim ostatnim zbiorze poezji prawie w ogóle nie ma tekstów z tego tomu. I rozumiem. Ale jednocześnie czuję przygnębienie, że to, co nas tak emocjonowało i zdawało się ważne, poszło już na śmietnik historii. Nie masz poczucia, że zmarnowaliśmy ten czas?*

T.J.: – Może mam jakieś powody do rozpacz, ale nie rozpaczam, że umarły moje wiersze z okresu stanu wojennego. Były ważne wtedy i to jest dla mnie istotne. Jeżdżąc po Polsce, nadal spotykam ich podziemne wydania i ludzi, którzy je pamiętają. Wtedy, w świecie kłamstwa, słowa były naszą bronią. Zwykle, niestety, bronią jednorazowego użytku. Ale uderzały mocno, w serce. Nikt mi nie zabierze tych podziemnych spotkań z udziałem setek ludzi ze wszystkich środowisk. Nigdy już poeta nie będzie miał takiej publiczności. To była prawdziwa serdeczna solidarność i wspólne wzruszenia.

Pamiętam jedno z takich spotkań na Stegnach, bardzo konspiracyjne, ale dzieci na podwórku o nim wiedziały, więc kiedy zabłądziłem, skierowały mnie do właściwego mieszkania. Było w nim kilkanaście osób, w różnym wieku, podziemna „Solidarność” jakiegoś zakładu kolejowego. Moje wiersze zostały przepisane na maszynie przez kobietę, która nie mogła przyjść, bo pracowała na nocną zmianę. Okładkę zrobił robotnik, też nieobecny, bo przeładowywał wagony węgla, ale byli inni pracownicy: inżynier, robotnicy, sprzątaczką. I słuchali wierszy ze wzruszeniem. Te utwory zrodziły się z emocji i fruwały na ich falach. Gdy opadły, zwiędły tym wierszom skrzydła. Tak, chyba niewiele z nich przeżyło próbę czasu, dlatego tylko kilka z nich umieściłem w ostatnim wyborze mojej poezji, który ukazał się w Iskrach. Ale za to Polska jest wolna!

Tamten czas był fascynujący, a drugi obieg okazał się fenomenem na skalę światową. I pomyśl, że to wszystko zostało zmarnowane. Zniszczyliśmy mit „Solidarności”, budowany w sierpniu roku 80. Byłem wtedy w stoczni, gdy stał się ten cud. Cud zamordowany. To poczucie wspólnoty już się nigdy nie powtórzy. To był, upieram się może naiwnie, wielki skarb, który został roztrwoniony.

W stanie wojennym, nauczyłem się od Norwida z wiersza

„Fatum”, że jeżeli artysta robi z nieszczęścia temat, to nieszczęście traci na wadze. Dla piszącego wszystko może stać się tematem. Pisałem wtedy wiersze-świadectwa, zbierałem sny stanu wojennego, relacje o 13 grudnia, opowieści dzieci. Robiliśmy wielką dokumentację tego niezwykłego śmietnika. I zacząłem wówczas pisać w *Wezwaniu* notatnik, rejestrujący groteskowość tamtych lat, bo zauważyłem, że było w nas wtedy za wiele patosu, co niszczyło sztukę. Więc zacząłem pisać ten ironiczny tekst, gryząc jednak przede wszystkim reżim. Po kilkunastu latach gryzę złośliwie naszą demokrację. To nie do wiary, że przez tyle lat co miesiąc piszę do *Kultury*. To jest już chyba jakaś forma nałogu.

S.B.: – *Więc Twoim zdaniem poezji stanu wojennego najbardziej zaszkodził patos?*

T.J.: – To jedna z głównych wad literatury tamtego czasu. Dlatego prawie nic nie przetrwało, szkoda. To chyba Miłosz napisał kiedyś tekst pod wymownym tytułem: „Szlachetność, niestety”. Niestety, miał rację.

S.B.: – *Trudno nie zauważyć tonu goryczy, gdy mówisz o opozycji: wiersze z tamtego okresu okazały się artystycznie nieudane, podziemne przyjaźnie zniszczyła polityka. To nie jest radosny bilans...*

T.J.: – Z obawą mówię o tamtym okresie, bo nie chciałbym popadać w ton martyrologiczny. Drażni mnie nadymanie się części naszej prawicy, tropienie dzisiaj komunistów i lewicowego myślenia. Oni nie widzą, jak wiele przeszli od swoich dawnych wrogów.

Miałem to szczęście, że zaangażowałem się w opozycję już w 76 roku, na początku jej istnienia, więc przeżyłem jej najlepsze, heroiczne chwile. W naszym działaniu najładniejsze było to, że nie wierzyliśmy w zwycięstwo, a jednak robiliśmy swoje. I udało się. Okazuje się, że klęska – jeżeli nie jest ostateczna – bywa wspaniała, bo daje szansę na działanie, a w jej ramach można zorganizować sobie życie. Gorzej jest, gdy się wygrywa.

S.B.: – *W Twojej poezji można wyczytać z jednej strony tęsknotę za emigracją, z drugiej ostrzeżenie przed nią. Ciekawi mnie czy miałeś pokusę wyjazdu?*

T.J.: – Nigdy nie miałem pomysłu, żeby z Polski wyjechać na zawsze, choć namawiano mnie do tego na przesłuchaniach. Ludzie, emigrując, chcą – zwykle nieświadomie – wyemigrować od siebie, a przecież siebie zawsze się ze sobą zabiera.

S.B.: – *Widziałem w domu Twój worek bokserski, widziałem Cię też – w ataku – na kortach. Odnoszę wrażenie, że lubisz walkę i ryzyko. Sprawia Ci przyjemność nokautowanie przeciwników?*

T.J.: – Jest może kilka osób, które chciałbym znokautować, ale nie ma ich akurat w zasięgu moich ramion. Zresztą podejrzewam, że każdy ma podobne myśli, tylko nie każdy przyznaje się do tego. Urodziłem się w literackim domu. Mój ojciec chodził z głową w chmurach, nigdy nie uprawiał sportu, co zawsze mnie drażniło. Stąd, jakby na zasadzie przekory, uprawiałem dużo sportu. Uważam, że duch powinien współgrać z ciałem, drażnią mnie cherlawi, nieporadni fizycznie intelektualności. Aktywność fizyczna jest doskonałym uzupełnieniem ruchu myśli i pracy mózgu, a czasami może czymś więcej.

Nie czerpię przyjemności z tego, że ktoś uderzę lub zranię. Ale zobacz ile nowych form konformizmu ujawniło się obecnie u dawnych nonkonformistów! Uważam, że stan naszej krytyki jest fatalny. Jest ona koteryjna, nijaka albo tchórzliwa. Atakuje mocno, ale ślepo, bo ktoś jest z lewicy lub z prawicy. Ja natomiast uderzam wtedy, gdy czuję, że jakaś sfera kultury jest zakłamana i należy powiedzieć prawdę. A prawda zwykle rani.

S.B.: – *Ale kiedy uznajemy się za dyżurną miotłę do wymiatania brudów, często tracimy miarę. Na przykład Ty stałeś się etatowym egzekutorem. Na łamach Kultury przez długie lata dusiłeś i rozstrzeliwałeś politycznych przeciwników. Gdyby tu ustawić Twoich wrogów albo ludzi, których po prostu zraniłeś, zebrałby się niemały tłumek...*



T.J.: – Zaskakuje mnie to, co mówisz, nie spodziewałem się, że mogę być tak postrzegany... Jedno jest pewne, w tym co piszę, pozostaję niezależny. Nie jestem w żadnej partii politycznej, nie byłem nawet w „Solidarności”, do harcerstwa należałem kilka dni. Mam oczywiście swoje polityczne sympatie, chociaż generalnie, podobnie jak większość moich rodaków, polityki coraz bardziej nie lubię. Łatwiej mi powiedzieć, czego teraz na naszej scenie politycznej nie akceptuję, niż co cenię.

S.B.: – *Czego więc nie lubisz?*

T.J.: – Tej bardzo specyficznej formacji, która jest odmrożonym po kilkunastu latach fragmentem jakiegoś endecyjskiego członka. Okropnie to wygląda i pachnie. W *Kulturze* piszę ostro, malkontencko, nawet depresyjnie, i są to na pewno teksty tendencyjne, ale felietonista ma prawo pisać złością. Nie miałem jednak nigdy poczucia misji ani nie uzurpowałem sobie prawa do wymierzania sprawiedliwości. W *Kulturze* piszę podobnie jak mówi się na co dzień o polityce i o sztuce, czyli dosadnie, a mówimy zwykle mocniej niż piszemy. Oczywiście uważam, że kłamstwu, w którym żyjemy, musimy wypowiedzieć świętą wojnę, co sprawia, że potrafię zaryzykować, pisząc o osobach publicznych.

S.B.: – *No i tu zaczyna się już fundamentalizm. Oto reprezentuję jakąś rację lub ideę, więc wypowiadam świętą wojnę. A jeżeli mam w ręku ostre narzędzie, krew się leje.*

T.J.: – Trudno o fundamentalizm tam, gdzie nie wyznaje się żadnej spójnej ideologii. Jestem może co najwyżej fundamentalistą w tropieniu różnych idiotyzmów. A flekowanie to raczej metoda Jurka Pilcha, a nie moja. Inna sprawa, że po latach czasami widzę, że w tym i w owym nie miałem racji. Jestem z natury pesymistą, więc często przesadzam w ciemnym widzeniu rzeczywistości. Kiedyś byłem pewien, że wszystko, co wrogie komunizmowi, jest dobre, łącznie z Pinochetem. Tak dzisiaj myśli choćby szef *Życia* – Tomasz Wólek. Tak myśli też dzisiaj spora część naszej prawicy, tymczasem to jest myślenie archaiczne, odwołujące się do świata, którego już nie ma. Pojęcia „lewica” i „prawica” zresztą też

domagają się już gwałtownej redefinicji, bo coraz bardziej gubimy się wśród pojęć, które straciły dawne znaczenia. My po prostu kiedyś uprościliśmy świat, jak czynią to wszyscy ludzie walki. Ale świat był i jest znacznie bardziej skomplikowany. Dzisiaj składa się z coraz większej ilości półcieni i trudniej być pewnym, gdzie znajduje się prawda.

S.B.: – *Odnoszę wrażenie, że nie tylko wtedy, ale i dzisiaj zdarza Ci się świat upraszczać. Przede wszystkim nie jest prawdą, że opuściłeś front. Po prostu znalazłeś sobie nową formację wrogów. Na przykład jeszcze nie tak dawno byłeś jednym z najbardziej nieprzejednanych prześladowców Kaczyńskich i skutecznie ich wyciąłeś. Nie osądzam i nie oceniam, ale na pewno w rezultacie masz dziś za przeciwnika Jackowskiego. Nie wiem, czy to jest dobra zamiana i czy taki triumf był wart zachodu?*

T.J.: – [zaskoczony] Nawet nie pamiętam, że cokolwiek o nich pisałem. Bracia-bliźniacy są zresztą nieprzemakalni, więc nie sądzę abym ich skałeczył. Przecieniasz siłę słów pisanych w *Kulturze*, która jest ceniona, ale od jakiegoś czasu chyba na marginesie. W *Polityce* za to piszę na ogół o tym, co lubię i co mi się podoba.

S.B.: – *Nie sądzę. Spójrzmy choćby na tekst, który poświęciłeś Herbertowi po jego śmierci. Przyznam, że mnie zabolął. Giedroyc powiedział kiedyś, że Polacy są specjalistami od przerzucania się trumnami. Przypominam to zdanie, bo pogrzeb Herberta został przez Ciebie wykorzystany do dyskredytacji polskiej prawicy. Myślę, że to nie najlepsza okazja i źle dobrany człowiek. Żadnego stalinowca nie zaatakowałś po śmierci tak jak Herberta.*

T.J.: – Giedroyciowi mój tekst się podobał. To *Życie* samo zrobiło aferę. Zadzwoniła do mnie młoda dziennikarka tego pisma, abym coś powiedział o Herbercie, mówiłem przez telefon długo, wspominałem o jego chorobie. Wydrukowali tylko ten fragment o chorobie, zresztą bez autoryzacji. Już następnego dnia redakcja *Życia* przeproszała czytelników za ten mój skandaliczny wybryk. Popatrz, drukują nieautoryzowaną

ustną wypowiedź, a potem przepraszają czytelników za moje chamstwo. To tak jakby sami sobie wystawiali recenzję. Powiniennem im wytoczyć proces, ale żal mi było tej młodej dziennikarki. A po drugie, poczułem, że chce mi się rzygać, więc machnąłem na nich ręką. I pomyśleć, że to było kiedyś moje pismo. Pracowałem tam chyba przez rok po powrocie ze Szwecji, ale wtedy jeszcze nosiło nazwę *Życie Warszawy*, a Tomek był moim kolegą. Nie zadzwonił, by zapytać, sprawdzić, wyjaśnić. Teraz *Życie* zeszło do tego poziomu, że nawet jeżeli mnie tam ktoś atakuje, co się zdarza, jest to dla mnie komplement.

S.B.: – *Ale mieliśmy mówić o tekście w Polityce...*

T.J.: – Do *Polityki* tekst o Herbercie napisałem już własnoręcznie, nie było tam jednak żadnej dyskredytacji. Stwierdziłem, że był jednym z najszlachetniejszych Polaków, jakich znałem, ale zaznaczyłem też, że źródłem jego zapalczowości i wypowiedzianych w ostatnim czasie publicznie nonsensów była choroba. Nie ma u nas tradycji, by mówić o tego typu przypadłościach. Wiem, że to niebezpieczne, bo w ten sposób można kogoś naznaczyć słowem „wariat”, nie mogłem jednak spokojnie patrzeć jak skretyniała część naszej prawicy anektuje poetę dla siebie! Jego, wolnego od ksenofobii i jakichkolwiek przesądów...

Po serii wypowiedzi Herberta na temat Miłosza i polskich intelektualistów, Michnik napisał, że są one dla niego kompletnie niezrozumiałe. Dla mnie natomiast były zrozumiałe, z różnych powodów, też osobistych, bo wiem czym jest ta choroba. Moja matka od lat choruje na cyklofrenię, mówi o tym i pisze, więc jestem przyzwyczajony do tego, że to nie jest temat tabu.

S.B.: – *Mnie zabolalo to, że nie podjąłeś polemiki z poglądami Herberta, ale bez argumentów wysłałeś go do psychuszki. Jego opinie – przynajmniej skrajne – były jednak wyrazem jakichś poglądów, z którymi podejmuje się spór, a nie wzorem prokuratorów sowieckich – odsyła do domu wariatów. Moim zdaniem Herbert sobie na to nie zasłużył.*

T.J.: – Wybacz, ale nie da się polemizować z doniesieniem, że Miłosz jest człowiekiem słabo piszącym po polsku (choć „literacko pożytecznym”), który chciał sprzedać Polskę Związkowi Sowieckiemu, uważając że powinna być częścią Sowieców. Tymczasem Miłosz przez całe lata – chociaż byli dla siebie nieuchronnie konkurentami – stawał na głowie, żeby Herbertowi pomóc, nawet tłumaczył jego wiersze na angielski. Te napady (i ich forma) nie mieściły się w żadnych granicach, również dobrego smaku.

S.B.: – *Jeśli ktoś mógł być naprawdę dotknięty tekstami Herberta, to Miłosz. Tymczasem on zachował wyjątkową wstrzeźliwość i opanowanie. Myślę, że należało przyjąć tę samą zasadę wyrozumiałości. Zwłaszcza po śmierci Herberta. Ty natomiast wybrałeś postawę prokuratora.*

T.J.: – Miłosz był bardziej dotknięty, niż myślisz. Rozmawiałem z nim bezpośrednio po wypowiedzi Herberta. Był w szoku. Napisał w końcu delikatnie, że „chodzą słuchy, że Herbert nie czuje się najlepiej”, czy coś w tym rodzaju. Rzeczywiście, łagodniej niż ja. Ale on nie mógł napisać mocniej, ja mogłem.

S.B.: – *Postawa rozliczeniowa Herberta zarysowała się dużo wcześniej, zanim przyszedł paroksyzm choroby. Już jego wypowiedź w „Hańbie domowej” zwracała uwagę odstającym od całego tomu tonem nieprzejednania. Wekslowanie tego wszystkiego na chorobę jest nieporozumieniem.*

T.J.: – Wszystkiego nie, ale siły oskarżenia, tak. On przecież przyjaźnił się z ludźmi, których potem tak mocno zaatakował. Czemu nie zrobił tego wcześniej?

S.B.: – *Nie wiem, nie jestem lekarzem, ale nie sądzę żeby choroba psychiczna budziła do życia zupełnie nowego człowieka i obdarzała go nowym światopoglądem. Choroba wyostreza lub karykaturyzuje istniejące już cechy.*

T.J.: – Tak, wyostreza i karykaturyzuje, ale jeśli ta sama myśl jest wzmocniona stukrotnie, to nie jest już ta sama myśl. Nie

wykluczam jednak, że popełniłem błąd, może trzeba było z tym zaczekać. Być może również przekroczyłem granicę dobrego smaku? Jeśli coś mnie boli w związku z tą sprawą, to fakt, że zraniłem Kasię – żonę Herberta. A nie chciałem tego uczynić, bo ją podziwiam. Poświęciła się do końca, dźwigając ich dramat przez wiele lat. Nie boli mnie natomiast, że uraziłem wielu ludzi myślących skrajnie. Lubię być lubiany, ale już nauczyłem się być nielubiany. To jest czasami pozytywne doświadczenie.

S.B.: – *Rozmawiamy od jakiegoś czasu o bólu. Bólu zadawania ciosów i przyjmowania ich. Gdy uprawia się felietonistykę i eseistykę polityczną, musimy uderzać i kaleczyć. Zastanawiam się czasem, jak to jest, że w tym samym ciele mieszka subtelny poeta liryczny i groźny bokser?*

T.J.: – Wszyscy mamy w sobie wiele osób i demonów. Należę do osób skomplikowanych, mam w sobie wiele sprzeczności. Wprawdzie boję się wielu rzeczy, ale często podejmuję ryzyko. Jak wiadomo, odwaga jest rzeczą względną, więc tylko ten może być odważny, kto się boi. Przez bodaj osiem lat prowadziłem podziemne pismo literackie *Wezwanie*, chociaż miałem cały czas na karku bezpieczeńkę. W stanie wojennym przez rok się ukrywałem, chociaż zapewne nic by się przykrego nie stało, gdybym się ujawnił. Pewnie nawet puściliby mnie do domu. No, ale my wtedy mieliśmy swój wielki honor i bezinteresowność. W końcu złapali mnie, wsadzili, ale trzymali krótko. Akurat tyle, abym mógł to potraktować jako niezwykle interesujące doświadczenie. Ale kto wie, czy nie więcej zdrowia kosztowała mnie luksusowa Szwecja?

S.B.: – *A ja myślałem, że to była sama przyjemność. Co tam było przykrego?*

T.J.: – Wyszedłem z „domu bez drzwi” i nagle stałem się dyplomatą z immunitetem. Czyli chora sytuacja, bo jednym susem przeskoczyłem drogę od przesadnej „tykalności” do nietykalności. Wylądowałem więc z dnia na dzień na innej planecie, jako *attaché* kulturalny i dyrektor Instytutu Polskiego. Cała ekipa dyplomatyczna w ambasadzie to były

komuchy, które trzęsły się ze strachu, nie byli więc groźni, ale to było nieestetyczne. Instytut przekazywał mi dyrektor W., kapitan безпеiki. Potem dowiedziałem się, że w kraju przesłuchiwał wielu moich kolegów.

S.B.: – *Byłem kiedyś w tym instytucie. Mówiono mi, że odwaliłeś tam kawał dobrej roboty. A zwłaszcza, że miałeś świetne kontakty ze Szwedami.*

T.J.: – Wszystko tam było w proszku. Jak budować od korzeni instytucję na innej planecie, gdzie pracownicy nie znają szwedzkiego, nawet angielskiego, a gdy przychodzi jakiś Szwed, chowają się w toalecie? Obowiązywał tam nawet nakaz, by na wszystkie imprezy przychodziły rodziny pracowników, by zwiększyć frekwencję. Instytucja była opłataną siecią starych, kretyńskich przepisów, a MSZ w strasznym stanie pozawałowym. Ludzie, którzy mieli mi pomóc na miejscu, okazali się wrogami, bo uznali, że ich zdradziłem (według nich miałem być pociągana za sznurki marionetką, a nie byłem). I ta emigracja ze swoimi pięknymi ludźmi, ale z masą palantów... [ciężkie westchnienie]. Szwedzi są, jak wiesz, dosyć hermetyczni. Ale lubię ich. Dopiero teraz, po latach, gdy instytut od dawna jest już martwy (to dość powszechna opinia), wszyscy mi mówią, jak wiele świetnych rzeczy zrobiliśmy w Sztokholmie, szczególnie przez te dwa pierwsze lata, kiedy było wielkie zainteresowanie Polską. Ale ja się tam cały czas męczyłem, bo jestem szalenie obowiązkowy i nie potrafię niczego olewać. Ciągłe wydawało mi się, że coś jest nie tak i powinno być lepiej. Byłem tam nie w swoich butach (mówię o dyplomatycznych i dyrektorskich butach), a to dla mnie obce ciało. No, ale teraz przynajmniej wiem, że nie chcę być ambasadorem czy ministrem. Obecnie ta Szwecja oddala się ode mnie, ale to jednak moja druga ojczyzna. To, że nie napisałem o niej książki, jest jednym z moich licznych grzechów.

S.B.: – *Siedząc w Sztokholmie, pisałeś do Kultury pod nowym pseudonimem „Smecz”, udając bywalca warszawskich salonów politycznych. Co to za dziwny pomysł?*

T.J.: – Wyjeżdżając, pożegnałem się z Giedroyciem i Witol-

dem Charłampem, czyli moim pierwszym pseudonimem. Ale na pożegnanie, siedząc już na walizkach w Warszawie, napisałem tekst jako Smecz (ten pseudonim jest echem moich tenisowych pasji). Już w Szwecji poczułem nagle, że mam ochotę napisać jeszcze jeden. Potem znowu... Wkrótce okazało się, że jestem uzależniony, że to nałóg. I tak pisałem przez cztery lata, siedząc w Sztokholmie, a udając, że jestem w kraju. Samemu trudno mi uwierzyć, że to możliwe. Te teksty ukazały się później w formie książki, wydanej przez Instytut Literacki. Zachwycał się nią Jerzy Urban, co – muszę powiedzieć – nieco mnie zaniepokoiło. Poza tym raczej nie miała recenzji, bo w końcu pogryzłem tam prawie wszystkich.

S.B.: – *Jedną sferę Twojej działalności publicystyczno-eseistycznej stanowią poważne wypowiedzi polityczne, drugą zaś felietony w prasie komercyjnej. Z jednej strony Polityka i Kultura, z drugiej Twój Styl. To dwie bardzo różne role: prokuratora politycznego i obyczajowego libertyna. Jak znowu godzisz te dwie misje, które – powiedziałbym – nie chodzą ze sobą w tym samym zaprzęgu?*

T.J.: – Z poważnych pism mógłbyś jeszcze wymienić *Architekturę*, *Res Publicę* i *Rzeczpospolitą*. Wcześniej pisałem też wiele do *Ex Librisu* (to było dobre pismo, szkoda że umarło), szwedzkiego miesięcznika *Moderna Tider* i słynnego dziennika *Dagens Nyheter*. Jak na dyplomatę za wiele pisałem. Dzisiaj już by mi nie pozwolono. A te paradoksy? U człowieka w jednym zaprzęgu chodzą często odmienne zwierzęta. Tylko w przebraniu. Jest więc na miejscu pytanie, czy te zwierzęta się nie gryzą i nie wyglądają groteskowo? Generalnie, ja jestem chyba dobrym przykładem na to, co dzisiaj dzieje się z naszą kulturą i z ludźmi pióra. Kiedyś na pytanie „być czy mieć” odpowiadaliśmy „być”, teraz już wiemy, że aby „być”, trzeba „mieć”. Jednocześnie my – pisarze – jesteśmy rozdarci, bo z jednej strony chcemy być czytani i popularni, z drugiej zaś zależy nam na tym, żeby robić rzeczy poważne, które będą trwałe.

Ja też muszę czasami dokonywać wyborów. To prawda, pisuję do prasy popularnej, ale na poziomie. *Twój Styl*, który ma jednak styl, zaproponował mi etat. Dzięki temu mogę

pisać do *Kultury* i mieć czas, by spokojnie poprawić ten nasz wywiad, inaczej nie byłoby mnie stać na takie luksusy. *Twój Styl* może się komuś nie podobać, świetnie to rozumiem, mogą się też komuś nie podobać „kanały” telewizji, ale kto nie macza w nich stóp? Ostatnio piszę do *Polityki*, a pamiętam, że w pierwszych latach po roku 89 nie chciałem.

S.B. – *Ja się nie przelatałem do dziś. Mam jakiś opór, by wysłać do nich tekst.*

T.J.: – *Polityka* też zawsze wydawała mi się niebezpieczna, ponieważ była na dobrym poziomie. Dawała alibi tym, którzy chcieli wierzyć w reformowalność niereformowalnego systemu. Dzisiaj jednak myślę podobnie jak oni. Obecnie w *Polityce* przeszkadza mi już tylko skrótowość formy. Ale cała nasza cywilizacja staje się cywilizacją skrótów: piszemy skrótami, a nawet – co gorsze – zaczynamy też tak myśleć. I tu pojawia się dylemat: w *Kulturze* i *Res Publice* wydrukują mi pięćdziesięciostronicowy tekst, ale stanie się on butelką wrzucaną do morza. Pytanie: czy ktokolwiek ją wyłowić?

S.B.: – *Czasem, gdy zaglądam do Twoich felietonów na lamach Twojego Stylu, mam świetną zabawę, niekiedy jednak odczuwam zaniepokojenie, bo stałeś się kimś w rodzaju eksperta od spraw erotyczno-obyczajowo-seksualnych. Niby podoba mi się ta rola libertyna naszej epoki, ale jednocześnie zawsze irytowali mnie pisarze, którzy wchodząc w kłopotliwy okres życia, zaczynali używać literatury jako narzędzia kompensacji. Dziś jest to jeszcze sposób na uwodzenie panienek, już jutro będzie to pamiętnik podbojów miłosnych.*

T.J.: – Jako człowiek inteligentny komplikujesz proste sprawy. Przyznam, że zawsze chciałem mieć w takim piśmie taką właśnie rubrykę. Uważam, że erotyka jest fascynującym tematem, a nasza obyczajowość domaga się, by o tej sferze kulturalnie mówić. Udało mi się nawiązać dialog z setkami tysięcy czytelniczek, podłączyć się nie do ich płci, ale do serca. To nie jest łatwy felieton, bo wiem, że muszę zachować osobisty, prywatny ton, a zarazem nie wolno mi przekroczyć granicy

dobrego smaku. Jeśli pójdę daleko w stronę przyzwoitości, będę nudny, jeżeli ją przekroczyć w kierunku nieprzyzwoitości, będę żałosny i śmieszny. Jest to więc trochę praca sapera. Nie wiem czemu te delikatne i nieśmiałe teksty bulwersują niektórych ludzi z naszego środowiska? Nie chcę nikogo podejrzewać o zazdrość, przecież każdy prozaik ma mocniejsze erotyczne sceny w swoim dorobku niż ja w tym felietonie.

S.B.: – *No, jest różnica pomiędzy kreacją literacką a osobistym wyznaniem publicysty, który pisze, że dawna narzeczona nazywała jego instrument rozkoszy, zwierzątkiem. [ze śmiechem] Boję się, że w tym chodzeniu po linie łatwo stracić równowagę....*

T.J.: – Można, ale nie jest to nieuniknione. Pomyśl, że ostatecznie mogę przy okazji polecać w tym piśmie do czytania ważne książki i poruszać sprawy społeczne, które mnie boją. To jednak ogromna frajda, że mogę dwóm milionom czytelniczek polecić dzienniki Bunina i Babla, napisać tekst o Szymborskiej lub Miłoszu.

S.B.: – *Tomku, akurat to nie podlega dyskusji. Mnie niepokoi front umizgów erotycznych...*

T.J.: – Jak widzisz ocalałem, a moja delikatna i subtelna narzeczona, chociaż mi często grozi placem, nie odeszła ode mnie, nie dostałem ani jednego listu z wyrazami oburzenia, nie odezwała się żadna obnażona przeze mnie i upubliczniona kobieta.

S.B.: – *A czy Ty przypadkiem nie hodujesz nam na swej piersi całej formacji jadowitych polskich feministek? Wiesz jakie rzeczy potrafią wygadywać feministki na Zachodzie, więc nie jest wykluczone, że już wkrótce i nasze wbiją nam w gardła zęby i pazury...*

T.J.: – Sam uważam się za feministkę, ale umiarkowaną. Nic dziwnego, że moim największym wrogiem są feministki radykalne. Uważam, że radykalizm jest równie niebezpieczny, jak skrajny konserwatyzm. A jedyną partią polityczną, do której

mógłbym się teraz zapisać, jest Partia Zdrowego Rozsądku.

S.B.: – *Nie wiem, czy wierzysz w statystyki? Pomiędzy 1978 a 1988 rokiem ukazało się siedem Twoich książek, pomiędzy 1989 a 1998 rokiem – jedna. Powiedziałbym, że jest to niepokojąca statystyka. Co ona znaczy?*

T.J.: – To znaczy, że rozmiękam się na drobne. Nie potrafię wyliczyć tytułów pism, dla których pisałem i piszę. Dlatego nie mogę się skupić nad większą pracą. A ponieważ jestem przeciwnikiem składania książek z tekstów rozproszonych, te wszystkie felietony i eseje nie przeradzają się w książki. Ale może – patrząc z innej strony – to był właśnie dar, że mogłem żyć z pisania, co w Polsce jest już prawie niemożliwe? Ja nie uważam – co sugerujesz – że książki są pomnikami naszej działalności. Często jedno dobrze sformułowane zdanie jest ważniejsze od książki. Dzisiaj, kiedy każdy kretyń lub morderca łatwiej znajdzie wydawcę niż pisarz, nie jest ona już żadnym znakiem sukcesu czy choćby intelektualnego wysiłku. Jeśli mnie coś męczy, to jedynie fakt, iż nie skończyłem tej książki o domu na Iwickiej, który miał stać się pryzmatem do obserwacji historii PRL-u. Z różnych powodów nie mogę jej skończyć. I tylko to mnie męczy. Powinienem nawet powiedzieć, że zaraz po rozmowie z Tobą siadę do dalszego pisania, ale pewnie znów się nie uda.

S.B.: – *Zdradzałem się już z naiwnym niepokojem, że w jednym ciebie mieszka wojownik polityczny oraz subtelny poeta liryczny. Oczywiście jest tak jak mówisz: mieszkają w nas różne osoby, które znakomicie się ze sobą godzą. Z jednej strony Twoja liryka jest nasycona duchem wanitawym, a zatem przekonaniem, że wszystko to marność, z drugiej zaś ożywiają ją wiersze miłosne, poświęcone różnym kobietom i piękny cykl dedykowany Twojemu synowi, czy w ogóle dzieciom. Ponieważ stan wojenny zamącił nam jasny obraz rzeczy, zastanawiam się, czy mariaż goryczy i witalizmu jest typowy dla Twojej poezji?*

T.J.: – Podobnie jak Ty, ostatnio piszę mało wierszy. Może to jest kiepskie tłumaczenie, ale można powiedzieć, że

używam myślenia poetyckiego gdzie indziej i ocalam poezję w innych gatunkach. Natomiast moja liryka zawsze była autobiograficzna. Te liczne wiersze z okresu stanu wojennego, pisane na fali wielkich emocji, dużo mnie kosztowały, mimo że miałem ogromną rzeszę odbiorców i znajdowałem wyraźną frajdę w robieniu z tego nieszczęścia poetyckiego tematu. Nieprzypadkowo w ostatnim wyborze prawie w ogóle ich nie zamieściłem. Dziś najbardziej cenię swoje krótkie wiersze liryczne. I masz rację, mówiąc, że są pesymistyczne lub nawet dramatyczne. Ileż tam jest pożegnań, rozstań, porażek i śmierci, mnie samego to zaskakuje.

S.B.: – *Tak, i nawet się dziwię, że w Twojej poezji przemawia człowiek kłeski, skoro przed sobą mam człowieka sukcesu.*

T.J.: – Nie mam poczucia sukcesu, nic a nic. Czasami nawet mam dosyć literatury i z rozkoszą zająłbym się czymś innym. To nie jest zdrowe żyć z pisania. Martwię się, że oddaliłem się ostatnio od poezji, bo pisanie wierszy to ścieżka: w młodości zbiega w dół, potem pnie się pod górę. Jeśli się z niej zbczy, bardzo trudno na nią wrócić, zarasta najpierw chwastami, potem drzewami.

Rozmawiał Stanisław BEREŚ  
(Oprac. Marta MODZELEWSKA-KOPEL)

## O religii bez namaszczenia

### Watykan religijny i polityczny

Piszę ten artykuł w połowie lipca, z myślą, że zgodnie z letnimi zwyczajami *Kultury*, ukaże się on zapewne w numerze wrześniowym. Wtedy właśnie, jak się dowiedziałem onegdaj, ma się odbyć w Rzymie beatyfikacja ukochanego przez wszystkich papieża Jana XXIII... i równocześnie beatyfikacja innej, raczej kontrowersyjnej historycznej postaci, papieża Piusa IX. Krótki, bo zaledwie 5-letni pontyfikat Jana XXIII (1958-1963) zapoczątkował, przez zwołanie II Soboru Watykańskiego, współczesną odnowę Kościoła, natomiast niezwykle długie panowanie Piusa IX (1846-1878) obfitowało w ciężkie wewnętrzno-kościelne napięcia – w tym uchwalenie przez I Sobór Watykański, wbrew silnej opozycji, dogmatu o nieomyślności papieskiej – które po dziś dzień poważnie obciążają życie Kościoła. Skąd to dziwne powiązanie dwóch tak skrajnie różnych kandydatów do oficjalnej świętości? Katolicki *The Tablet* w artykule redakcyjnym już założył przeciw temu wymowny protest, zwracając przy tym uwagę, że według kościelnych przepisów beatyfikacja, nie mniej niż kanonizacja, wymaga istnienia już popularnego kultu kandydata, czego o Piusie IX na pewno powiedzieć nie można. Wygląda na to, że jest to swoiste *qui pro quo*. Skoro nie udało się doprowadzić do kanonizacji Piusa XII, ze względu na jego budzącą liczne zastrzeżenia politykę wobec hitlerowskich Niemiec, wstawiono na jego miejsce innego Piusa sprzed przeszło stu lat. (Jakkolwiek nie jestem wielbicielem Piusa XII, nie mniej niż Piusa IX, określenie go mianem „papieża Hitlera”<sup>1)</sup>

1. Jest to tytuł książki znakomitego skądinąd katolickiego publicysty Johna Cornwella.

uwazam za grubą i niesprawiedliwą przesadę.)

Notuję tę bieżącą kontrowersję kanonizacyjną nie dlatego, bym ją uważał samą w sobie za godną przydługich komentarzy, ale jako przykład zarażenia życia Kościoła względami politycznymi. Zapewne, jako instytucja również ziemska, Kościół nie może być całkiem wolny od względów politycznych, nie może stać konsekwentnie ponad polityką. W rzeczy samej, cała historia Kościoła, przynajmniej od czasów konstantyńskich, była nieustannie polityką zarażona. A jednak jest to element głęboko obcy posłannictwu Kościoła, który może i powinien grać najwyżej tylko drugorzędną rolę w jego życiu i pozostawać stale pod ścisłą moralną kontrolą.

Trzeba przyznać, że nowsza historia Kościoła na ogół idzie w kierunku pewnego jego odpolitycznienia; znamienym krokiem w tym kierunku był właśnie pontyfikat Jana XXIII i II Sobór Watykański. W przeciwieństwie do tego jednak pontyfikat Jana Pawła II cechuje wyraźny nawrót do ponownej polityzacji Kościoła. Najbardziej ewidentnym tego przykładem są niezliczone podróże papieskie do możliwie wszystkich krajów świata, których efekt religijny jest co najmniej wątpliwy. Nawet w rozkochanej w nim i dumnej z niego rodzinnej Polsce. Tu ich efekt polityczny wystąpił najwyraźniej, bo przynajmniej pierwsze wizyty papieża w ojczyźnie przyczyniły się ogromnie do osłabienia i upadku komunistycznego reżymu. Natomiast zupełnie nie widać, by doprowadziły one do jakiegokolwiek pogłębienia życia religijnego. W porównaniu z okresem opresyjnego panowania komunizmu, kiedy Kościół w Polsce cieszył się mirem nieustraszonego szermierza wolności, jest dziś raczej na odwrót, choć przyczyny tego zdają się być niezależne od papieskich wizyt w kraju. Podobnie, o ile można sądzić z odległości, jest we wszystkich innych krajach, jakie Jan Paweł II dotychczas odwiedził. Tłumy, które wylegają na spotkanie papieża – nie zawsze tak liczne jak w Polsce – nadają tym wydarzeniom charakter widowiskowo-propagandowy i z punktu widzenia zarówno Watykanu jak i władz danego kraju, podbudowują ich wzajemny polityczny prestiż. O efekcie religijnym tych wizyt trudno cokolwiek konkretnego powiedzieć.

Pouczający pod tym względem jest przykład zeszłorocznej podróży Jana Pawła II do Rumunii. Gospodarzem wizyty był

tyleż rząd rumuński, któremu bardzo zależy na możliwie bliskich stosunkach z Zachodem, co bukareszteński patriarchat prawosławny. Rumunia jest przy tym jedynym krajem prawosławnym, który przyjął rzymskiego papieża z entuzjazmem. Była to więc olbrzymia szansa obopólnego wykonania sakramentalnego gestu pojednania dwóch, od wieków poróżnionych, wielkich wyznań chrześcijańskich, w postaci wspólnie odprawionej Eucharystii, której wzajemną ważność obie strony zawsze uznawały i nadal uznają. Nic takiego się nie stało, ani strona katolicka, ani prawosławna nie przystąpiły do wspólnej komunii. Skończyło się na zbliżeniu politycznym, które wzięło górę nad pojednaniem religijnym.

W okresach między podróżami papieskimi przewija się przez Watykan nieprzerwana seria wizyt świeckich mężów stanu, które z natury rzeczy mają niewiele wspólnego z religią w ogóle, a z chrześcijaństwem w szczególności. Gorbaczow i Jelcyn, przywódca Palestyńczyków i premier Izraela, wśród Polaków wyróżniony paru szczególnie gestami papieskiej przyjaźni prezydent Kwaśniewski, i Fidel Castro, i Bill Clinton, i wielu innych. Oczywiście przyjmowani są też wysocy przedstawiciele różnych religii, ale nie katolicy, którzy w pewnych sprawach są nieco innego zdania niż papież. Najślawniejszy katolicki teolog Hans Küng, któremu Karol Wojtyła odmawia teologicznych kompetencji, nigdy nie został na żadne posłuchanie zaproszony. Charyzmatyczny biskup Jacques Gaillot, przesunięty z jego żywej francuskiej diecezji do nieistniejącej diecezji *in partibus infidelium*, został przez papieża przyjęty raz i już nigdy więcej.

Znamiennym gościem Watykanu był niedawno Władimir Putin. Prezydent Rosji został przyjęty niewątpliwie w oczekiwaniu, że ta wizyta z kolei otworzy papieżowi drogę do od dawna upragnionej pielgrzymki do Rosji. Ku ogólnej konsternacji Putin nie tylko odmówił zaproszenia papieża do Moskwy, ale następnie na konferencji prasowej w Mediolanie bardzo przekonująco wyjaśnił, dlaczego tak uczynił. Nie chciał mianowicie wchodzić w drogę władzom papieża do prawosławnej, które mają poważne zastrzeżenia wobec takiej wizyty. Uważają bowiem, że Kościół katolicki wyzyskał fakt osłabienia Cerkwi prawosławnej przez dziesiątki lat rządów komunistycznych do podjęcia agresywnej polityki, zmierzają-

cej do katolicyzacji Rosji. Nawiasem mówiąc, prowadzą tę akcję przede wszystkim polscy duchowni pod wodzą arcybiskupa Kondrusiewicza. A przecież, argumentował Putin, nie do pomyslenia jest wizyta papieża w Rosji wbrew woli i bez kontaktów z Cerkwią prawosławną. Stosunki międzypaństwowe Moskwy ze Stolicą Apostolską – powiedział Putin – są znakomite, nie dodając, na czym te stosunki międzypaństwowe miałyby polegać. Czy warto było wystawiać się na pouczenie przez Putina, że stosunki międzypaństwowe nie należą do najważniejszych funkcji biskupa Rzymu?

Oczywiście formalnym uzasadnieniem politycznych ambicji Watykanu jest jego status suwerennego państwa, *Città del Vaticano*, wynegocjowany przez Piusa XI w roku 1929 z rządem Mussoliniego. Po okresie 59 lat od upadku w roku 1870 średniowiecznego jeszcze państwa kościelnego na terenie Włoch, był to dla Watykanu nie lada triumf. Do tej pory papieżu uważali się za „więźniów Watykanu”. Odtąd Stolica Apostolska, jak prawdziwe państwo, utrzymuje stosunki dyplomatyczne z prawie wszystkimi krajami świata (nuncjatury), ma swoje szczególne miejsce w Organizacji Narodów Zjednoczonych i jest, jak widzieliśmy, w stanie prowadzić swoją własną międzynarodową politykę. Jest jedynym wyznaniem religijnym, które cieszy się takimi przywilejami. Ale – jak już również widzieliśmy w ramach tego artykułu – ten *quasi*-polityczny charakter Kościoła katolickiego ma też swoje ujemne strony. Nade wszystko swoim ziemskim obliczem przesłania, zniekształca esencjonalnie nadziemski charakter i nadprzyrodzone posłannictwo Kościoła. Miejsce żywej Ewangelii często zajmują sztywne przepisy prawa kanonicznego. Papież jest jednym z nielicznych, pozostałych jeszcze w świecie, staromodnych monarchów. Wiernym, którym Sobór przyznał dostojęństwo Ludu Bożego, przypomina się często, że Kościół nie jest demokracją. Biskupi, zamiast być duchowymi przewodnikami powierzonych im wiernych, są tylko terenowymi funkcjonariuszami kościelnego niby-państwa. Wbrew modlitwie Chrystusa Pana za wszystkich jego uczniów „aby byli jedno”, przestrzega się bardzo skrupulatnie międzywyznaniowych granic, jak gdyby to były granice międzypaństwowe, których nie wolno bez specjalnego upoważnienia przekraczać. Ściśle określone granice Kościoła

Katolickiego (wbrew temu, że „katolicki” znaczy „powszechny”) pozwalają mu wystawiać wybranym obywatelom niezawodne paszporty do nieba w postaci beatyfikacji i kanonizacji. Innym, choćby najbardziej wspaniałym świętym, takich legitymacji się nie wystawia, no bo przecież żadne państwo poza swoimi granicami nie ma takich kompetencji (pisałem już trochę o tych absurdach w czerwcowym numerze *Kultury*).

Faktycznie jednak Kościół jest nie niby-państwem, lecz wspólnotą wiary, czyli wspólnotą pewnych przekonań i miłości. Jest wspólnotą absolutnie dobrowolną, bo przekonań i miłości nie można nikomu nakazać. Nie można ich też nikomu odmawiać. Nie zmienia tego fakt, że większość członków Kościoła dziedziczy swoją wiarę przez odpowiednie wychowanie od dzieciństwa; jednak każdy człowiek po dojściu do pełnoletności ma prawo i obowiązek kształtować swoje przekonania według nakazów własnego dojrzałego sumienia. Prawda, że zasada wolności sumienia przez całe wieki nie była w Kościele konsekwentnie praktykowana, była nawet systematycznie gwałcona. Ostateczną, dziś obowiązującą jej formę ustalił dopiero II Sobór Watykański w dekreście „*Dignitatis humanae*” (O godności ludzkiej). Ale i dziś jeszcze, w bez mała pół wieku od jej uchwalenia, zasada wolności religijnej nie zapadła jeszcze dość głęboko w świadomość kościelnej społeczności, nawet duchowieństwa i wysokich członków hierarchii. Ważną przyczyną tego stanu rzeczy są właśnie znowu wymogi *quasi*-państwowej i w tym sensie politycznej organizacji Kościoła. Jak normalne państwo jest wspólnotą ludności na pewnym terytorium, tak Kościół jest wspólnotą ludności o pewnych przekonaniach. Jest oczywiste, że w interesie instytucji kościelnej (ale nie samego Kościoła!) leży możliwie jak najdalej idąca jedność tych przekonań, przy jak najmniejszych odchyleniach od ustalonej odgórnie normy. Z kolei naturalną konsekwencją tak pojętego interesu instytucji jest wywieranie przez władzę kościelną nacisków w celu zachowania jedności przekonań i ukrócenie drogą sankcji niepożądanych odchyłeń (herezji). Zauważmy, że dzieje się to wbrew istotnej dla autentycznego chrześcijaństwa zasadzie wolności sumienia. Niemniej, jest to nieuniknione w ziemskim Kościele napięcie, bo Kościół nie może spełniać swej nadprzyrodzonej misji bez



pomocy tego instytucjonalnego, i w tym sensie politycznego aparatu. Z drugiej strony, ciężki instytucjonalny aparat nie powinien też hamować jego nadziemskiego posłannictwa miłości.

Zamierzam teraz omówić dwa konkretne zagadnienia, co będzie stanowiło niejako ilustrację tego, co wyżej powiedziano. W rzeczy samej, dotychczasowe, raczej teoretyczne rozważania, miały na celu umożliwienie lepszego zrozumienia tego, co moim zdaniem stanowi istotę tych dwóch problemów. Jednym jest sprawa stosunku Kościoła do państwowego ustawodawstwa dotyczącego aborcji, która od dłuższego czasu wstrząsa Kościołem niemieckim. Drugim jest rola Kościoła w zwalczaniu straszliwej epidemii AIDS (*Acquired Immune Deficiency Syndrome* – zjawisko nabytego zatracenia odporności), problem o rozmiarach globalnych i zgoła apokaliptycznym znaczeniu.

1. Prawo Republiki Federalnej Niemiec wymaga od kobiety, zamierzającej poddać się operacji przerwania ciąży, przedstawienia dwóch zaświadczeń o uprzednim zasięgnięciu przez nią odpowiedzialnej porady. Kościół niemiecki, widząc w tym sposobność odwiedzenia przyszłej matki od zamiaru poddania się aborcji, utworzył w całym kraju dużą ilość poradni i w wielu wypadkach udało mu się ten pozytywny efekt osiągnąć. Ale gdy kobieta obstawała przy swym pierwotnym zamiarze, poradnia musiała też wystawić wymagane przez prawo zaświadczenie o zasięgnięciu porady. Następnie jednak Rzym, w osobie samego Ojca Świętego, uznał, że wygląda to za bardzo na wyrażenie przez Kościół zgody na dokonanie aborcji i, stwierdzając, że jest to niedopuszczalne, nakazał zaprzestanie takich porad. Nawiasem mówiąc, był to przykład daleko idącej centralizacji władzy. Biskupi niemieccy, nie chcąc tracić kontaktu z kobietami, które znalazły się w trudnej sytuacji moralnej, przeważnie oczywiście katoliczkami, stawili zrazu prawie jednogłośnie opór żądaniu papieża. Ostatecznie jednak Rzym postawił na swoim i poradnie w każdym razie przestały wydawać jakiegokolwiek zaświadczenia. Tylko stosunkowo niezależna od biskupów organizacja

świeckich katolików pod nazwą „Donum vitae” (Dar życia) uznała, że sumienie nie pozwala im na żądanie papieża przystać, i nadal porad udziela i odpowiednie zaświadczenia wystawia – ku wielkiemu oburzeniu arcybiskupa Fuldy Johanesa Dyby i, w mniejszym stopniu, arcybiskupa Kolonii kard. Meissnera, i oczywiście Rzymu, który nadal domaga się zamknięcia poradni „Donum Vitae”. Sprawa doprowadziła do poważnego rozłamu w ogólnonarodowej organizacji świeckich katolików ZdK (Zentralkomitee deutscher Katholiken) i na odbywającym się co kilka lat tak zwanym Katholikentag. W tym roku właśnie odbył się ten katolicki „parlament”, tym razem w przeważnie protestanckim Hamburgu, w próbie dalszego ekumenicznego zbliżenia, która też wywołała dramatyczne spięcia i protesty ze strony ultra-katolików. To jeden problem.

2. Epidemia AIDS doszła w krajach Trzeciego Świata do zastraszających rozmiarów, głównie w podzwrotnikowej i południowej Afryce i w Południowej Ameryce, oraz w Indiach i Pakistanie. W niektórych krajach Afryki aż jedna trzecia całej ludności jest zarażona wirusem HIV, uważanym powszechnie za nośnika choroby AIDS. I ten straszliwy proces zdaje się nadal przybierać na sile, doprowadzając do śmierci tysięcy i milionów ludzi. Prezydent Botswany zaapelował do zamożnych krajów Zachodu o podjęcie wielkiej kampanii w celu powstrzymania katastrofy, gdyż w przeciwnym razie grozi jego krajowi wymarcie całej jego ludności. Brzmi to niewiarygodnie, ale nie ulega wątpliwości, że sytuacja tam jest tragiczna. W sąsiedniej Unii Południowej Afryki i za oceanem, w wielomilionowej Brazylii, sytuacja wygląda niewiele lepiej. Natomiast w zaawansowanych krajach Zachodu, w Europie i Ameryce Północnej, po wczesnych groźnych alarmach w latach 80-tych, epidemia zdaje się być opanowana, bo liczba osób zarażonych wirusem HIV wynosi niewiele ponad jeden lub dwa procent i ulega dalszemu zmniejszeniu. Źródłem sukcesu jest oczywiście rozbudowana akcja profilaktyczna, w tym zwłaszcza powszechna dostępność prezerwatyw, bo główną drogą przekazywania zarazki AIDS jest akt seksualny. I tu leży problem i źródło straszliwej odpowiedzialności Kościoła katolickiego. Bo encyklika „Humanae vitae” Pawła VI z 1968 roku surowo zabraniała

stosowania wszelkich sztucznych środków antykoncepcyjnych, a więc i prezerwatyw, tym samym blokując najbardziej skuteczną formę profilaktyki przeciwko AIDS. Przeszło 30 lat temu, gdy Paweł VI pisał swą encyklikę, syndrom AIDS nie stanowił jeszcze problemu i papież nie mógł wiedzieć, że w niedalekiej przyszłości jego encyklika utrudni walkę ze śmiertelną chorobą. Intencją encykliki była obrona nienarodzonego życia. Dziś sytuacja jest diametralnie różna: encyklika utrudnia walkę z przedwczesną śmiercią już narodzonych ludzi. Świadomość tego straszliwego problemu już od lat w Kościele narasta. Wspomniany wyżej biskup Jacques Gaillot został ze swej diecezji usunięty między innymi za to, że zalecał dopuszczalność środków antykoncepcyjnych w pewnych trudnych wypadkach. Wielki brazylijski arcybiskup kardynał Evaristo Arns, w ostatnich latach swej posługi biskupiej też zdegradowany, choć nie tak radykalnie jak biskup Gaillot, z jednej strony deklaruje swą lojalność wobec papieża Jana Pawła, lecz równocześnie domaga się, by nastolatki w podmiejskich slumsach raczej miały dostęp do prezerwatyw niż by miały przedwcześnie rodzić albo stawać się rozsądnikami AIDS<sup>2</sup>.

Niektórzy tracą cierpliwość i idą jeszcze dalej. Najwybitniejszy chyba brytyjski publicysta katolicki Clifford Longley zamieścił w londyńskim *The Tablet* artykuł o problemie AIDS, pod prowokacyjnym tytułem „Wstydzę się za mój Kościół”<sup>3</sup>.

Jaka jest przyczyna odmowy Watykanu poddania rewizji tej dziś już nieludzkiej strony encykliki „*Humanae vitae*”? Przecież nie nieznajomość sytuacji w walce z epidemią AIDS i także nie brak współczucia dla ludzkich cierpień. Myślę, że jest to ta sama przyczyna, która nie pozwala Kościołowi wchodzić w kontakty z grzesznymi kobietami, które zamierzają się poddać zakazanemu przezeń zabiegowi. Bo mógłby naiwny świat pomyśleć, że Kościół w pewnych wypadkach toleruje aborcję. A nauka Kościoła raz przyjęta i konsekwentnie

2. Zob. wstrząsający wywiad Artura Domostławskiego z kardynałem Arnesem w dodatku świątecznym *Gazety Wyborczej* z 6-7 maja 2000.

3. „Ashamed of my Church”, *The Tablet*, 1.7.2000.

głoszona jest przecież nienaruszalna. Ewentualne wyjątki znaczyłyby poddanie się moralnemu relatywizmowi. Jeśli chodzi o zakaz wszelkiej antykoncepcji w encyklice „*Humanae vitae*”, to co by świat pomyślał, gdyby encyklika papieska już po trzydziestu latach mogła być choćby w części unieważniona.

Motywy watykańskiej nieustępliwości jest zatem troska o utrzymanie w mocy autorytetu Kościoła, autorytet zaś jest instrumentem władzy nad duszami. Grają tu zatem względy natury nie tyle duchowej – w Ewangelii trudno znaleźć przekonujące uzasadnienie jednego i drugiego zakazu, nakaz miłosierdzia uzasadniałby raczej coś wręcz przeciwnego – co raczej natury politycznej, interesu Kościoła jako ziemskiej instytucji.

Istnienie w Kościele tej ziemskiej, politycznej motywacji nie wyklucza istnienia w nim – jak w całym tym artykule starałem się pamiętać – prawdziwie nadprzyrodzonych, Bożych natchnień. I to hierarchiczny Kościół w swoim czasie – Jan XXIII i Sobór – przypomniał nam, że Bożych natchnień nie brak również poza hierarchicznym Kościołem. Jan XXIII kazał nasłuchiwać znaków czasu i Sobór wskazał ich wiele w konstytucji „*Gaudium et Spes*”. Myślę, że teraz warto też znowu posłuchać, co świecki świat ma Kościołowi do powiedzenia, także w tych dwóch trudnych sprawach, aborcji i AIDS. Ostatecznie ten świecki świat od 2000 lat podlega działaniu Ewangelii i Bóg w nim też jest obecny.

Antoni POSPIESZALSKI

## Kraj

### Kartki ze skażonej strefy

„Spadają jak gruchy z drzewa” – pomyślałam, gdy jednej nocy zmarli księża: Józef Tischner i Andrzej Zuberbier, zaraz potem – Gustaw Herling-Grudziński i Jan Karski. Porównanie niestosowne, ale nic nie poradzę, że pamięć – gdy tak schodzili z tego świata jeden po drugim – podsunęła mi scenę z pielgrzymki na Jasną Górę w latach osiemdziesiątych, kiedyśmy gromadnie zadeptywali Polskę, tocząc namiętne dyskusje polityczne na tematy zakazane.

Biwak w sadzie; noc bezgwiezdna, ciemności, nie widzimy siebie, słyszymy tylko swoje głosy i, w odróżnieniu od naszych nerwowych słów, miarowy, regularny, spokojny łoskot spadających na ziemię dojrzałych, i jak mi się wydawało, zadziwiająco ciężkich owoców...

Ksiądz profesor Andrzej Zuberbier był ekumenistą, na grubo przed Soborem Watykańskim Drugim, na którym podjęto temat. Niezwykle mądry, ale cichy; z gatunku osób nie rzucających się w oczy. Ksiądz profesor Józef Tischner, gwiazda świecąca tak mocnym blaskiem, że nie sposób było go nie dojrzeć i nie zapamiętać. Autor nie tylko znakomitych kazań, ale i ripost, w głębi duszy był, moim zdaniem, człowiekiem skrytym, nieśmiałym, zaśmianającym własne rozterki dowcipem, zawsze celnym.

Jego poczucie humoru z pozoru proste, odwołujące się do tradycji góralskiej (władał góralszczyzną), w rzeczywistości było wysoce wyrafinowane, w typie Chestertona. Filozof Krzysztof Michalski, przyjaciel i uczeń Józefa Tischnera, wspomina scenkę dziejącą się w założonym przez nich obu w Wiedniu Instytucie Nauk o Człowieku: ksiądz Tischner

udając się na poobiednią drzemkę, zapowiada sekretarce, wielce „serioznej”, pobożnej osobie: „proszę mnie pod żadnym pozorem nie budzić! No, chyba żeby nagle zniesiono cełlibat. Wtedy natychmiast!”

Autor proroczego określenia „homo sovieticus”. Dojrzał „tę roślinkę” i przestrzegął przed nią na długo przedtem, nim się w nas na dobre zakorzeniła w wolnych czasach. „Polacykatolicy” nie mogli mu tego „sovieticusa” wybaczyć; zbierał za niego ciężki nawet zza grobu: podczas gdy większość prasy poświęciła mu po śmierci prawie całe numery, narodowy katolicki organ *Nasz Dziennik* zamieścił zaledwie wzmiankę na ósmej stronie.

Wolałam Tischnera słuchać niż czytać. Pamiętam jego homilie rozpoczynające każdy dzień obrad Pierwszego Zjazdu Solidarności. Mówił o znaczeniu pognębionej osoby ludzkiej i szacunku dla pracy jako podstawy ludzkiej aktywności. Nawoływał do użycia rozumu w działaniu, łał oliwę na wzburzone umysły. Były to słowa dotychczas nie podnoszone; delegaci słuchali w skupieniu.

Potem pamiętam głoszone przez niego w stanie wojennym nauki rekolekcyjne w kościele Św. Krzyża w Warszawie. Obszerna świątynia nie była w stanie pomieścić wszystkich chętnych, owijali się wokół pomnika Kopernika, podpierał Pałac Staszica...

Pogrzeb w rodzinnej Łopusznej miał taki, jak nikt z znakomitych osobistości, jakie pamiętam. Prócz „oficjeli” byli chyba wszyscy górale z tej i z tamtej strony „Tater”, i wszystkie kapele. Byli turyści przebywający w okolicy na wakacjach. Kto żyw, był. „Pogrzeb w mediach” również przerastał porównywalne w podobnych okolicznościach rozmiary. I nie były to audycje ani artykuły nudne! Wręcz przeciwnie, ekscytowały, podobnie jak postać, o której mówiły. Programowo antyklerykalne *Nie* Jerzego Urbana, którego ekstrema prawicowa nie pozwala dotykać, żeby nie pobrudzić sobie rąk, napisało o Tischnerze: „umarł mądry ksiądz i przyzwoity antykomuch”.

W tym samym czasie, gdy składano do grobu Józefa Tischnera, Marian Krzaklewski odbywał w rodzinnej Kolbuszowej swoje pierwsze spotkanie jako kandydat na prezydenta. Fatalnie się dla niego zbiegło; miał pecha, nieboraczek.

Garstka w Kolbuszowej, wobec tłumów w Łopusznej! Ludzie pokazali, kogo się w tym kraju „uważa”.

Remontują warszawski Plac Konstytucji i osadzoną wokół niego Marszałkowską Dzielnicę Mieszkańową, zwaną MDM-em. Plac Konstytucji stanowi wykwit budownictwa socrealistycznego. Przyszłe pokolenia mogłyby się na nim uczyć, jak styl ten wyglądał w naturze. Krótko: był zaprzeczeniem architektonicznych reguł estetycznych i funkcjonalnych. Prof. Józef Sigalin, ówczesny główny architekt Warszawy i realizator tych budowli, tłumaczył się na łożu śmierci: „Musiałem.” Nie potępiam go. „Kto z was jest bez winy...”

Inna rzecz, iż socrealizm przyczynił się do trwałego zszpecenia stolicy, która po zburzeniu miała unikalną szansę stania się pięknym miastem, choćby na podstawie przedwojennych planów. A istniały, skrojone wyobraźnią i ręką najlepszych.

Przepadło. Jest, jak jest. Ale stała się rzecz dziwna. Plac Konstytucji obrósł patyną, która zawsze ma w sobie coś ze szlachetności. Patrzy się na tę architekturę pod kątem czasu i wspomnień z epoki.

Gdy nastał wolny rynek, na Placu rozpleł się budki sprzedawców, jak zresztą wszędzie. „Konstytucję” upodobała sobie dalekowschodnia kuchnia. Dania na miejscu i na wynos, robione początkowo przez samych Chińczyków, Wietnamczyków czy Koreańczyków, później, w miarę powodzenia – przez zatrudniane przez nich Polki. Budka, parujące okienko, na zewnątrz stoliki z parasolem, krzeselka. Stało tego bez liku. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni żywili się tu masowo studenci korzystający z pobliskiej biblioteki publicznej na Koszykowej oraz z Wydziału Architektury. Ludzie po pracy czekający na przystankach kupowali dania do domu. Wygodnie, szybko, i jak kto lubi chińszczyznę, nawet smacznie. A przede wszystkim – tanio.

Masowe żywienie na wolnym powietrzu zajmowało wydłużone pierzeje Placu po obu stronach. W środku usadził się ogromny ogrodzony parking. Pewnego razu wjechały tu dźwigi i psychacze, zrobiono wielką dziurę z równie

wielkim napisem METROBUDOWA. Miała tu stanąć kolejna stacja. Radość krótka, bo wnet zasypano wykop, ze stacji zrezygnowano. Plac wrócił do pierwotnego stanu. (Oj, nie ma szczęścia metro warszawskie, nie ma! Chyba po wiek wieki stanie się symbolem naszej nieudolności.)

Remont Placu trwa. Pucują do błysku słynne kandelabry, czyli monumentalne postumenty, które nigdy nie spełniały roli oświetleniowej, i zmieniają nawierzchnię, mocno sfatygowaną. Gdy skończą, na środek ma wrócić płatny parking, czy wrócą Chińczycy ze swoim żarłem – nie wiem, za to wiem, że władze nie usuną kolosalnego billboardu, chyba największego w stolicy. Wisi wysoko, zajmuje prawie całą szerokość Placu, stanowi najbardziej rzucający się w oczy jego punkt. Na obrazie gigantyczna twarz Claudii Schiffer reklamującej kosmetyki l'Oreal'a i napis: „Jestem tego warta”. Na rewersie – równie piękna gwiazda reklamująca coś podobnego i ten sam napis: „Jestem tego warta”. (Nasi projektanci reklamowi nie grzeszą nadmiarem pomysłów; „jestem tego warta” powtarzają jak modlitwę przy wszystkim, co upiększa ciało).

Nie znoszę reklam, lecz ich nie pokonam. Nie mogę. Żyję w kapitalizmie. Ale – „znaj proporcium, moćium panie”.

W przedwojennych planach Marszałkowska miała łączyć wzrokowo Ogród Saski z konturem kościoła Zbawiciela i jego dwiema smukłymi wieżami. Długa perspektywa wzdłuż głównej arterii.

A my mamy Claudię Schiffer i wystający gnat socrealistycznej kamienicy. Powiedzenie poety „kwestia smaku” weszło nam w obieg krwi. Tutaj smaku zabrakło: gigantyczna mydełkowa reklama w miejscu, które nazywa się Plac Konstytucji.

Zakazałam sobie pisać o lecznictwie – przegrałam. Jak palacz, który zakazał sobie palenia.

Przychodzi baba do doktora – czyli ja. Mój lekarz pierwszego kontaktu przyjmuje w poradni, która ma w swojej nazwie przymiotnik „geriatryczna”.

Nim weszłam, zobaczyłam na ulicy kolejkę młodzieży. Wśród niej utkani jak grzybki staruszkowie, stali pacjenci.

Kolejka stała w celu pobrania krwi do obowiązujących badań. Wszyscy na czczo. Po załatwieniu spraw laboratoryjnych cała ta wesoła banda wraz z utkanymi „grzybkami” przeniosła się pod gabinety lekarskie. Miejsc siedzących zabrakło, więc stali. Niektóre „grzybki” pomdlały; młodzież, jak to młodzież, rozbawiona, więc nastrój mieszany.

Otwierają się drzwi gabinetu: „Następny proszę, ale taki, któremu nie jest słabo!” Podniósł się chyży młodzian, a my, czekający, starzy i młodzi, zaśmieliśmy się gromko i solidarnie. Tylko czy dla wszystkich był to śmiech taki sam?

Skąd ów tłum młodzieży? Okazuje się, że moja placówka lecznicza postanowiła zarobić dodatkowo, przyjmując na badania kontrolne studentów SGGW. Pieniądz, rozumiem, rzecz ważna, ale czy kosztem własnych pacjentów, których huk, i za którym też idzie pieniądz?

Lekarz ma na pacjenta – góra – 15 minut. Zważywszy, że wypisanie recept zabiera mu 8 minut (dużo, dużo pisaniny), na osłuchiwanie, ciśnienie, gardło, brzuch itp. zostaje mu 7 minut. Na porównanie wyników, na zastanowienie się – już minut brakuje. Lekarz pracuje pod ustawiczną presją: zarządzeń, kolejki za drzwiami i chorego, którego ma przed sobą. Widziałam jego napięcie, widziałam, jak ociera pot z czoła. Kiedyś wyznał mi: „Gdy siedzi ciężko chory, powinienem go solidnie zbadać, nim wybiorę mu właściwego specjalistę; powinienem też spokojnie pomyśleć nie oglądając się na czas; jeżeli jednak skieruję go na wiele badań, jeżeli przekroczę piętnaście minut, a przekroczę, zostaną ochrzaniony przez kierownika; jeżeli sytuacja się powtórzy – dostanę nagangę do akt...”

W szpitalu ortopedycznym imienia Adama Grucy w Otwocku wykonuje się zabiegi, jakich nie wykonuje się nigdzie indziej w Polsce. Pacjenci z całego kraju, kalecy lub kandydaci na kaleki, chcą się tu leczyć. Nic z tego, ponieważ udzielne księstwa wojewódzkich Kas Chorych nie mają zamiaru płacić Otwockowi, chociaż u siebie podobnych usług nie świadczą. Pamiętamy, że za pacjentem idzie pieniądz, zatem każda Kasa – Lubelska, Łódzka, Zachodniopomorska, czy jakakolwiek inna, chce mieć pacjenta na własność. „Zdrowie” jest słowem często powtarzanym, ale nierespektowanym. Teoretycznie pacjent może sobie wybrać szpital, w praktyce

jest przez swoją Kasę ubezwłasnowolniony.

W tej sytuacji drobny fakt statystyczny, że w wielu szpitalach żywieniowa stawka dzienna wynosi 4 zł, a w więzieniach – 6, to już małe piwo. Może nawet lepiej? Chory nie powinien się przejadać.

Mamy w Polsce za dużo szpitali i za dużo lekarzy. Trzeba coś z tym zrobić, zgoda. Dlaczego więc, na Boga Ojca, nie dokonać redukcji drogą najprostszą i najślusniejszą selekcji?! Rozbudowywać tylko te szpitale, do których pchają się pacjenci, a zamykać te, które ziejają pustkami?! Kłamałabym, że nie wiem, o co chodzi. Każdy wie, że jak się nie wie, o co chodzi, to chodzi o pieniądze.

I tu leży odpowiedź, dlaczego nie otwiera się granic pacjentowi w obrębie kraju. Groziłoby to zagładą nieudacznym Kasom regionalnym. Przy marnych świadczeniach medycznych rozbuchana administracja urzędasów Kas mogłaby wówczas znaleźć się na bruku. I tak właśnie powinno się stać! Powinien zadziałać naturalny regulator, jak się to dzieje w każdym przyzwoicie demokratycznym kraju.

Lekarze i pielęgniarki znaleźliby sobie pracę, zwłaszcza, że niskopłatni. Jak nie u nas, to w Norwegii, która wyciąga po nich ręce. Straciliby nieudolni administratorzy, pożerający lwią część funduszu płac na zdrowie. Dla przykładu: początkujący lekarz dostaje około 500 zł miesięcznej pensji. Początkujący urzędnik Kasy Chorych – 5000. Nie bujam.

9 milionów zł idzie rocznie na gáže rad nadzorczych Kas Chorych. Płaci się ok. czterystu ludziom. A nie wystarczyłoby, żeby w każdej radzie było po cztery osoby? (choć moim zdaniem, i tak za dużo.)

Z reform wprowadzonych podczas rządów AWS-u reforma zdrowia jest w praktyce najbardziej pokraczna i równocześnie najbardziej znamienita dla kierunku mentalnego ludzi u władzy: kroczą coraz zwartszym szeregiem w stronę prywaty. Za nasze.

Jasne, że ten ponury obraz rozświetlają postaci medyków wszystkich szczebli, którzy nie zapomnieli, kim są i komu służą. Wielka wygrana tych, którzy takim przypadli. Coraz jednak rzadsza, bo obawiam się, że Lekarze przez duże L to wymierająca kasta. Któż dziś spotkał na swojej drodze lekarza humanistę, pochylającego się nad chorym nie tylko jak nad

przypadkiem, ale jak nad człowiekiem? Niewielu. Istnieją, oczywiście, istnieją, ale są skutecznie zagłuszani przez bezduszną resztę.

Słówek o szpitalach rządowych. Za komuny wytykano je palcami jak sklepy za złotymi firankami. Były symbolem przywileju w ustroju totalitarnym. Toteż sądziłam, że likwidacja ich będzie jednym z pierwszych posunięć rządu Tadeusza Mazowieckiego. Ku memu zgorszeniu nic się nie zmieniło, szpitale rządowe istnieją nadal. Zawsze były marne pod względem medycznym (choć komfortowe). Dobrzy specjaliści nie chcieli tam pracować: strach było leczyć dygnitarzy. I tak zostało. Szanujący się lekarz do rządowego nie pójdzie. Niejakie pojęcie daje o tym niedawny przykład z prezydentem Słowacji, którego pospiesznie ewakuowano ze szpitala rządowego, gdzie niemal nie przyprawiono go o śmierć.

A u nas szpital rządowy zmienił tylko lokalizację i wyposażenie – na lepsze.

Mieszkający w Genewie Jan Venulet jest człowiekiem aktywnie i inteligentnie działającym na rzecz kontaktów tamtejszej Polonii z krajem; przemiły pan, przemiła rodzina, u której gościłam. Przed laty Venulet, z zawodu farmakolog, pracujący w Szwajcarii z ramienia Polski w organizacji WHO, wybrał wolność. Gdy zmienił się u nas ustrój, pan Venulet swobodnie odwiedza kraj wspaniałym samochodem, za którym ludzie wypatrują oczy.

Pan Jan, z którym się bardzo lubimy, ubolewa, że w „Kartkach” obraz Polski przyczerniam. Żeby jego opinię uwiarygodnić, proponuję półroczną zamianę. On przejmie moje mieszkanie i emeryturę w Warszawie, a ja jego apanaże w Genewie. Ale panie Janie, tylko bez żadnych zaskórniaków z domu! Proszę się nie bać, jedynie pół roku! Ręczę, że pół roku wystarczy, żeby przyłączył się pan do moich namolnych utyskiwań.

Póki co, upieram się: Polska jest krajem pogłębiającego się skażenia. Nie ekologicznego, z tym byłoby się łatwiej uporać, ale mentalności ludzkiej.

Drobny przykład. Wpadła do nas na dzień rodzina z Londynu. Siostrzenica z mężem Szkoto-Anglikiem i dwójką dzieci.

On po raz pierwszy w Polsce. Świetny facet i zaprzeczenie przysłowiowego szkockiego skapstwa. Po pospiesznym zwiedzeniu miasta David zaprosił nas na obiad. Chciałby w jakimś najstarszym miejscu. Poszliśmy na Rynek Starówki, który pokratkowały ogródkowe restauracje. Uprzedziliśmy, że są bardzo drogie. Ale David uparł się, że tutaj. Zajęliśmy stolik; obsługiwał młody kelner o nienagannej angielszczyźnie; kombinacja borowików ze smardzami w śmietanie na przystawkę – przepyszna... Jedząc i pijąc zbliżyliśmy się do rachunku. Kelner wręczył go w eleganckiej obwolucie fundatorowi. „Uważaj, bo oni oszukują” – krzyknęłam po polsku i angielsku, za co dostałam od męża sójkę w bok, od której do dziś mam siniak. Był oburzony, że obrażam człowieka pracy. Kelner ani drgnął. Wyrzekł tylko bez cienia zażenowania: „omyliłem się; policzyłem za dwie golonki a była jedna”. Ile jeszcze naoszukiwał, nie dochodziliśmy. Wstałiśmy, mąż uklonił się „człowiekowi pracy”, i poszliśmy. Co pomyślał David – nie wiem. Może był tylko lekko zdziwiony. W normalnym kraju konsument zawezwałby w takiej sytuacji kierownika, a ten powiedziałby jedno zdanie do kelnera: „jesteś zwolniony”.

Władze kościelne zaapelowały o usunięcie z polskich dróg tak zwanych tirówek, czyli szosowych prostytutek, obsługujących głównie kierowców wielkich przelotowych ciężarówek, czyli TIR-ów. Powodem apelu miało być publiczne zgorszenie. Ksiądz występujący w telewizji opowiadał o zdziwieniu dzieci jadących z rodzicami samochodem. „Dlaczego ta pani, która chce, żeby ją podwieźć, podnosi do góry nie rękę, ale nogę?” – pytały.

Jeżdżę autem po kraju, oglądam tirówki, ale żadnej wulgarności nie zauważyłam. Przeciwnie, ubrane jak normalne dzisiejsze dziewczyny, prezentują zalotny uśmiech bez żadnego wyzywającego grymasu. U jednej dostrzegłam w przelocie kilka tanecznych *pas* tak zwicznych i pięknych, iż pomyślałam: „zawodowa baletnica”. Prawdopodobnie nią była.

Tirówki są przeważnie Bułgarkami, Rumunkami, Ukrainkami, nierzadko z wyższym wykształceniem, przeważnie z

dziećmi na wyłącznym utrzymaniu. W domu bez szans na jakąkolwiek pracę. Polskie szosy traktują jak wyjazd na chwilowe saksy. Wyobrazenie szybkich zarobków rozmija się jednak z rzeczywistością. Opiekunowie, ich rodacy, biorą wysoki haracz i wymuszają posłuszeństwo. Nie są jednak całkowicie bezbronni. W Polsce powstały organizacje ludzi dobrej woli złożone z fachowców, psychologów, socjologów, prawników, które mogą im pomóc wyrwać się ze szponów profesji i zdzierców. Jeżeli tylko te dziewczyny zechcą! Najszczytniejszy apel nie zlikwiduje najstarszego zawodu świata.

Co piątek przychodzi do mnie do sprzątania pani Gienia. Zaczynamy dzień od gadu-gadu przy kawie w kuchni. Skaczemy z tematu na temat, ale zawsze niezmiennie powraca jeden – Treblinka. Rodzina pani Gieni, szlachta szaraczkowa, co podkreśla, wywodzi się z tamtych podlaskich stron. Dzieciństwo upłynęło jej w cieniu obozu zagłady. Była mała, ale w głowie ma obraz dorosłych wpatrzonych w tory kolejowe, i potem, gdy pociąg jechał, ich zamarcie w przerażeniu, i milczenie. Dzieci odganiano. Pamięta scenę: komórka, matka bierze łopatę i siekiere i zaczyna przy nich majstrować: zaostrza stylisko, skraca trzonek, zmienia barwę... „Po co?” – pyta Gienia. „A pódziesz!” Matka wypchnęła ją, a narzędzia znikły z domu. Pamięta też, jak po kryjomu wyciągano z komory naczynia, jeszcze po pradiadkach, dawno nie używane. Pamięta, jak nieraz budził ją nocą turkot wózka, którym przywożono z lasu drzewo. Matka wracała z nim już za dnia, pełnym chrustu. Raz sąsiad zapytał: „na co sąsiadka tyle drzewa zwozi?” „A bo mi chleb opadł, muszę drugi piec” – odpowiedziała.

Po wojnie wszystko stało się jasne. Matka pomagała Żydom ukrytym w leśnych ziemiankach. Dawała im zniekształcone łopaty, mleko i żywność w nieużywanych długich naczyniach, żeby w razie wpadki, sąsiedzi nie rozpoznali, do kogo sprzęt należy. Nie bali się Żydów, bali się swoich!

Wszystkie relacje potwierdzają opinię, że chłopci lękali się sąsiedzkich donosów. Ludzie żyjący od pokoleń obok siebie, zeniący się między sobą, skuzynowani, chodzący do tej samej

szkoły, zdolni byli donieść Niemcom, że ten czy ów przechowuje żydowskie dziecko, które matka dla ratunku wyrzuciła z transportu w krzaki.

Donosiciele nic za to nie mieli, żadnych nagród, najwyżej widok strzału w tył głowy przechowywanego i przechowywanego.

Wiadomo, że polski chłop bywa mściwy. Gotów ruszyć z kłonicą za naruszenie bruzdy. Jednak co innego pyskówka czy bitka, a co innego bezinteresowna podłość.

Jest w nas dużo mroczności. Jakaś tajemnicza ciemność. Nie tylko w chłopach, nie tylko w Polakach i nie tylko wtedy.

Przed paru laty zamordowano studenta, Tomka Jaworskiego. Grillował z kolegami kiełbaski w Młocińskim Lasku. Podjechało auto, wyskoczyła z niego banda dresiarzy (tak mówi się o młodych bandziorach), poturbowali studentów, pierwszego z brzegu zawlekli do samochodu, odjechali, poddali go torturom i po dwóch dniach zabili. Nie znali ofiar. Nie znali imienia i nazwiska tego, którego zamęczyli. Wiedzieli tylko, że są inteligentami, czyli obcymi.

Gdy w czasie procesu sędzia zapytał: „Dlaczego?”, jeden z oprawców odpowiedział, że dlatego, bo nienawidzi studentów. Prowodyrka zbrodni, Monika Szymańska, najinteligentniejsza z bandy, dziewczyna o najnormalniejszym w świecie wyglądzie, według zeznań współoskarżonych, gdy wahali się, czy ofiarę dobić, rozkazała: „wyrwać chwasta!”, i to zadecydowało.

Poszukajmy dalej.

Rwanda. Zakorzeniona i tłumiona latami nienawiść, wybuchła dziką agresją i wzajemnym strachem, paraliżującym myślenie. Ludzie z plemion Hutu i Tutsi mordowali się w mieszanych rodzinach: mąż żonę, ojciec dzieci...

Wspomniana wyżej pani Gienia spod Treblinka opowiada, że jak głucho w czasie wojny milczano, tak głośno po wojnie gadano. Wieś nie mówiła o niczym innym, jak o tym

przeklętym czasie. Temat wracał przy każdym spotkaniu, przy wódce, przy rodzinnym stole. „Międlili o tym do znużenia; ojciec do samej śmierci”, mówi.

Opowiadał mi ojciec Jacek Salij, dominikanin, że jego dzieciństwo na Ziemiach Zachodnich również upłynęło pod znakiem opowieści rodziców i sąsiadów o tym, co się działo na Wołyniu w latach 1942-43. O grozie mordów; również w rodzinie, wśród mieszanych małżeństw polsko-ukraińskich. Czas nie zatarł w jego rodzicach i innych repatriantach tamtego strasznego okresu. Nie mogli się wydostać z zamkniętego kręgu wspomnień i pytania: dlaczego?

Oczywiście, wrogowie wykorzystywali zadawnione przyczyny polityczne, ale czy mogli doprowadzić ludzi aż do takiego amoku?

Trudno mi nie pomyśleć w tej chwili o szatanie.

Na Święto Zmarłych pani Gienia jeździ w swoje strony na groby. „Rodziców?” – pytam. „Nie tylko – mówi. – My zawsze co roku całą wsią, z dziećkami, idziemy pod Pomnik do lasu; zapalamy świeczki. Chyba Żydzi się nie pogniewają” – patrzy na mnie pytająco.

Trochę inne oblicze sprawy niż to, które rozpowszechnił na świecie Claude Lanzmann.

Jedna z niewielu rzeczy, które się za komuny udały, to nazwy Wars i Sawa dla wielkiego domu towarowego na Marszałkowskiej. Akcesoria męskie kupowało się w części o nazwie Wars, a damskie – w Sawie. Nazwy przyłgły do ludzi. Domy sprywatyzowano, nowy właściciel pozbył się Warsa i Sawy, i idąc za modą, nazwał cały obiekt Galerią Centrum. (Co drugi sklep w Warszawie jest „Galerią”).

Zmiana nazwy pomieszała szyki: tam, gdzie kilka pokoleń kupowało damską odzież, czyli w Sawie, kupuje się męskie garnitury; a w Warsie nabywa się majtki i staniki. Ogólny zamęt.

Wydostawszy się zmęczona z labiryntu Galerii Centrum, idę sobie Marszałkowską w słoneczne popołudnie (ach, ta Warszawa w lecie, bez korków, wyludniona, przestronna, życie-umierać!); więc idę sobie beztrudnie i nagle natykam się

na wzburzony tłum. Na chodniku „van” z napisem Straż Miejska, obok trzech strażników jak z igły, w pięknie zaprojektowanych letnich mundurach, pochyła się groźnie nad dwoma pobladłymi chłopaczkami. Jeden ma łubiankę borowików, drugi – kurek.

Na Marszałkowskiej handel uliczny zabroniony – zgoda. Ale strażnicy czepiają się atestu. Gdzie atest, gdzie atest... Najnowsze wytyczne ustawiają następującą kolejność: zbieracz chcący sprzedać grzyby musi się udać do leśnictwa, gdzie otrzyma zaświadczenie, iż las nie był przyskany, następnie, w miasteczku, gdzie urzęduje SANEPiD specjalista ma sprawdzić każdy grzyb, czy jadalny. Przy takiej procedurze najprawdziwszy z prawdziwków będzie już trujący, bo nieświeży.

Zatrucia grzybami zdarzają się rokrocznie. Zawsze w przypadku pomylenia kani z muchomorem sromotnikowym. Oba grzyby są do siebie podobne. Kania smakuje jak delikatny kotlet cielęcy, sromotnik – zabija.

Wokół dwu nieszczęsnych łubianek, których zawartość w niczym nie przypominała ani kani, ani muchomorów, rozgorzała dyskusja uliczna. Ludzie solidarnie urągali Straży, że zajmuje się nie tym, co trzeba. Pani mieszkająca w pobliskim wieżowcu skarżyła się na codzienne nocne wrzaski po zamknięciu dyskotek. „Jesteście przecież od porządku” – mówiła. „Jesteśmy od przepisów” – odpowiadali, wywołując jeszcze większe wzburzenie.

Straż Miejska ogranicza się do wkładania za szybę mandatów bądź usuwania źle zaparkowanych aut. W obu przypadkach nic na tym nie „zarabia”, ponieważ nie konfrontuje się z winowajcą. Woli więc gonić ulicznych sprzedawców, bo – odkryjemy, że król jest nagi – bierze od nich łapówki.

Chłopcy z kurkami próbowali słabiutkiej obrony: „Dlatego nas pędzicie, bo jesteśmy ze wsi...”. „Ci panowie też są ze wsi – powiedziała wskazując strażników. – Jeżeli nie oni, to ich rodzice. Rodowici warszawiacy wyginęli w Powstaniu.” „A pani jakoś żyje” – odparował jeden z obrońców porządku. „Jakoś się uchowałam” – skruszona, złożyłam broń.

Tłum zrzędiał; zza węgła patrzyłam, jak się sprawa potoczy. Główny strażnik coraz lżej potrząsał notesem, na którym miał wypisać mandat bądź skierowanie na kolegium; wreszcie schował go do kieszeni. Rzecz załatwiono „polubownie”.



Gdyby zrobić referendum, ręczę, że większość opowiedziałaby się za likwidacją Straży Miejskiej w tej postaci i funkcji, jaką pełni. Nie pomaga policji w stwarzaniu poczucia bezpieczeństwa, natomiast stanowi pierwszy stopień do piekła korupcji.

W Pawłowicach, w niegdysiejszym pałacu Mielżyńskich pod Poznaniem, odbył się kolejny zjazd rodzinny ze strony mojej matki. Mamy takiego młodego entuzjastę w rodzie, któremu się chce podejmować co kilka lat ogromny trud organizowania tych spędów. Nisko się mu kłaniam, choćby dlatego, iż tym sposobem mam bezpośredni kontakt z dość bliską rodziną, na co w pośpiechu życia nie staje czasu.

Mieliśmy plakietki w klapach, bo była nas ponad setka. Trudno, żeby się wszyscy znali. Rozpleniona poznańska szlachta Waliszewskich, choć ponoć – jak wykazuje wyrysowane drzewo genealogiczne – wywodzi się z drużyny Chrobrego, dziś mocno zbiedniała i rozproszona. Mam trochę żalu, iż wśród wymienionych „znakomitości” rodzinnych, nie zdobyto się na wyjście poza opłotki i nie wspomniano jedyne go spośród nas, który był naprawdę znakomity: przedwcześnie zmarły malarz, Zygmunt Waliszewski.

Przyjechaliśmy z mężem o dzień wcześniej, chcąc rozejrzeć się po okolicy. Najbliższe miasto – Leszno. Nie spodziewałam się takiego rozmachu. Inna rzecz, że Leszczyńskie ma najżyźniejsze ziemie w Polsce, jest z czego czerpać. Nowe kondominia mieszkaniowe wychodzące wprost na pola grubej jak kukurydza pszenicy – świetnie zaprojektowane; chronione od hałasu szos osłonami lepszymi i estetyczniejszymi niż w Ameryce. W sklepach pełen asortyment towarów najwyższych gatunków. Pomyślałam: „gdzie biedniutki sklepikom zabytkowego Zamościa do tych wspaniałości!” Sklepy i „bruki” – narzucające się porównanie, czym jest Poznańskie a czym „ściana wschodnia”. Absurd, ale nie dziwię się rozlegającym się raz po raz głosom Poznaniaków domagających się autonomii.

W przydrożnym zajeździe zjedliśmy tradycyjną poznańską golonkę; tania jak barszcz i niebo w gębie. Żadnego związku z

warszawską, twardą jak podeszew, drogą i oszukaną w rachunku.

Na koniec coś na przekór czarnowidztwu. W tegorocznych egzaminach na wyższe uczelnie rekord powodzenia było (obok kasowych: informatyki, prawa, handlu, administracji) – kulturoznawstwo. Specjalność wszechstronnie humanistyczna, „kasy” nie gwarantuje. Natomiast gwarantuje, że absolwent tego kierunku napisze czy powie, będąc dziennikarzem, że wiersz „Dziad i baba” jest autorstwa Józefa Ignacego Kraśzewskiego, a nie Mickiewicza, co zdarza się obecnym jego kolegom po fachu.

Czyżby wreszcie nadchodziło pokolenie, na które czekam?

Pisanina odciągnęła mnie od tragifarsy przedwyborczej dziejącej się w naturalnej polskiej scenarii. Płakać czy śmiać się? W każdym razie – biegnę!

lipiec-sierpień 2000.

Ewa BERBERYUSZ

## Z ukosa

Pojawiam się ostatnio w *Kulturze* w różnych postaciach, co zakłóca niemal odwieczny dla mnie rytm pisania do miesięcznika, zaś nielicznych, acz nadspodziewanych wiernych czytelników pisma wprowadzam w stan pewnej konfuzji. Wywiad, który jest w tym numerze, powinien wyrzucić za burtę mój felieton, ale w drodze łaski otrzymałem od Redaktora zezwolenie

na kolejne spojrzenie „z ukosa”, ale to ma być jedynie błysk oka. Jeśli cierpię na wieloletni nałóg pisania do *Kultury*, to uzasadnione są obawy, że brak choćby namiastki tekstu mógłby mi zaszkodzić. Jak jednak teraz zmieścić się w tych darowanych kilku stronach?

Polska dzisiaj? Pytanie dziecka we mnie – dlaczego jest tak gorzko, jeśli mamy tak wiele, coraz więcej ciastek? I w tych ciastkach jest chyba odpowiedź. Tak wielu ludzi nie stać by je kupować, a jak stać, to tak się obżerają, że im potem jest mdło.

Ogłoszono niedawno badania nad stanem naszego zbiorowego ducha. I z jednej strony odczułem jakby jasną smugę satysfakcji, a z drugiej cień smutku. Badania potwierdzają moje widzenie współczesnej Polski. Obraz jaki wyłania się z badań jest paradoksalny. Jako społeczność posiadamy paskudne, malkontenckie usposobienie (to też mój przypadek). Ludziom wiedzie się lepiej niż kilka lat temu, ale są bardziej sfrustrowani. Chcą mieć więcej. I to szybko! Pracuje wielka ukryta fabryka produkująca potrzeby. I ten nasz kompleks, że spóźniliśmy się do Europy, że jesteśmy pokrzywdzeni przez historię. W każdym Polaku mieszka więc kilku niewygodnych sublokatorów: poczucie niesprawiedliwości, należy mi się, dlaczego on ma więcej? A żądza posiadania zaczyna rozprzestrzeniać się jak epidemia. Jako historycznie i historycznie spóźnionym brakuje nam chronicznie czasu, dlatego chcemy dorobić się na skróty. Nawet przyzwoici śpieszą się nieprzyzwoicie. I przestają być przyzwoici. Ilu ja znam takich co utracili przyzwoitość, a mieli jej tyle w nieprzyzwoitych czasach PRL-u! Liczni, którzy nie mogą wzbogacić się legalnie, kradną lub dokonują rozbojów. A przy okazji dorobiliśmy się nie wiedzieć kiedy 100-tysięcznej armii żebraków. W Krakowie, siedząc w kawiarni, w pobliżu rynku, byłem napastowany przez kilkunastu. Najbardziej wzruszający był starszy pan o wyglądzie profesora nauk humanistycznych, trzymał okulary w jednej ręce, a w drugiej białą chusteczkę i kartkę z informacją o swej ciężkiej chorobie i że potrzebuje pieniędzy na lekarstwo. Ten pan płakał, chodząc od stolika do stolika. Ale mi nie na płacz się zebrało, a na wycie. Ja nie chcę Kalkuty w naszych miastach. I by twardniało moje sumienie molestowane na każdym kroku.

Odbyłem kilka podróży taksówkami po Warszawie, Krakowie i Łodzi. Mam już zbiorową opinię taksówkarzy na temat naszego stanu rzeczy. Taksówkarze zbierają w sobie głos narodu, tego narodu, którego stać na jazdę. Są jak skrzyżowanie kosza na śmieci, archaicznej spluwaczki i kolektora kanalizacyjnego w wielkim mieście. Gdyby tych gębaczy niepospolitych zebrać w jeden chór, to on by zaśpiewał: „Naszyc polityków, wszystkich co do jednego, pod ścianę. I rozwalić! Kraj jest przejadany i rozkradany. Władzę przejmą prędzej czy później Niemcy i Żydzi.”

A tu nagle jak z nieba spada mi w ramiona moja przyjaciółka z Jerozolimy, wyjechała z Polski małą dziewczynką. Mówi, że Żydów w Izraelu nie znosi, cierpi na taką niestrawność ludzi tamtejszych, że z tej rozpaczycy poszła leczyc się do psychoterapeuty. Opisuje minę jerozolimskiego lekarza duszy, gdy zasiadła w jego fotelu i zwierzyła się, że ona zamierza leczyć się ze swej chorobliwej niechęci do Izraela. Leczyła się ponad rok. I co? pytam. „Nic nie pomogło.” Pocieszam ją, że polski psychoanalityk to by nawet żadnej miny nie zrobił, gdybym, na przykład, przyszedł leczyć się na antysemityzm. A tym bardziej nie zrobiłby miny, gdybym chciał leczyć się z niechęci do Polski. Znam wielu polskich psychoterapeutów, wszyscy mówią, że okropnie ich Polska denerwuje. I sami poradzić sobie z tym problemem nie mogą. Jak tu więc mieć żal do Polaków o antysemityzm, jeśli Polacy samych siebie nie trawią. Upadek sympatii Polaków do siebie samych i do ojczyzny ma charakter epidemii. Więc kiedy Jerzy Giedroyc z telewizora mówi do narodu, że on ma do Polski stosunek skomplikowany, to naród Go rozumie, nie rozumiejąc zarazem, gdyż kto pojmie supty, tak swoje jak i cudze?

Zabijając w sobie mit Sierpnia roku '80, mit „Solidarności”, podcięliśmy żyły wszystkim naszym mitom. Wszystkie nasze symbole, wszystkie sztandary zostały podeptane i to żeby ktoś, to my sami. Lech Wałęsa sam siebie zdeptał, jeśli nie na śmierć, to na śmiech, rozkretynił się swoim bełkotem. Nie mogę znieść litanii odmawianej nawet przez jego wielkich wrogów, że to mimo wszystko jest Wielki Polak i ma trwałe miejsce w naszej Historii. Jeśli taka jest prawda, że Wałęsa będzie miał kiedyś pomniki, że z powodu wąsów ludzie mylić

go będą z Piłsudskim, to tym gorzej dla tej prawdy. I dla naszej historii. Przez lata uważnie śledziłem wielką falę, która mniej lub bardziej przypadkowo wyniosła Wałęsę. Żal mi kraju, jeśli jest skazany na takich bohaterów.

Przetoczył się przez Polskę walec lustracyjny, już na samym początku prezydenckiej kampanii. Urzędujący prezydent Kwaśniewski, Lech Wałęsa, Andrzej Olechowski jak uczniacy w klasie stanęli przy tablicy i ze łzami w oku kamery tłumaczyli się, że nie byli agentami. Przetoczyły się też na rocznicę Sierpnia dyskusje, co zostało z „Solidarności,” sam dzielnie brałem w nich udział – czy więc był skarb, czy ten nasz „złoty róg” znowu zgubiliśmy? Tak! Na pewno był skarb. Zgubiliśmy róg, a skarb roztrwoniliśmy. Ale tu ponownie otwiera się przestrzeń na obszerny artykuł. Napiszę tylko, że u nas podobnie jak u tych okropnych Żydów, o tak, więcej nas łączy niż dzieli, jest jakiś rodzaj arogancji i autodestrukcji, masowe zawały serca, picie i palenie na śmierć, ta dezorganizacja pracy, i w końcu niszczenie pięknych mitów najnowszej historii. Książki powinno się o tym pisać, a książek nie ma, nawet na to nas nie stać, więc na razie zamykam tę puszkę Pandory kropką.

W swoich tekstach comiesięcznych, próbuję notować co mnie najbardziej porusza i boli. I jak teraz się bronić, by kolejne teksty nie zmieniały się w opisy pogrzebów bliskich mi ludzi. A nie mam wątpliwości, że ruszyła reakcja łańcuchowa pogrzebów, a zatrzyma się ona dopiero na moim pogrzebie. Czy jest coś bardziej poruszającego niż śmierć? I ten bezgraniczny idiotyzm naszej wobec niej bezradności. Dzisiaj jesteśmy bardziej bezradni niż kiedykolwiek. Mam wrażenie, że już nawet księża nie wierzą w życie pozagrobowe. Śmierć Magdy, to druga śmierć koleżanki z klasy. Ola, która ma kwaciarnię, a przed laty, na klasowym spotkaniu powiedziała proroczno – „wszyscy kiedyś do mnie przyjdziecie”, teraz spełnia swoją przepowiednię – przywozi wieniec i kwiaty. Cmentarz leży w podwarszawskiej miejscowości, a od kościoła do miejsca pochówku jest kilka kilometrów, organizatorzy pogrzebu mówią, by po mszy wszyscy wsiedli do swoich samochodów, „będzie piękny kondukcik”. Jest już oczywiście, że wszyscy mają samochody. I jedziemy w sto wozów. Powiew śmierci powinien unieważniać postrzeganie dóbr materialnych,

ale wszyscy zauważyli, że z naszej klasy, to Wiesiek, właściciel firmy wypożyczających dźwigi na wielkie budowy, ma najbardziej luksusowy samochód. Kiedy podczas ceremonii ksiądz opowiada jak to Magda dzięki dobroci Pana Boga będzie miała dobrze, tam, w tym pośmiertnym życiu, dzwoni komuś telefon komórkowy. A ja myślę, że najwyższy czas by Pan Bóg zadzwonił i powiedział: „A odwalcie wy się wszyscy ode mnie! Ja ze śmiercią nie mam nic wspólnego. A jeśli już chcecie być oszukiwani, to na pogrzebach nie płaczcie, nie zgrzytajcie zębami, a radujcie się.”

Byłem też zaskoczony, gdy zaproponowano mi, abym do miesięcznika *Res Publica* napisał tekst o pieniądzach, co One z nami zrobiły? Zgodziłem się, tak miło mnie proszono. Dzisiaj to autora już nikt o nic nie prosi, nie pyta, nawet jak go kastrują to bez zgody. Codziennie budzę się ze złością na siebie, że skazałem się by żyć z pisania. Kiedy zamknąłem drzwi do redakcji miesięcznika, to od razu naszła mnie myśl: „To mi się nic a nic nie opłaca. Urobię się, namęcę, prawie nic mi nie zapłacą i prawie nikt tego tekstu nie przeczyta. Jaki ja mam w tym interes?”

Napisałem te słowa w innym pliku i dało mi to taki napęd, że jak ten nieszczęsny „Concorde” rozpędziłem się i musiałem polecieć ku swojej zgubie. Przecież obok czeka lub frunie sześć, nie, chyba osiem tekstów, które piszę równolegle.

Żyłem w czasach, gdy przynajmniej moje środowisko myślało w kategorii spraw, a nie interesów. Nie ma już spraw. I to mnie tak codziennie boli. To zabija sens wszystkiego, też pisania. Pisanie przestało być sprawą, stało się produkowaniem towaru. A tych dawnych spraw tak nam zazdroszczą najmądrzejsi z młodych. Nie wiedzą jak boli, gdy ma się żywą pamięć dawnych ideałów, bezinteresowności, a teraz widzi się co wpływa w te puste miejsca.

I już w puencie sygnalizuję, że zaczęła się kampania prezydencka, nie wiem ilu jest kandydatów na prezydenta, telewizja dosyć skrupulatnie i sprawiedliwie, w chronicznym skrócie, pokazuje migawki z podróży objazdowych tych kandydatów po Polsce. Wożą ich jak jakieś okazy zoologiczne, które już nie budzą niczyjej ciekawości. Naród na te dziwadła już się dosyć napatrzył. Występują w żalonych,

świecących pustką stołówkach, dla mikrej i rozziwanej publiczności, ozdabiają krawężniki ulic miast, gdzie popisują się zmartwieniem o Polskę, wszyscy tacy zatroskani, im kto głupszy tym bardziej się martwi. Wałęsa oskarża Kwaśniewskiego, że jest Żyd, miał chłop kupę szczęścia, że jakimś cudem to nie poszło w świat. A Krzaklewski – skarży Wałęsę – to był w sierpniu roku 80 w Bułgarii (to akurat jest prawda). „Solidarność” w nagrodę, celebując swoją rocznicę, unika nazwiska Wałęsy. Są jak widać jakieś atrakcje, ale w sumie ów spektakl jest śmiertelnie nudny i jałowy. Mam wrażenie, że wszyscy kandydaci mówią, że nie mają nic do powiedzenia.

Koniec, już powinien być koniec, więc tylko w finale zwierzę się, że ja to już mam dosyć pisania. Kretynienie prasy, telewizji, wszędzie węszenie sensacji, czyli amerykanizacja na całego. Z każdym miesiącem jest gorzej. I znikąd ratunku, ale ci, którzy gromko protestują, czyli nasza prawica, oni inaczej, ale jeszcze głupszi.

Częścią kretynizacji jest wymóg pism, by teksty były coraz krótsze, najważniejsze są tytuły, wyimki, itd. Większość ludzi już jedynie to czyta. Sam łąpię się na tym, że uczę się tej cywilizacji skrótu, a na grube książki zaczynam spoglądać jak na kobiety, które zaniedbały się i utyły.

SMECZ

## Sąsiedzi

### Między Niemcami a Rosją

*Niemieckie lato 2000*

Berlin rośnie w górę i pychę. Nadyma się jak balon z rozumiałością i jak balon jest w środku pusty. Nie ma jednak takiego śmiałka, który by przekuł powłokę buty i odstąpił wewnątrz olbrzymia bez treści. Szybкими krokami zbliża się też dziesiąta rocznica zjednoczenia w ciągu pół stulecia podzielonych Niemiec, dziś już zupełnie pozbawiona dawnej euforii. Z każdym rokiem odpadał kawałek z dawnego katechizmu patriotycznego uniesienia, ustępując miejsca rosnącemu sceptycyzmowi i rozczarowaniu. Zresztą już wtedy, przed dziesięciu laty, zjednoczenie bardziej zaskoczyło Niemców niż nagła niepodległość Polaków. Ale emocje po obaleniu muru berlińskiego popłynęły tak szybko, że na jakiś czas zupełnie przykryły wzajemną nieufność i głęboki rów wyobcowania między wschodem i zachodem Kraju.

Pozornie zwyciężyła jedność narodowa, ale tylko odświętnie i dla uspokojenia sumień. Wyszyły co prawda z powszechnego obiegu dowcipy na temat stosunku pomiędzy przebiegłymi „Wessi” („zachodniakami”) i niedorozwiniętymi „Ossi” („wschodniakami”), ale nie dlatego, że straciły sens, tylko po prostu stąd, że się już przejadły. Zresztą problem odrębnej mentalności jest poważniejszy i głębszy niżby mógł być zbyty głupawymi wicami. Okazało się, że pół wieku egzystencji w odmiennych systemach społecznych, przekształciło mocniej świadomość i sposób bycia, niż to sobie wyobrażali zachodnioniemieccy politycy w okresie zimnej wojny. Sprawdziły się raczej dawne tezy takich socjologów jak

Christian Ludz, że przynależność do przeciwstawnych systemów społecznych złobi koleje nowych losów i postaw w podzielonym kraju. Na pewno do procesów wyobcowania przyczyniła się tradycja odmienności regionalnych. Nie zapominajmy, że pierwsze zjednoczenie Niemiec nastąpiło dopiero w drugiej połowie XIX stulecia i nie usunęło w pełni partykularyzmów dzielnicowych. Wiele z tych elementów regionalizmu znikło na skutek centralistycznych tendencji w państwie hitlerowskim. Jeszcze bardziej przyczyniło się do tego przemieszanie ludności na skutek ruchów ewakuacyjnych w czasie wojny, a przede wszystkim poprzez osiedlenie wielomilionowej rzeszy Niemców wypędzonych ze Śląska, Pomorza, Prus Wschodnich i Sudetów. Dzisiaj taki przypadek, który mi się zdarzył z taksówkarzem w powojennym Monachium, kiedy ów, słysząc moją niemiecką z berlińskim akcentem, oświadczył z wściekłością, że jestem „pruską świnią”, a kiedy ja na to parsknąłem śmiechem, tak się rozjuszył, że błyskawicznie odjechał nie biorąc pieniędzy, chyba by się nie zdarzył.

Porównując procesy scalania byłych zaborów w jedno państwo polskie i unifikacji dwóch części Niemiec wydaje się, że w Polsce przywracanie wspólnoty przebiegało łatwiej. Może różnica polega na tym, że mimo wielu cech odmiennych, systemy społeczne państw zaborczych były podobne, chociażby w kwestii własności prywatnej. Z drugiej strony, system sowiecki w Niemczech Wschodnich nie stosował żadnej polityki ucisku narodowego, a nawet przeciwnie, usiłował stworzyć pozory symbiozy komunizmu z pruskością. Tak czy inaczej, rowu przeciwieństw nie zasypano w ciągu ubiegłego czterdziestolecia. Niemcy zachodni patrzą na swych wschodnich ziomków z podejrzliwością, wytykają im niewdzięczność po wpakowaniu setek miliardów marek w dzieło modernizacji gospodarki i urzędów komunikacyjnych, niewyleczalność z ciągotek prokomunistycznych. A ziomkowie ze Wschodu psioczą na rzekomą okupację kapitalizmu, skarżą się na czystki personalne i procesy lustracyjne, i popierają postkomunistyczną Partię Demokratycznego Socjalizmu, manifestując jednocześnie nienawiść wobec cudzoziemców.

Berliński mur zniesiono gruntownie, co było kapitalnym błędem. Na wieść o tym, że już nie ma muru, odpadło wielu

turystów japońskich, wędrujących gremialnie po innych miastach niemieckich. Irytuje to nauczycieli historii, którym zabrakło faktologii w wycieczkach szkolnych do stolicy. Ale w głowach berlińczyków mur wciąż jeszcze istnieje. Dobrym przykładem na to jest sytuacja dwóch konkurencyjnych dzienników berlińskich: *Der Tagesspiegel* po zachodniej i *Berliner Zeitung* po wschodniej stronie. Od dziesięciu lat obydwie pisma walczą o przejście przez niewidzialny mur i zdobycie czytelników z przeciwnego bloku. Dotychczas mimo ogromnej reklamy – bez skutku.

### Między Bonn i Berlinem

Bonn był przyjemną stolicą. Stare miasto uniwersyteckie miało specyficzny styl, bardzo ludzki, trochę niefrasobliwy, typowo nadreński, przypominający humorem i lekkością sposobu życia niedaleką Francję. Nie bez kozery Prusacy oskarżali Nadreńczyków o separatyzm. Do roli stolicy zachodnio-niemieckiego państwa miasto przywykało z trudem. Pamiętam jak po debacie parlamentarnej w sprawie uzbrojenia nowej republiki, wróciliśmy z niezującym już redaktorem londyńskiego *Dziennika Polskiego* Ludwikiem Rublem, późną porą, do przedniego hotelu „Stern” i po długim dzwonieniu i pukaniu otworzył nam zaspany portier wymyślając, że odkąd istnieje ta „buda pełna gadułów, człowiek nie ma spokoju”. Z czasem Bonn wrastało w nową skórę i stało się jedną z najbardziej uroczych stolic świata. Nawet urzędnicy byli pogodni i życzliwi, ministrów można było spotkać na rynku przy zakupach albo wieczorem przy kielichu wina. Wszystko odbywało się bez pompy, bardzo cywilnie. I choć oficjalnie nazywało się, że Bonn to prowizoryczna stolica, tymczasowość z każdym rokiem stawała się rzeczywistością. Wraz z ubytkiem twardo wierzących w przyszłość zjednoczenia, wzrastała ilość gmachów ministerialnych, siedzib władz partyjnych, ośrodków lobbistycznych, hoteli, restauracji. Urzędnicy budowali sobie domy nad Renem i kupowali dacje we Francji, Szwajcarii lub w Belgii. Po latach wszyscy zapomnieli o prowizorium. Coraz więcej polityków uznawało długowieczność podziału Niemiec na dwa państwa.

Upadek imperium sowieckiego, a za nim Niemieckiej Republiki Demokratycznej, zaszokował administrację w Bonn. Niektórzy niechętnie myśleli o postanowieniach konsultacji z 1949 roku na temat stolicy w Berlinie. Nadreńscy rozpętali kampanię przeciwko przeniesieniu centrum władzy znad Renu nad Szprewę, nie szczędząc takich epitetów jak: „Berlin to kołyska pruskiego militarysty”, „gniazdo zaborczości”, „symbol zagrożenia dla sąsiadów”. Nastroje były podzielone nawet wśród posłów w Bundestagu. Kiedy przyszło do głosowania, Berlin wygrał znikomą większością dziesięciu głosów. Wielu dzisiejszych dostojników, jak na przykład prezydent Rau, głosowało przeciwko przeniesieniu stolicy. Nic dziwnego, że proces „ewakuacji” przebiegał opieszale. Część urzędników zaczęła wierzczać, że za nic w świecie nie wyjedzie znad Renu. Na towarzyskich konwentykłach zło-rzeczono, że trzeba będzie porzucić winiarnie na rzecz brandenburskich kartofflisk. Aby zażegnać urzędniczy bunt, władze poszły na kompromis. Część ministerstw pozostała w Bonn, a szczególnie niesfornym biurokratom umożliwiono wędrowanie na koszt państwa pomiędzy *domiculium* nad Renem i pracą nad Szprewą. Starym Prusakom, przyzwyczajonym do subordynacji, dyscypliny i oszczędności, trzewia się wywracają pod wrażeniem takiego libertynizmu i trwonienia publicznego grosza.

Opieszałość i ukryty duch sabotażu sprawiły, że wszystkie terminy budowy nowych urzędowych gmachów pozostały na papierze. Berlin w centrum miasta przemienił się w największy budowlany plac na świecie. Ponad trzydzieści tysięcy robotników wznosiło nowe gmachy lub przerabiało stare, pracując na okrągło w dzień i w nocy, *nota bene* robotników zwiezionych z rozmaitych krajów, głównie z Włoch, Hiszpanii i Portugalii. A jednocześnie trzydzieści tysięcy bezrobotnych berlińskich budowlanych przyglądało się posępnie dziełu zagranicznych kolegów. Przyczyną paradoksu były wysokie stawki taryf, dyktowane przez niemieckie związki zawodowe.

Każdego miesiąca tu i tam znikają rusztowania i wyłania się nowy kształt architektoniczny. A ponieważ jest to rzadka szansa historyczna dla architektów, wzniesienia sobie i potomności pamiątki sławy lub złorzeczeń – za grube

pieniądze – więc powstają obok siebie rozmaite zupełnie do siebie nie pasujące gmachy publiczne, biurowce, sklepy i hotele. Kakofonia stylów, smaków i niesmaków, form i tworzywa jest nieprawdopodobna. A jednocześnie dalej nie wiadomo co wyniknie z zaciekłych sporów o zabudowanie Placu Zamkowego. Jedni rozdierają szaty o rekonstrukcję zburzonego przez komunistów Zamku Królewskiego, inni pragną zachowania szkaradnego socrealistycznego Pałacu Republiki, ze szkieletu którego wyciągają od lat trujący azbest, a trzeci proponują rezygnację ze wszelkich zabudowań i założenie kwietników.

### *Dziesięciolecie w atmosferze kłótni*

Uroczystości dziesięciolecia zjednoczenia Niemiec odbędą się w atmosferze kryzysu wokół osoby byłego Kanclerza Helmuta Kohla, cieszącego się przydomkiem „kanclerza zjednoczenia”. Ten prawie dwumetrowy olbrzym z Nadrenii, który stał na czele Republiki dłużej niż jej twórca Konrad Adenauer, znalazł się w okropnych tarapatkach. Na skutek zarumowisko oskarżeń, komisji śledczych, podejrzeń i pomówień. Okazało się, że potajemnie zbierał milionowe fundusze anonimowych ofiarodawców, nie dla siebie, lecz dla kierowanej przez niego chadecji, która przez szesnaście lat stała u steru władzy.

Wykryta przypadkowo przez prasę i telewizję afera rozrosła się do niebywałych rozmiarów, obaliła nie tylko olbrzyma Kohla, ale postrzącała z foteli i urzędów całą plejadę zasłużonych polityków i pograżyła niegdyś potężną partię w potok nieustających przesileń. W ciągu kilku miesięcy zmieniło się dawne ścisłe kierownictwo stronnictwa i frakcji w parlamencie. A główną przyczyną całego zamętu jest upór Kohla, który kategorycznie odmawia ujawnienia nazwisk ofiarodawców, argumentując swoją decyzję w prosty sposób, że dał im słowo honoru dla zachowania tajemnicy i nigdy tego słowa nie złamie. Starzy przyjaciele namawiają go aby się wreszcie opamiętał i złożył odpowiednie wyjaśnienie przed komisją parlamentarną dla uratowania własnego życiorysu i

autorytetu partii w oczach społeczeństwa. Nic nie pomaga: eks-kanclerz milczy jak zaklęty. Od czasu do czasu tylko pomrukuje, że przeciwko niemu działa sprzysiężenie kłamstwa i obłudy.

Wprowadza to w zakłopotanie młodą następczynię Kohla Angelę Merkel, która z trudem usiłuje zintegrować poszczególne koterie i generacje do wspólnego działania. Dawni i nowi przeciwnicy zdetronizowanego przywódcy popełnili afront, odmawiając mu prawa do przewidzianego dawniej przemówienia na centralnych obchodach zjednoczeniowych w Dreźnie. Wywołało to wtórny kryzys w łonie partii i część znanych działaczy zagroziła bojkotem uroczystości. Merkel zrozumiała czym to grozi i namówiła obrażonego patrona zjednoczenia do wspólnego wystąpienia na odrębnej akademii.

#### *Razem przeciw neohitlerowcom*

Ale czas do obchodów 3 października nie stał się jak w ubiegłych latach sezonem ogórkowym, albo jak przyjęło się wyrażać we współczesnym żargonie, politycznym „letnim teatrem”, który zwykle zapychano byle czym na płachtach gazet i na ekranach telewizji. Tym razem na politycznej scenie mimo letnich ferii zjawiał się rzeczywisty dramat. Jego bohaterami są młodociani neohitlerowcy z ogolonymi głowami, w odzieniach przypominających mundury szturmowych oddziałów hitlerowskich SA, z opaskami podobnymi do swastyki i w ciężkich okutych buciorach, przydatnych do kopania ofiar. Bandy młodocianych bojówkarzy napadają głównie na ciemnoskórych cudzoziemców, nad granicą polsko-niemiecką na Polaków, niszczą cmentarze żydowskie, bezczeszczą synagogi. Rządziej ofiarami agresji są Turcy, bo ci są zdadni do równie brutalnych rewanzów.

Terenem tych akcji są miasta i miasteczka w Niemczech Wschodnich. Są to niewątpliwie skutki systemu komunistycznego, upadek wartości moralnych, bezrobocie. Na tych ziemiach od 1933 roku do 1990 panował totalitaryzm, najpierw hitlerowski, a potem bez żadnej przerwy, stalinowski. I chociaż Niemcy ernerdowscy byli najbardziej służalczy

wobec Moskwy, pod tą wiernością ukrywała się nienawiść i żądza odwetu. Sowietci się jednak wynieśli, więc nagromadzoną agresję należy wyładować na innych obcych. Nie znaczy to, że neohitlerizm rozprzestrzeni się tylko we wschodnich połaciach Niemiec, na zgliszczach Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Prądy te istnieją, choć w nieco odmiennych formach, również w Niemczech Zachodnich. Różnica polega na tym, że na wschodzie są to akcje spontaniczne, stosowane *ad hoc*, bez dyscypliny organizacyjnej. Na zachodzie natomiast dzieje się to w bardziej zorganizowany sposób. Większość neonazistów należy do legalnej Partii Narodowo-Demokratycznej, do Młodzieży Narodowo-Demokratycznej i do Narodowo-Demokratycznego Związku Studentów. Bardziej radykalne grupy to organizacja „Krew i Honor”, „Wolni Nacjonaści” i „Wolne Zrzeszenia Kamratów”, które się wyłoniły z rzędów zakazanej „Młodzieży Wikingów”. Istnieją też nieco bardziej umiarkowane stronnictwa nacjonalistyczne jak Partia Republikańska i Niemiecki Związek Narodowy. Głównym legalnym pismem neohitlerowców jest tygodnik *Nationalzeitung* z jaskrawym programem antysemickim i antyzachodnim oraz bardzo antypolskim. Istnieje wreszcie grupa niezadowolonych z istniejących partii politycznych na prawym skrzydle demokracji młodych konserwatystów o zabarwieniu nacjonalistycznym, skupionych dookoła inteligentnie redagowanego tygodnika *Junge Freiheit* czyli „Młoda Wolność”.

Wszystkie te zjawiska były od dawna znane, ale zarówno władze jak i publicystyka zupełnie je lekcewały, twierdząc, że jest to nieistotny margines społeczny. Zaciążyła tu długoletnia jednokierunkowość zwalczania radykalnej lewicy z podziemia Frakcji Czerwonej Armii. Nawet pierwsze mordy dokonywane na cudzoziemcach, począwszy od linczu nad Angolaniną Amadeu Antonio w kwietniu 1990 roku we wschodnioniemieckim miasteczku Eberswalde, nie spowodowały żadnych akcji prewencyjnych. Dopiero zamach bombowy przeciwko żydowskim przesiedleńcom z Ukrainy, dokonany 27 lipca bieżącego roku w Düsseldorfie, stał się datą przełomową. Od tego czasu trwa powszechna debata nabierająca często cech hysterii. Zresztą tego rodzaju emocje zamiast rzeczowej dyskusji i zastosowania środków prawnych

były i są wciąż jeszcze cechą mentalności niemieckiej. Poprzez wszystkie partie demokratyczne, kościoły i organizacje społeczne, prasę, radio i telewizję, rozbrzmiewa hasło: „Róbmy wspólny front przeciwko prawicowym ekstremistom”. Krzyku dużo, a konkretów mało.

Jest to główny motyw niemieckiego lata 2000. Ale na dalszych polach odbywają się inne, nie mniej pikantne zdarzenia. Jednym z nich jest bunt prasy i pisarzy przeciwko uchwalonej i wprowadzonej w życie w ubiegłym roku nowej pisowni niemieckiej. Już się ukazały nowe podręczniki, słowniki i wskazówki dla szkół, wydawnictw i zwykłych obywateli, jak niespodziewanie najbardziej konserwatywna gazeta niemieckiej inteligencji *Frankfurter Allgemeine Zeitung* 26 lipca ogłosiła, że zrywa z nową pisownią i powraca do starej. Od tego dnia panuje niesamowity zamęt w niemieckich głowach i toczy się walka na szpaltach prasy „za” i „przeciw”. Hufce przeciwników reformy biorą górę i zdaje się, że niebawem zwyciężą.

A na trzeciej scenie rozgrywa się niemiecka psia wojna. Jest to najbardziej zaskakujący fenomen, zwłaszcza gdy się zważy tradycyjną sympatię Niemców do zwierząt. Tu nigdy nie bito koni i nie kopano psów jak u nas na wschodzie i nigdzie na pastwiskach nie było i nie ma krów ze śladami łańna na zadach. Nigdzie też na świecie nie ma tyle towarzystw opieki nad zwierzętami i przytułków dla bezdomnych czworonogów. Nigdzie też na świecie nie ma tyle psów, co w Niemczech. Wszelakich – od przedstawicieli najbardziej egzotycznych ras, do zwykłych kundli, zwanych tutaj „mieszkańcami z promenady”. Psów nie prześladowano na skutek trudności żywnościowych za Hitlera, tak jak w komunistycznych Chinach w erze Mao, jako niepotrzebnych konsumentów mięsa. Jediną nieprzyjemną rzeczą, choć innego gatunku, było szkolenie wilczurów w Trzeciej Rzeszy i w NRD przeciwko więźniom w kacetach i przy berlińskim murze. Ale to minęło i znowu nastąpiła harmonia między Niemcem i psem. Ale teraz wszystko się zmieniło, bo pod koniec czerwca jakiś rozszelony pitbull pokąsał na śmierć chłopca w Hamburgu. Od tego dnia zaczęła się niemiecka psia wojna. Całe Niemcy są podzielone na dwa wrogie obozy: wielbicieli i wrogów kilkumilionowej psiarni. Kraj ogarnęła chorobliwa psychoza.

Władze wydają antypsie ustawy, zakazujące hodowania i utrzymywania takich ras jak pitbull, doberman, rottweiler, bullterier i niektórych innych. Zresztą nie ma jednolitych ogólnoniemieckich przepisów. W niektórych prowincjach na liście prohibitów widnieje aż 16 ras, włącznie z jamnikami. Wszędzie wprowadzono przymus kagańców. Właściciele czworonogów stoją pod pręgierzem antypsiei nagonki i zaczynają się organizować w towarzystwach obrony i ochrony psiego życia.

### *Niemiecki kult Putina*

Flirt z Rosją należy do podstawowych cech polityki i mentalności niemieckiej. Datuje się od czasów Piotra Wielkiego i carycy Katarzyny, początkowo biednej księżniczki z prowincji Zerbst-Anhalt i kanclerza Bismarcka. Mimo dwóch wojen i dwóch wzajemnych okupacji, zbrodni i okrucieństw, przetrwał w rozmaitych metamorfozach po dziś dzień. Od czasu zjednoczenia Niemiec flirt ten rozkwitnął w trzech fazach: gorbaczowowskiej, jelicynowskiej i obecnie putinowskiej. Michał Gorbaczow miał więcej zwolenników w Niemczech niż w ojczystym kraju. Wszędzie gdzie się pokazywał na niemieckiej ziemi, fetowano go entuzjastycznymi i niemal pieszczotliwymi okrzykami: „Gorbi!”, „Gorbi!”. I nigdzie na świecie nie było tyle euforii i podziwu dla „pierestrojki”, co w niemieckiej opinii publicznej. I nawet w dobie duserów kanclerza Kohla „dla mojego druha Jelcyna” sympatie dla jego poprzednika nie zniknęły zupełnie. Jelcyn swoimi dziarskimi objęciami obfitych kształtów kanclerza-olbrzyma i pijackimi wystąpieniami w gruncie rzeczy imponował Niemcom, którzy w tym widzieli mityczną rosyjską duszę. Rosja Jelcynowska – nie zważając na wojnę w Czeczenii i afery z mafią – stała się głównym partnerem gospodarczym Niemiec na Wschodzie i najważniejszym polem dla inwestycji. Przejęcie władzy na Kremlu przez Putina, mimo drugiej wojny kolonialnej na Kaukazie, nie zmieniło tego kursu a raczej pogłębiło. Zarysowała się różnica postaw pomiędzy Francją a Niemcami i powstało zbliżenie Berlina z Moskwą przeciwko amerykańskim planom obrony przeciwrakietowej.



Kanclerz po raz pierwszy nazwał stosunki niemiecko-rosyjskie podczas wizyty Putina „strategicznym partnerstwem”. Dotychczas takie określenie dotyczyło relacji z USA. Niemieckie wydanie *Financial Times* stwierdziło 15 sierpnia, że kanclerz Niemiec „angażuje się w imię interesów Rosji”.

Kwitnie jak nigdzie indziej kult Władimira Putina. Niektórzy publicyści jak Scholl Latour podnoszą go już na piedestał Piotra Wielkiego. Niemcy jako pierwsi pospieszyli się z publikacją biografii nowego władcy na Kremlu. Jedna, pióra znanego profesora prawa międzynarodowego Wolfganga Seifferta, nosi tytuł „Władimir Putin – odrodzenie światowego mocarstwa.” Pytajnik umieszczony w tytule książki znika zupełnie w treści pracy. Naukowiec niemiecki podnosi byłego czekistę pod niebiosa, a KGB porównuje z zakonem jezuitów. Swoje *opus* Seiffert kończy takimi oto słowami:

„Jest rzeczą oczywistą, że Niemcy jako europejski kraj z najbardziej technologicznie intensywną produkcją, zależną od handlu zagranicznego gospodarką, winny być jak najbardziej zainteresowane rozwojem nowoczesnej technologii w Rosji i opanowaniem tamtejszego rynku. Należy się całkowicie zgodzić ze słowami noblisty i pisarza Aleksandra Sołżenicyna, które on niedawno wypowiedział: ‘Setki jeśli nie tysiące Niemców odznaczyło się w carskiej Rosji szczególnie sprawną i wierną służbą na rzecz państwa rosyjskiego. Bardzo liczę na to, że Niemcy znowu staną się godnymi tej roli i będą dla nas pomostem z resztą zachodniego świata’”.

Do tego Seiffert dodaje przestrożę, że:

„Rosjanie umieją nie tylko subtelnie myśleć, ale czasami mogą być też mściwi, niekiedy również w pozytywnym sensie. Kto bowiem pomaga Rosji w jej trudnych i skomplikowanych sytuacjach, ten może liczyć na dobrą pamięć Rosji”.

Druga biografia nosi tytuł „Władimir Putin – Der ‘Deutsche’ im Kreml”, czyli „Niemiec’ na Kremlu”. Autorem jest Alexander Rahr, współpracownik nieoficjalnej ekspozytury resortu spraw zagranicznych Niemieckiego Towarzystwa Polityki Zagranicznej, pochodzący ze zrusyfikowanej rodziny Bałtów niemieckich. Jego ojciec Gleb Rahr był czołowym dzia-

łączem prawnicowego ugrupowania emigracyjnego NTS, współpracującego w okresie zimnej wojny, podobnie jak nacjonałiści ukraińscy banderowskiej orientacji, z reżymem Czang Kai Szeka i Hiszpanią generała Franco. Stąd też młody Rahr urodził się w Tajpej. Jego praca jest mniej apologetyczna, ale zawiera wiele charakterystycznych twierdzeń i ocen. Należy do nich przekonanie autora, że Putin będzie się starał odrodzić potęgę Wielkiej Rosji. A co do postawy nowego władcy na Kremlu wobec Niemiec, to Rahr zajmuje jasną postawę:

„W Niemczech przywiązuje się do przejęcia władzy przez Putina nadzieję, że nastąpi pogłębienie współpracy pomiędzy Niemcami i Rosją. Z tego wszystkiego co wiemy o nowym prezydencie, to to, że jest jak największym germanofilem, przy czym jego obraz Niemiec jest pełen specyficznego romantyzmu... Putin ma rozeznanie nie tylko w polityce niemieckiej i orientuje się jak mało kto w mentalności niemieckich elit nawet spośród dyplomatów obeznanych z Niemcami. Putin objechał NRD, a potem zjednoczone Niemcy prywatnie, był nawet w najdalszych zakątkach – tak jak Piotr Wielki przed trzystu laty w Holandii. Jego obydwie córki otrzymały niemieckie wychowanie, a rodzina Putinów udziela się również dzisiaj w kręgu niemieckich przyjaciół”.

Od siebie dodajmy, że ten krąg składa się chyba z byłych eneradowskich stasi, bo tylko w tych kręgach były kagiebiści mógł się poruszać.

Przemawiając we wspomnianym berlińskim Niemieckim Towarzystwie Polityki Zagranicznej, nowy przewodniczący komisji spraw zagranicznych w Dumie, nacjonalista Dimitrij Rogozin, ostrzegł Niemców, aby nie lekceważyli Rosji, „bo już niedługo będziemy znowu wielkim mocarstwem”. A przed nim zbliżony do otoczenia Putina znany komentator Aleksiej Puszkow oświadczył również w Berlinie: „Nas łączy idea mocarstwowa, gdyby nam ją odebrano, przestałaby istnieć nasza wspólnota”.

Nikt z obecnych nie zdobył się na odwagę do skrytykowania tych wielkomocarstwowych ambicji. Przeciwnie, wspólnie przypieczętowano nową przyjaźń w pobliskiej francuskiej restauracji „Du Pont”. Obecni na zebraniu przemysłowcy

orzekli, że Rosji Putina należy jak najbardziej pomagać. Więc rząd kanclerza Schroedera ogłosił wspaniałomyślne moratorium na spłatę ogromnych długów Moskwy, a potężne koncerny Ruhrgas i Wingas zainwestowały w rozbudowę sieci rosyjskiego Gazpromu, ponad pięć miliardów marek! W ten sposób wzrasta zależność Niemiec od rosyjskich dostaw gazu ziemnego. W 1999 roku udział Rosji w zapotrzebowaniu Niemiec wynosił 44%.

### *Rosja przeciw Polsce i Ukrainie*

Na tym się wątek niemiecko-rosyjski nie kończy. Ma specyficzne antypolskie przedłużenie. Jakby na zamówienie – zgodnie z oceną biografą – „największego germanofila” Putina, w oficjalnym organie Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rosji *Diplomaticheskij Wiestnik* ukazała się praca pod wymownym tytułem „Sojusz Moskwa-Berlin – wojskowo-polityczna współpraca w 20-tych i 30-tych latach”. Autorem obszernego studium jest nie byle kto, bo doradca Sekretarza Generalnego rosyjskiego MSZ-u, dyplomowany historyk S.A. Gorłow. Jego wywody odpowiadają jak najbardziej naskwicowanej powyżej tendencji w stosunkach niemiecko-rosyjskich. Na wstępie autor wyjaśnia w dość osobliwy sposób rzekomą potrzebę publikacji na ten temat, a mianowicie, że upadek muru berlińskiego i zjednoczenie Niemiec przyczyniły się na Zachodzie do wysunięcia tezy, jak swego czasu po podpisaniu układu o nieagresji z 23 sierpnia 1939 roku, o zbliżającym się nowym Rapallo. Na Zachodzie powstało na tym tle zaniepokojenie, ale w byłym ZSSR i w obecnej Rosji, sprawy te są w dużym stopniu nieznanne i wymagają przypomnienia. I Gorłow z wielką gorliwością wyjaśnia tajniki ówczesnego zbliżenia niemiecko-rosyjskiego. Motywuje je dwiema przyczynami: poniżającego dla Niemiec Traktatu Wersalskiego wraz z utratą części dawnego terytorium i wszystkich kolonii i „oderwaniem” od Rosji Polski, Finlandii oraz jej nadbałtyckich prowincji. Zaś „katalizatorem” tego zbliżenia Gorłow określa „agresywność rządzących kół Polski w stosunku do swych sąsiadów – pokonanych Niemiec i sowieckiej Rosji, podsycaną przez zwycięskie mocarstwa”.

Niemcy, zdaniem autora znajdowały się w obliczu wojny z Polską o Górny Śląsk i Prusy Wschodnie, a „Rosja została wciągnięta w taką wojnę i była zmuszona w Traktacie Ryskim oddać Polsce Zachodnią Ukrainę i Zachodnią Białoruś”.

Gorłow twierdzi dalej, że układ w Rapallo był nieoficjalnym „wojskowo-politycznym sojuszem” Niemiec i Rosji Sowieckiej, zrodzonym z dwóch pobudek: „rewanżu” i „idei światowej rewolucji”. Jednocześnie dzięki temu układowi Niemcy i Rosja powróciły na arenę międzynarodowej polityki świata. Wiele szczegółów przytoczonych przez niego było już znanych dawniej, niektóre zostają po raz pierwszy ujawnione. Arcyciekawym jest szczegół o próbie wzięcia Polski w 1920 roku w dwa ognie przez Czerwoną Armię ze wschodu i przez Reichswehrę z zachodu. Podstawą dla wspólnych działań miało być przywrócenie granic Niemiec sprzed 1914 roku. Zwycięstwo Piłsudskiego nad Wisłą w 1920 roku rozwiało te plany. Ale zaczęła się nowa forma współpracy dwóch państw, a mianowicie według tajnego planu rozwoju potencjału wojskowego w dziedzinie broni pancernej, lotnictwa i broni chemicznej na terytorium Rosji, dzięki czemu Niemcy mogłyby po upływie trzech od pięciu lat rozpocząć „wielką wojnę wyzwolenczą”. Fakt, że do tego nie doszło, wynika zdaniem Gorłowa, z tej przyczyny, że Feliks Dzierżyński nie dowierzał Niemcom i GPU zaczęło prześladować fachowców niemieckich. Po 1926 roku Moskwa wystąpiła z nowym własnym projektem współpracy wojskowej, ale Niemcy na to nie poszli. Jednak kontakty wojskowe istniały nawet po dojściu do władzy Adolfa Hitlera.

Najistotniejsze jest jednak zakończenie artykułu dyplomaty rosyjskiego:

„W latach 1939-1941 powstała nowa przyjaźń, nastąpiła ‘reanimacja’ Rapallo i zdawało się, że Moskwa i Berlin znowu są splecione nierozzerwalnymi więzami. Zbliżenie rozwijało się od nowa i nabierało tempa głównie na wojskowym odcinku, poprzez likwidację Polski (‘przyjaźń przypieczętowana wspólnie przelaną krwią’), wspólna defilada w Brześciu, wymiana wojskowych sekretów i technologii, dostawy przemysłu zbrojeniowego i strategicznych surowców...”

W jakim celu Moskwa dokonała tego kroku, można tylko wysunąć rozmaite hipotezy, a mianowicie albo chciała Niemcom zadokumentować wrogość wobec Polski i wdrożyć współpracę przeciwko Warszawie, albo wypuściła próbny balon z dużym ideologicznym ładunkiem, celem wybadania niemieckich reakcji. Dotychczas jednak reakcje niemieckie nie są znane publicznie. Dodajmy jeszcze, że mniej więcej w tym samym czasie co wspomniana publikacja, przedstawiciele generalicji i dyplomacji rosyjskiej na konferencji z niemieckimi dyplomatami, przemysłowcami, politologami w tradycyjnym uzdrowisku rosyjskiej arystokracji zaproponowali wspólne kroki przeciwko „niebezpiecznej polityce zagranicznej Polski”.

Jest w tych ofertach i w postawie Moskwy wobec Warszawy, mimo wszelkich wahnięć i zygzaków, pewna konsekwencja. Nikt inny jak Chruszczow opisuje w swoich pamiętnikach wrogość Stalina w stosunku do Polaków, która doszła do tego, że dyktator oskarżył Nikitę Chruszczowa, Rosjanina z krwi i kości, że ma fałszywe nazwisko i w istocie jest Polakiem... We wspomnianym piśmie rosyjskiego MSZ-u roi się od oskarżeń pod adresem Polski, że prowadzi wrogą politykę popierając „bandytów czeczeńskich”. Po wyrugowaniu grupy rosyjskich dyplomatów ze stolicy Polski, komunistyczna *Sowietskaja Rosija* napisała – szkoda, że na tych Polaków nie ma już Stalina i Gromyki, i podległych im polskich „towarzyszy”. I jak się wydaje, podróż Kwaśniewskiego do Moskwy przełomu w oziębłych stosunkach nie przyniosła. Dyskutując na temat rosyjskiej polityki zagranicznej, dziennikarze z redakcji *Izwestija* w amerykańskim Instytucie Aspenu w Berlinie oświadczyli, że Kreml nie ma żadnej koncepcji wobec dawnych państw satelickich, zwłaszcza wobec Polski.

Wydaje mi się, że nie jest to zupełnie ściśle. Kreml ma koncepcję poróżnienia Polski z Ukrainą. Jest to bodajże kluczowe zadanie dyplomacji rosyjskiej w naszym regionie. Klasycznym przykładem tego jest sprawa budowy rurociągu dla ropy i gazu ziemnego, zaproponowanego Warszawie dla ominięcia, a potem połknięcia izolowanej Ukrainy.

Bohdan OSADCZUK

## Kronika kulturalna

### „Kup Polsce białego kruka”

Kiedy we wrześniu ubiegłego roku (w związku z organizowanym przez *Gazetę Wyborczą* poszukiwaniem starych druków skradzionych z Biblioteki Jagiellońskiej) znalazłem się w towarzystwie pana Włodzimierza Kalickiego, reportera *Gazety*, w domu aukcyjnym „Reiss u. Sohn” w Koenigstein, obawiając się, że nie uzyskamy dostępu do interesujących nas druków, podaliśmy się za potencjalnych nabywców: ja – jako przedstawiciel Biblioteki Narodowej, zainteresowanej niektórymi oferowanymi pozycjami, a Kalicki – jako przedstawiciel spółki „Agora” czyli potencjalnego sponsora. Podstęp się udał, pokazano nam książki. Dopiero później przyszło mi do głowy, że to sam w sobie nie jest zły pomysł i warto by go kiedyś wprowadzić w czyn.

Przypomniałem sobie o tym w lutym bieżącego roku, kiedy to do Zakładu Starych Druków Biblioteki Narodowej, miejsca mej stałej pracy, zgłosił się oferent z interesującą propozycją. Pan W. (na jego życzenie nie podaję pełnego nazwiska) miał do sprzedania ni mniej ni więcej tylko 13 inkunabułów w 7 tomach. Zacząłem od identyfikacji bibliograficznej i sprawdzenia, czy Narodowa ma już w swych zbiorach owe wydania. Okazało się, że nie jesteśmy zainteresowani tylko jednym woluminem, zawierającym aż pięć inkunabułów, ponieważ egzemplarze czterech z nich już mieliśmy. Natomiast pozostałe osiem druków w sześciu woluminach były dla nas bardzo atrakcyjne – żadnego nie było dotąd w Narodowej, a dwóch z nich – w ogóle w żadnej polskiej bibliotece. Pomny różnych wcześniejszych doświadczeń sprawdziłem teraz, czy któraś z tych książek nie zginęła z jakichś innych polskich zbiorów. Szczególnie dotyczyło to jednego druku wyłoczonego w Rzymie i stanowiącego wielką rzadkość – wedle pobieżnego przejrzania literatury światowej miałem w ręce piąty dopiero znany egzemplarz owego inkunabułu. Jeden z tych czterech znanych natomiast znajdował się w Polsce w

bibliotece Seminarium Duchownego w Pelplinie. (Jest to wspa-  
niała biblioteka i chociaż w czasie wojny jakiś dobry niemiecki  
specjalista starannie wybrał i – nazywając rzecz po imieniu –  
ukradł niemal wszystkie rzadkości, do dziś znajduje się tam po-  
nad pięćset inkunabułów, wśród nich jedyny egzemplarz w Pol-  
sce słynnej tzw. 42-wierszowej Biblii, pierwszego dużego druku,  
jaki wyszedł z tłoczni Gutenberga. Nawiasem mówiąc, egzem-  
plarz ten ocalał tylko dlatego, że w 1939 roku wywieziono go z  
Polski wraz z arrasami wawelskimi i razem z nimi wrócił do  
kraju w latach sześćdziesiątych). Wróćmy jednak do współczes-  
ności. Otóż zapragnąłem się upewnić, że ów rzymski druczek nie  
został ostatnio skradziony w Pelplinie. Skontaktowałem się tele-  
fonicznie z księdzem dyrektorem biblioteki i podając sygnaturę  
egzemplarza pelplińskiego poprosiłem o przyniesienie książki do  
telefonu. Kiedy ksiądz zrobiwszy to na moje życzenie zaczął mi  
czytać tekst wybranych miejsc druku, upewniłem się, że egzem-  
plarz pelpliński jest na miejscu, a ja mam w ręce inny. Spraw-  
dziłem też, że żaden z tych inkunabułów nie figuruje na liście  
naszych strat wojennych. Po tych wszystkich weryfikacjach mia-  
łem pewność, że żadna z tych książek nie jest „trefna” i nie ma  
przeciwwskazań, by legalnie trafiły do zbiorów Narodowej.

Przeciwwskazań nie było, za to była istotna przeszkoda: pie-  
niądze. Osiem inkunabułów, jakimi byliśmy zainteresowani,  
właściciel wycenił łącznie na 160.000 złotych (czyli prawie  
40.000 dolarów). Co prawda cena ta nie była w stosunku do  
wartości rynkowej owych druków zawyżona, ale nie widziałem  
specjalnych możliwości, by Biblioteka Narodowa mogła w  
aktualnych warunkach wyasygnować taką sumę. I właśnie dlate-  
go pomyślałem znowu o *Gazecie Wyborczej*. Skontaktowałem  
się z Włodzimierzem Kalickim, przedstawiłem mu całą sprawę.  
Pomysł mu się spodobał, ale nie od niego zależą decyzje w takich  
sprawach. Zaprosiłem więc do nas jego zwierzchniczkę, panią  
Małgorzatę Szejnert, którą poznałem przy okazji „przygody z  
Reissem” i którą miałem w bardzo dobrej pamięci. Podczas owej  
wizyty opowiedziałem nieco o inkunabułach, pokazałem trochę  
cennych druków z naszych zbiorów, a na koniec zaprezentowa-  
łem ową ósemkę do zakupu i zapytałem, czy *Gazeta* mogłaby  
nam w tym pomóc. Pani Szejnert pomysł się też spodobał i obie-  
cała przedstawić go „wyżej”. I rzeczywiście – już po dwu dniach  
miałem od niej telefon z konkretną propozycją: *Gazeta* sama  
zakupi nam jeden z tych druków, a dla pozostałych poszuka  
innych fundatorów. Teraz „maszyna ruszyła pełną parą”. Spor-  
ządziłem dla *Gazety* materiał informacyjny: co to są inkunabuły,

na czym polega ich wartość i znaczenie, dlaczego należy je  
kupować i czemu akurat do zbiorów Narodowej, no i oczywiście  
krótkie omówienia poszczególnych pozycji. Odtąd byłem w  
codziennych niemal kontaktach telefonicznych z panami  
Kalickim i Taraszkiewiczem (z działu promocji *Gazety*, prowa-  
dził całą akcję), bo co chwilę były potrzebne jakieś dokładniejsze  
informacje: tak to bywa na styku fachowiec i laik – dla mnie  
wiele rzeczy jest tak oczywistych, że zapominam, iż nie dotyczy  
to wszystkich ludzi...

Na razie cała sprawa nie była jeszcze nigdzie ujawniona w  
druku. Przedstawiciele *Gazety* kontaktowali się z coraz to  
innymi wielkimi instytucjami, proponując udział w akcji „Kup  
Polsce białego kruka” (slogan wymyślony w *Gazecie*). Każda  
firma, która zdecyduje się zakupić jedną pozycję z owych ośmiu,  
dostanie dyplom dobroczyńcy Biblioteki Narodowej, informacja  
o tym zakupie pojawi się w periodykach wydawanych przez  
naszą bibliotekę, do książki wklejony zostanie specjalnie wyko-  
nany ekslibris donacyjny i w końcu cała sprawa zostanie nagłoś-  
niona przez przewidzianą na zakończenie akcji wystawę darów  
połączoną z konferencją prasową. Tyle oferowała Narodowa,  
*Gazeta* ze swej strony – tylko jedno, ale za to nie byle jakiej  
wagi: każdorazowo informację o zakupie i krótki wywiad z  
przedstawicielem danej firmy na pierwszej i drugiej stronie wy-  
dania ogólnopolskiego...

Prędko znalazły się dwie pierwsze firmy, potem rzecz zaczęła  
się ślimaczyć: coraz to inne firmy-kolosalne interesowały się, chciały  
mnóstwo szczegółów, a po dwóch tygodniach zwłoki, przeka-  
zywano zwięzłą informację: „nie jesteśmy zainteresowani”. W tej  
sytuacji *Gazeta* postanowiła rozpocząć kampanię prasową, nie  
czekając na znalezienie wszystkich ośmiu donatorów. I znowu  
mogłem zaobserwować działanie profesjonalistów, kiedy podej-  
mowano decyzję o terminie opublikowania pierwszego materiału  
w ramach naszej akcji: w okresie przed świętami wielkanocnymi  
– nie, bo ludzie są zajęci czym innym, następne dwa tygodnie  
to sąsiedztwo „najdłuższego weekendu”, więc też nie, dobrym  
terminem będzie poniedziałek 8 maja.

I rzeczywiście 8 maja maszyna ruszyła. *Gazeta* wcześniej  
wybrała sobie druk, który sama dla nas zakupiła i już w pierw-  
szym materiale można było o nim napisać. Potem w odstępach  
dwu-, trzydniowych informowano o kolejnych firmach, które  
zdecydowały się wziąć udział w tej akcji. Ku zaskoczeniu zarów-  
no pracowników *Gazety* jak i mojemu, po ukazaniu się druko-  
wanej informacji o całej sprawie, firmami aż „sypnęło”. I nie

tylko firmami – z USA zgłosił chęć nabycia jednej pozycji pan Jan Jakub Tatarkiewicz, ponadto do redakcji *Gazety* dzwoniło wiele prywatnych osób, często naprawdę niedysponujących specjalnymi zasobami finansowymi, którzy w ramach swych skromnych możliwości chcieli się przyczynić do wzbogacenia Biblioteki Narodowej. Z przyczyn prawnych zresztą tej akurat gotowości nie można było, niestety, wyjść naprzeciw.

Wkrótce dostałem alarmujący telefon z *Gazety*: „Niech pan prędko szuka dalszych inkunabułów, bo chętnych będzie więcej, niż te osiem książek.” Skontaktowałem się z panem W.: Niech pan prędko szuka dalszych inkunabułów, bo jest szansa, że da się kupić więcej! Pan W. stanął na wysokości zadania i zaferował nam jeszcze dwa druki, już nie tak cenne, jak ta pierwsza ósemka, ale także takie, jakich Narodowa dotąd nie miała. Skontaktowałem się także z panem Januszem Pawlakiem z krakowskiego antykwariatu „Rara avis”, skąd udało się zdobyć dla naszej akcji dwa skromne objętościowo, ale bardzo rzadkie inkunabuły (oba to pierwsze egzemplarze danych edycji w Polsce).

Ostatecznie 10 instytucji i 1 osoba prywatna kupiły Bibliotece Narodowej 12 inkunabułów za sumę 220.000 zł (czyli ok. 50.000 dolarów) – pefen ich wykaz podaje na końcu (bibliotekarze by mi nie darowali, gdyby go zabrakło). A tymczasem chcę omówić kilka aspektów tej bezprecedensowej w wolnej Polsce akcji – i ta część niniejszego tekstu adresowana jest właśnie do nie-bibliotekarzy (bo dla nich są to sprawy w większości oczywiste).

Zacznijmy od spraw podstawowych – co to takiego owe inkunabuły. To inaczej mówiąc druki z XV wieku, a więc też stare druki, a jednak z reguły wyodrębniane i omawiane osobno. Bo też i różnią się zdecydowanie od książek drukowanych później. Szczerze mówiąc, poza tym, że wyszły spod pras drukarskich, swym kształtem zewnętrznym znacznie bardziej przypominają rękopisy: nie mają najczęściej strony tytułowej, numerowania kart ani stron, zachowują przejęte z tradycji rękopiśmiennej formułki i obfitość skrótów powodującą, iż nieobeznany czytelnik nie ma wielkich szans na zrozumienie tekstu. Nierzadko też są ręcznie ozdabiane (wielobarwne inicjały, bordiury, ozdobne ramki itp.) przy użyciu tak wspaniałych kolorów, że obecna poligrafia może tego tylko pozazdrościć. Słowem – są to książki niecodziennie piękne.

Ale nie uroda wyłącznie stanowi o ich wartości. Przeciętny człowiek naszego przełomu tysiącleci nie uświadamia sobie, jakim przełomem było wynalezienie druku – i nie mówię tu tylko o

rewolucji technicznej, była to przede wszystkim rewolucja kulturowa. Łatwość wytwarzania wielu egzemplarzy tego samego tekstu (w porównaniu z poprzednio stosowanym, niebywale czasochłonnym przepisywaniem ręcznym) zasadniczo zmieniła zasięg oddziaływania książki i na dobrą sprawę dopiero od wynalezienia druku możemy mówić o zjawisku coraz bardziej masowego czytelnictwa. Dobrze pojęcie o tym dają dane o nakładach: pierwszą swą Biblię Gutenberg wydał w r. 1454/5 w ok. 150 egzemplarzach, a pod koniec XV stulecia niektóre druki osiągały już kilka tysięcy nakładu.

Czym są inkunabuły dla ludzi nauki dzisiaj? Przede wszystkim materiałem do dwojakich badań. W większości druków XV-wiecznych nie zamieszczono informacji dla nas pierwszorzędno znaczenia, a mianowicie kto, gdzie i kiedy książkę wydrukował. Ustalanie tego rodzaju danych drogą żmudnych porównań, poszukiwań wśród dokumentów, najrozmaitszymi, często wręcz detektywistycznymi metodami – to jedna dziedzina i trzeba dodać, że ciągle dokonuje się w niej nowych ustaleń. Co najmniej jednak tak samo ciekawe jest badanie recepcji owych książek. W tamtych czasach do powszechnego zwyczajów należało, że użytkownik wpisywał w książce swój tytuł własności, okoliczności wejścia w posiadanie, darowizny, refleksje z lektury, notatki kronikarskie i najrozmaitsze inne notatki, jak np. zaklęcia przeciw złodziejom książek (jak widać, nie nowy to proceder). Wszystko to stanowi bezcenny materiał do badań czytelnictwa w tamtych czasach, czyli po prostu historii kultury.

Naturalnie wpięrow należy każdy inkunabuł zidentyfikować bibliograficznie, potem dopiero badać jego cechy indywidualne. Zainteresowanie inkunabułami jako osobnym rodzajem książki narodziło się w XIX wieku, ale prawdziwy rozwój tej dziedziny nauki to wiek XX. Wielkie biblioteki publikowały katalogi swoich zbiorów inkunabulistycznych, potem pojawiły się katalogi „centralne” czyli obejmujące wszystkie zbiory z terenu danego państwa. W Polsce do prac nad takim katalogiem przystąpił w okresie międzywojennym Kazimierz Piekarski, kierownik Zakładu Starych Druków Biblioteki Narodowej. Do wybuchu wojny zarejestrowano ok. 15 000 inkunabułów w kilkudziesięciu polskich bibliotekach i było to ok. 4/5 tego, co się wówczas na terenie Polski znajdowało. W czasie wojny w tajemnicy przed Niemcami sporządzono skrótowną kopię owego materiału, którą prof. Alodia Kawecka-Gryczowa wyniosła na własnych plecach z popowstaniowej Warszawy. I ten właśnie maszynopis stał się punktem wyjścia dla podjętych na nowo prac nad centralnym

katalogiem inkunabułów w Polsce. Główny zrab tego katalogu, w dwu woluminach, ukazał się drukiem w 1970 roku pod tytułem „Inkunabuły w bibliotekach polskich”. Uzyskał, o czym wielokrotnie miałem okazję przekonać się osobiście, ogromne uznanie wśród inkunabulistów na całym świecie. W 23 lata później ukazał się następny tom tego wydawnictwa, który oprócz dodatków zawierał osobny, bezprecedensowy, katalog naszych strat wojennych – to właśnie ten wyniesiony przez Alodię Kawecką-Gryczową maszynopis pozwolił ustalić, cośmy stracili.

A straty są przerażające – objęły prawie jedną trzecią zarejestrowanych do września 1939 druków. Najgorzej los obszedł się z Biblioteką Narodową – była to przed wojną druga (po Jagiellonce) biblioteka w Polsce, jeśli chodzi o zasobność w inkunabuły: było ich 2248. Z tego – przez czysty przypadek – ocalały 3... A 2245 zostało z całkowitym rozmysłem i dużym nakładem pracy spalone przez Niemców już po upadku Powstania Warszawskiego.

Obecnie, po 55 latach gromadzenia – zakupów, darowizn, przejętych bibliotek podworskich i poniemieckich, Biblioteka Narodowa doszła do 1100 egzemplarzy.

A przecież to właśnie Narodowa utrzymuje prymat w polskich badaniach inkunabulistycznych. Do nas zgłaszają się bibliotekarze z całej Polski, kiedy mają trudności ze swoimi inkunabułami. Pomagamy im chętnie, choć ciągle potykamy się o niedostatek materiału porównawczego. I tu, w Narodowej, trwają także prace nad przygotowaniem trzeciego tomu „Inkunabułów w bibliotekach polskich”, który ma zawierać właśnie zebrany i usystematyzowany materiał proweniencyjny czyli informacje o wszelkich dawnych właścicielach i czytelnikach owych książek, którzy w jakikolwiek sposób zechcieli się w nich uwiecznić. Będzie to fundamentalny materiał źródłowy dla badaczy recepcji kultury, zwłaszcza w XV i XVI wieku i praca pionierska w skali światowej.

Dlatego właśnie akcja „Kup Polsce białego kruka”, pierwsza tego rodzaju w III Rzeczypospolitej, ma tak wielkie znaczenie. Cieszył nas ogromny rezonans społeczny, cieszą nas owe dary, które – jestem tego pewien – nie raz okażą się niezastąpione w naszych badaniach. Mamy też nadzieję, że i w przyszłości Biblioteka Narodowa będzie się spotykać z podobną spontaniczną hojnością tych, którzy rozumieją ogromne znaczenie tej sprawy dla polskiej kultury..

Na koniec obiecana lista darów:

1. IACOBUS de Voragine: Sermones. P. 2: De sanctis. Venezia, Sim. de Luere pro Laz. de Soardis, 20 X 1497.4°. C 6525. IBP 3024.  
Dar *Gazety Wyborczej*.
2. RUFINUS Aquileiensis: Expositio symboli contra Jovinianum haeticum.  
[Koeln, Ulr. Zell, ca 1470].4°. H\* 8578. IPB-.  
Dar firmy BUDIMEX.
3. Pseudo-BERNARDUS Claravallensis: Meditationes de interiori hornine etc.  
[Milano, Ulr. Scinzenzeller, ca 1495].4°. GW4035. IBP-.  
Dar firmy LG PETRO BANK S. A.
4. MAYRONIS Franciscus de: Super primo libro Sententiarum.  
Basel, Nic. Kessler, 15 X 1489. 2°. H\* 10535. IBP 3674.  
Dar firmy Price WaterhouseCoopers Polska Sp.Z o.O.
5. ANDREAE Ioannes: Summa de sponsalibus et matrimoniis.  
[Roma, Steph. Planck. 1491-1500].4°. GW 1747. IBP 329.  
Dar firmy ELEKTRIM S.A.
6. HEROLT Ioannes: Liber Discipuli de eruditione Christifidelium.  
[Strasbourg, Iac. Eber, ca 1483]. 2°. HC\* 8518. IBP 2731.  
Dar Pana Jana Jakuba Tatarkiewicza.
7. EUSEBIUS Caesariensis: De evangelica praeparatione. Venezia, Bern. Benalius, 31 V 1497. 2°. GW 9444. IBP 2099.  
Dar Banku Gospodarki Żywnościowej.
8. CRESCENTIIS Petrus de: Ruralia commoda. Strasbourg, [Typ. Iordani=Ge. Husner], 9 III 1486. 2°.

GW 7824. IBP 1806.

Dar Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych.

9. PELBARTUS de Themeswar: *Stellarium coronae Beatae Mariae Virginis*.

[Basel, Jac. Wolff de Pforzheim, 1497/1500]. 4°.

HC\* 12562. IBP 4224.

Dar Banku Gospodarki Żywnościowej.

10. MODUS legendi abbreviaturas cum aliis tractatibus iuridicis.

Nuernberg, Ant. Koberger, 23 IV 1494. 4°.

HC\* 11486. IBP 3820.

Dar firmy MOBIL OIL POLAND.

11. THOMAS de Aquino s.: *De articulis fidei et ecclesiae sacramentis*.

[Roma], Barth. Guldinbeck, 8 II 1482. 4°.

H\* 1443. IBP-.

Dar Firmy Farmaceutycznej GUIDANT.

12. Pseudo-BERNARDUS Claravallensis: *Speculum de honestate vitae etc.*

[Roma], Steph. Planck, ca 1485. 4°.

GW 4075. IBP-.

Dar firmy Schering AG – Dział Onkologiczny.

*Michał SPANDOWSKI*

## WYRÓŻNIENIA POLCUL FOUNDATION

W dniu 14 sierpnia 2000 r. Dyrekcja Fundacji POLCUL przyznała dalszych 19 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

Józef BARAN – za działalność kulturalną na terenie

Strzelna; Bogumiła BERDYCHOWSKA – za pracę na rzecz tolerancji i dobrych stosunków z sąsiadami Polski; Jacek BROŻEK – za działalność kulturalną i ochronę środowiska; Marek BRAND – za pracę w grupie teatralnej „Winda” w Gdańsku; Joanna BRĄSKA – za działalność na rzecz zbliżenia polsko-żydowskiego; Genowefa CYMAN – za pracę w Domu Pomocy Społecznej w gminie Pelplin; o. Roman DEYNA – za pracę w Domu Pojednania i Spotkań w Gdańsku; Ludmiła GAJCZEWSKA – za pracę w Towarzystwie Polsko-Serbo-łużyckim; Lech GOLCZYŃSKI – za pracę na rzecz niepełnosprawnych w Łodzi; Henryka KRZYWONOS-STRYCHARSKA – za prowadzenie Rodzinnego Domu Dziecka w Gdańsku; Maria KULCZYŃSKA-SUCHOCKA – za pracę społeczną na rzecz samotnych matek i bezdomnych; Leokadia ŁUSZCZ – za prowadzenie jadłodajni dla bezdomnych w Słupsku; Irena MIELEWCZYK – za pracę społeczną na terenie Gdyni; Jan OBERBEK – za pracę w Stowarzyszeniu Sacro-Art w Krakowie; o. Stanisław OBIREK – za pracę w Centrum Kultury i Dialogu w Krakowie; Krzysztof ORSZAGH – za działalność w Stowarzyszeniu Przeciw Zbrodni im. Jolanty Brzozowskiej; Maria ROGOWSKA – za pracę w Fundacji im. Matki Teresy z Kalkuty w Krakowie; Teresa ZALESKA – za pracę na rzecz osób niepełnosprawnych; Zygmunt WALKOWSKI – za pracę na rzecz dokumentacji walk 1939-1945.

Z wymienionych osób:

5 – otrzymuje wyróżnienia im. Ireny i Karola Dowoyna-Sylwestrowicz;

4 – otrzymują wyróżnienia im. Krystyny i Bolesława Singler;

2 – otrzymują wyróżnienia im. Eudoksji Rakowskiej;

3 – otrzymują wyróżnienia im. Staszki Kuratczyk i Zochy Nawojowskiej.

Informacje w sprawie kryteriów wyróżnień oraz zgłaszania kandydatów można otrzymać od przedstawicieli Fundacji POLCUL w Polsce. Są to:

– Jan HANASZ

ul. Krasińskiego 57 m. 10, Toruń, tel. (056) 62 82 06 oraz

Anna KONDRACKA

ul. Bogusławskiego 20 m. 80, Warszawa, tel. (022) 663 26

lub też zwracając się wprost do:

POLCUL FOUNDATION

P.O. Box 193

ROSE BAY, NSW 2029, Australia

tel. (61-2) 9326 2863

Fax: (61-2) 9331 5697

UWAGA: Fundacja wyróżnia wyłącznie osoby indywidualne. Wysuwanie własnej kandydatury nie jest możliwe.

## IKA – INTERNETOWA KSIĘGARNIA AKADEMICKA

Internetowa Księgarnia Akademicka powstała w Lublinie z inicjatywy Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Jej organizacją zajmuje się Wydawnictwo Uniwersytetu.

Księgarnia ma na celu ułatwienie dostępu do polskich książek naukowych, wydawanych przez wszystkie polskie uczelnie.

Pierwszy etap działalności obejmuje połączenie wydawnictw uniwersytetów polskich. Umożliwi to prezentację i nabycie przez czytelnika około 12 000 tytułów znajdujących się w zasobach magazynowych wydawnictw uniwersyteckich. Są to często książki niskonakładowe, których dystrybucja ze względu na ich specjalistyczny charakter jest o wiele trudniejsza. Księgarnia IKA będzie spełniała dwie podstawowe funkcje: dostarczała szczegółowych informacji bibliograficznych o książkach (reprodukcja okładki, opis, funkcja wyszukiwania) oraz umożliwiała złożenie zamówienia na wybrane publikacje. Trzeba podkreślić, że IKA nie jest przedsięwzięciem komercyjnym; służyć ma przede wszystkim usprawnieniu przepływu informacji między czytelnikiem i wydawcą uczelnianym. Będzie tym samym promować nie tylko polskie książki naukowe, ale również dorobek polskich uczelni.

Następny etap rozwoju księgarni internetowej to włączenie do jej oferty publikacji innych wydawnictw uczelnianych, zrzeszonych w Stowarzyszeniu Wydawców Szkół Wyższych (oficyny wydawnicze uczelni ekonomicznych, politechnik, wyższych szkół pedagogicznych, wyższych szkół rolniczych i innych). Umożliwi to prezentację około 40 000 tytułów.

Strona internetowa księgarni jest dostępna pod domeną:  
[www.ika.edu.pl](http://www.ika.edu.pl)

## Notatki Redaktora

Przygotowuje się nowelizację ustawy kombatanckiej, by umożliwić korzystanie z należnych uprawnień kombatanom – ofiarom represji z okresu 1968-89 oraz konspiracyjnych struktur NSZZ „Solidarność”. Idzie o „wyrównanie krzywd i rekompensatę materialną poszkodowanym aktywistom”. Klasyfikacyjny przykład TKM.

Ale to nie wszystko. Otrzymaliśmy jako druk poufny anonimowy „Projekt powołania do życia stowarzyszenia kombatanów, weteranów i ofiar zimnej wojny także na Zachodzie”. Stwierdza się bowiem, że zimna wojna była na Zachodzie wojną prawdziwą, na froncie której padały ofiary. Po wymienieniu dosyć zaskakujących przykładów, projekt stwierdza: „Rzecz jasna ‘zimna wojna’ miała liczne ofiary w kraju, a wśród nich ludzi o różnych poglądach i rodowodach ideowych, w tym także komunistów uznawanych w pewnym momencie przez aparat władzy za wrogów ustroju”.

Inflacja Sienkiewicza. Oprócz „Quo vadis” realizowanego ogromnym kosztem, przygotowują się dwa filmy z „Krzyżaków”. Oprócz wersji Jarosława Zamojdy (premiera planowana na wiosnę 2002) ma być też film w reżyserii Bogusława Lindy. Czyżby te inicjatywy miały służyć zbliżeniu polsko-niemieckiemu?

Jak prasa donosi, warszawskie metro zamówiło w Hiszpanii 24 wagony. Będą włączone do taboru metra już we wrześniu bieżącego roku. Czy nie można było zamówić ich w kraju? A jak przedstawia się produkcja taboru dla Polskich



Kolei Państwowych? W okresie Drugiej Rzeczypospolitej Zakłady Cegielskiego w Poznaniu produkowały znakomity sprzęt kolejowy, który wzbudził duże zainteresowanie na Światowej Wystawie w Nowym Jorku w maju 1939 r.

●

Jak funkcjonuje wymiar sprawiedliwości? Marian Zagorny, aresztowany za wysypywanie zboża, został potraktowany w sposób dosyć wyjątkowy, bo nawet nie odebrano mu komórkowego telefonu, przez który mógł porozumiewać się ze swoimi zwolennikami. Gdy w Nowym Sączu miała odbyć się rozprawa apelacyjna w innej jego sprawie, to została odroczone z powodu jego nieobecności. Sąd bowiem nie wiedział gdzie się on znajduje. Jak to ustalili, to wysłał mu wezwanie na kolejną rozprawę. Jednocześnie nie brakuje interwencji różnych działaczy politycznych w jego obronie. Tak wygląda nasz wymiar sprawiedliwości.

●

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich znajduje się w sytuacji dramatycznej. W roku bieżącym otrzymało ono z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, zamiast sumy zaplanowanej w budżecie, jedynie 12%, z czego do tej pory wypłacono 4%. Dom Literatury jest prawie zrujnowany, a Dom Pracy Twórczej w Oborach, który był tak cenną pomocą dla wybitnych pisarzy, jest zagrożony.

●

Prasa szwedzka szeroko komentuje wystąpienie p. Kuleszy z 9 sierpnia o konieczności ekstradycji b. prokuratora Stefana Michnika. Ponieważ prawnicy polscy doskonale wiedzą, że ekstradycja obywatela szwedzkiego do kraju pozanordyckiego jest wykluczona, zapewne chodzi o zrobienie przykrości Adamowi Michnikowi, którego działalność jest coraz bardziej niewygodna w kampanii wyborczej.

REDAKTOR

## Książki

### Zbawienie pochodzi od Żydów

Romuald Jakub Weksler-Waszkinel jest katolickim księdzem. O tym, że jest ocalałą z Holocaustu „częstką żydowskiego świata” dowiedział się w dwunastym roku swego kapłaństwa, już jako asystent na Wydziale Filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Urodził się (najprawdopodobniej) 28 lutego 1943 roku w litewskich Starych Święcianach koło Wilna, na kilka tygodni przed likwidacją tamtejszego getta. Był drugim synem Jakuba i Betii Wekslerów. Wychowywali go przybrani polscy rodzice: Piotr i Emilia Waszkinelowie. Dziwna to i wzruszająca biografia – *nota bene* sfilmowana przez Grzegorza Linkowskiego: „W gwiazdę Dawida wpisany krzyż” (2 TVP) – która pokazuje, na przykładzie losów jednego człowieka, szczególne więzi istniejące między chrześcijaństwem i judaizmem oraz skomplikowane dzieje polsko-żydowskie.

Ks. Weksler-Waszkinel jest autorem wydanej w tym roku książki „Błogosławiony Bóg Izraela”, będącej swoistym świadectwem drogi życiowej i intelektualnej autora. Tom składa się z trzech części: „Ojcowie żywi” (szkice o relacjach chrześcijańsko-żydowskich); „Aż się wszystko wypełni” (eseje filozoficzne na temat Henri Bergsona, Emmanuela Levinasa, Edyty Stein – „wielkich świadków i nauczycieli ponurego stulecia”); „Ojczyzna” (świadectwo trudnego losu Żyda, będącego księdzem katolickim). Wszystkie teksty tworzące tę książkę powstały w latach dziewięćdziesiątych i jest w nich obecna przede wszystkim problematyka religijno-społeczna rozpatrywana w aspekcie teologiczno-filozoficznym. We wprowadzeniu do książki autor pisze: „Teologiczna refleksja

chrześcijan nad judaizmem jest bardzo potrzebna chrześcijaństwu, aby mogło jak najprędzej i skutecznie przewyciężyć oraz usunąć ze świadomości wiernych rozprzestrzeniający się przez wieki w świecie chrześcijańskim błąd antyjudajizmu oraz, na glebie antyjudajizmu wyhodowany, i również przez wieki podtrzymywany, chrześcijański antysemityzm” (s. 10).

Teksty zebrane w książce Wekslera-Waszkinela ukazują chrześcijaństwo wyłaniające się z biblijnego judaizmu i w judaizmie zakorzenione. Zdaniem autora świadomość łączności z judaizmem stanowi o tożsamości całego Kościoła powszechnego. Zdaje on sobie sprawę, że wielu chrześcijan próbowało szukać swych początków gdzie indziej, ale wszystkie takie próby „nowego zakorzenienia” Kościoła – począwszy od Marcjana, a skończywszy na Feliksie Konecznym – okazywały się „zdradą samego chrześcijaństwa” (s. 11). Konsekwentnie przypomina przez wielu zapomnianą prawdę, iż „żywy i święty jest Kościół, bo w żywy i święty korzeń został wszczepiony” (Rz 11, 17-18).

Autor książki pyta o przyczyny rodzących się postaw antysemickich w Kościele rzymskokatolickim. Wskazuje na trzy najważniejsze błędy, funkcjonujące w nauczaniu Kościoła do czasów Vaticanum II. Pierwszy z nich łączy się z rozpowszechnianą przez dziewiętnaście wieków historii chrześcijaństwa opinią, iż wszyscy Żydzi, we wszystkich pokoleniach, obciążeni są winą za śmierć Chrystusa (zarzut Bogobójstwa). Dopiero Sobór Watykański II, w latach sześćdziesiątych XX wieku stwierdził, iż „(...) to, co popełniono podczas Jego męki, nie może być przypisywane ani wszystkim bez różnicy Żydom wówczas żyjącym, ani Żydom dzisiejszym” (*Nostra aetate* nr 4). Dokumenty soborowe podważają również opinię, że Żydzi zostali przez Boga przeklęci i odrzuceni (teoria odrzucenia Żydów), uznając ją za błąd doktrynalny. Trzeci błąd, obecny w wypowiedziach nawet tych bardziej świątłych duchownych (lecz nie do końca uświadomionych), związany jest z tezą, iż chrześcijaństwo zastąpiło Izraela, i że jest obecnie nowym i prawdziwym (*versus*) Izraelem (teoria zastępstwa). Chrześcijanie szybko zapomnieli o tym, iż właśnie synowie Izraela (Apostołowie i pierwsi uczniowie) oraz jego córki (Maryja matka Jezusa oraz grono usługujących mu za życia niewiast) przyjęli i rozpowszechnili Orędzie Jezusa z Nazaretu.

Sobór stwierdza: „Żydzi nadal ze względu na swych przodków są bardzo drodzy Bogu” i nie przestali być „Narodem Wybranym przez Boga”. „Teoria zastępstwa – pisze autor tomu – wygenerowana i głoszona tylko w środowisku chrześcijańskim – niosła *de facto* ideę eliminacji Żydów. (...) Wniosek wydaje się oczywisty: chrześcijanin przeżywający Wielki Jubileusz Roku 2000, chrześcijanin wchodzący w trzecie tysiąclecie, winien oczyścić pamięć z antysemickiego skażenia” (s. 15). Teologom chrześcijańskim w akcji tym pomóc może postulat uprawiania prawdziwie chrześcijańskiej „teologii Izraela”, która może stać się podstawą rzetelnego dialogu chrześcijańsko-żydowskiego.

Według autora omawianej pozycji, najważniejszym wydarzeniem mijającego wieku w rozwoju dialogu międzyreligijnego jest pielgrzymka papieża Jana Pawła II do Izraela, podczas której prosił on Boga o „przebaczenie za postępowanie tych chrześcijan, którzy przysporzyli cierpienie synom Izraela”, a słowa tej modlitwy „powierzył niejako Ścianie Płaczu, podobnie jak czynią to pobożni Żydzi” (s. 17). Widać zresztą, że postać obecnego papieża jest dla Romualda Jakuba Wekslera-Waszkinela osobą niezwykle ważną. Jemu to, jako pierwszemu, po odkryciu swych żydowskich korzeni, powierzył życiową tajemnicę. Jemu towarzyszył podczas ostatniej wizyty w Polsce na Umschlagplatze. Jemu wreszcie, „następcy Szymona Piotra, rybaka z Galilei, jednemu z największych Polaków” dedykował „z synowskim oddaniem” swoją najnowszą pracę. Cały tom otwiera zresztą wzruszająca modlitwa Ojca Świętego w intencji ludu żydowskiego, a kończy, napisana dla uczczenia pamięci Jerzego Turowicza, relacja z nabożeństwa chrześcijańsko-żydowskiego z udziałem papieża w dniu 11 czerwca 1999 roku w Warszawie.

Weksler przypomina także niepopularną w samym Kościele prawdę, iż Zagłada Żydów dokonała się w chrześcijańskiej Europie, że w większości oprawcami byli ludzie ochrzczeni. Stawia poważne pytanie o formację chrześcijańską współczesnych Europejczyków. Słusznie więc za sprawę najpilniejszą, bo kształtującą katolików XX wieku w Polsce, uważa usunięcie z Biblii Tysiąclecia, pochodzących od redakcji śródtytułów w rodzaju: „Odrzucenie Żydów” (Łk 13, 22); „Jezus odrzucony przez swój naród” (Mt 27, 15; Mk 15, 6;

Łk 23, 17), „Pierwsze nawrócenie Żydów” (Dz 2, 37), czy też skandalicznych przypisów jednoznacznie oskarżających Żydów o Bogobójstwo (Mt 27, 25) oraz komentarzy, objaśniających przypowieść o nieurodzajnym drzewie figowym jako symbolu bezpłodnego Izraela (Mt 21, 18).

W kontekście całej książki dziwnie brzmią słowa, iż „o wrogości chrześcijan do Żydów nie słyszał ani w domu, ani w Seminarium Duchownym”, a właściwie właśnie wtedy (w Seminarium) przestał bać się „Żyda” i „zakochał się w Żydzie: Jezusie z Nazaretu” (s. 152). Co więcej, w Seminarium pojawiły się pierwsze myśli u księdza, że „byłoby cudownie”, gdyby naprawdę był Żydem (s. 166). Cieszy fakt, iż istniały już przed Soborem w Polsce takie seminaria duchowne i środowiska kościelne. Z drugiej jednak strony zastanowić się należy, skąd nadal czerpią swoją „wiedzę” na temat judaizmu i gdzie nabywają formację ci kapłani (a jest ich niemało), którzy w homiliach szkalują Żydów, demaskując przy okazji swoją ignorancję? Kto nauczył ich tego, że Synagoga jest „córką diabła”? Gdzie kształtowany jest ten częstokroć pełen wrogości i antysemickich sloganów język? I dlaczego ci sami księża akceptują w witrynach księgarń przykościelnych antysemickie i antyjudaistyczne wydawnictwa? Dlaczego w Radiu Maryja pozwala się na wygłaszanie „prawd” na temat Holokaustu i opowiada antyżydowskie dowcipy? I wreszcie, w jaki sposób to wszystko, co dzieje się w niektórych środowiskach kościelnych, koresponduje z wypowiedzią Jana Pawła II, iż „(...) antysemityzm nie ma żadnego usprawiedliwienia i zasługuje na bezwzględne potępienie”?

Książka ks. Wekslera-Waszkina spełnia bardzo ważne zadanie edukacyjne – uświadamia wszystkim „synom Kościoła” prawdę, iż odrywanie Jezusa Chrystusa od jego naturalnego, żydowskiego środowiska, jest w efekcie pozbawianiem go tożsamości. Akty nienawiści kierowane względem Jego braci w ciele oraz Synagogi, są *de facto* postawami antykościelnymi! Bowiem Chrystus był, jest i na wieki pozostanie Żydem, o czym przypomina wierzącym między innymi Katechizm Kościoła katolickiego. „Chrześcijaństwo gardząc judaizmem, wyrzucając Żydów, wyrzuca samego Jezusa, Jego Matkę, wszystkich Apostołów, ze św. Pawłem włącznie. A wówczas – przestaje być chrześcijaństwem. Dziedzictwo Jezusa,

Syna Bożego – ale również Syna Maryi – jest w religijnym dziedzictwie Izraela. Tak chciał Bóg” (s. 167).

W publikowanej w książce rozmowie z redakcją lubelskiego kwartalnika *Scriptores Scholarum* na pytanie, dlaczego tak wielu Żydów, zafascynowanych ideą chrześcijaństwa w czasach przedsoborowych, odmawiało przyjęcia chrztu, ks. Weksler-Waszkina odpowiedział: „Jakże głęboko antyjudaizm zainfekował doktrynę Kościoła, skoro chrzcząc Żyda, ksiądz wymawiał słowa: *Horresce Judaicam perfidiam, respue Hebraicam superstitionem* (Miej wstręt do żydowskiej perfidii, wypluj hebrajski przesąd)” (s. 165). Dzięki lekturze książki Wekslera jakoś łatwiej zrozumieć tych, którzy jak Henri Bergson do końca życia nie byli w stanie zdecydować się na chrzest. A co mogli czuć w swym sercu Edyta Stein czy Aleksander Wat słysząc te słowa? Ile bólu sprawiały one w kontekście przeżywanych w dzieciństwie żydowskich świąt i tradycji kultywowanych w domu rodzinnym...

Cała książka utrzymana jest w klimacie wielkiej szczerości i otwarcia. Książka mówi również o swoim osobistym, odczuwalnym krzyżu jakim jest celibat – brak możliwości posiadania własnej rodziny, który jest problemem dla wielu duchownych.

Uważnego czytelnika może nastroić polemicznie Wstęp do książki autorstwa Abpa Józefa Życińskiego. Dzieje się tak, bowiem Metropolita Lubelski dostrzega w tomie „Błogosławiony Bóg Izraela” „rys świadectwa dwóch odrębnych światów”, „dwóch duchowych tradycji”. Czy chrześcijaństwo i judaizm to rzeczywiście dwa „odrębne światy”? Pierwsi chrześcijanie (wywodzący się z Izraela) po przyjęciu chrztu nie przestawali być Żydami, nadal praktykowali judaizm. U źródeł obu systemów leży przecież wiara w tego samego – Jedyne Boga, a wizja człowieka, a więc antropologia w swych podstawowych założeniach jest również tożsama. O fakcie tym przypomina w Posłowie do książki ks. prof. Michał Czajkowski, przywołując Katechizm Kościoła katolickiego: „Przybycie mędrców do Jerozolimy, by „oddać [Królowi żydowskiemu] pokłon” (Mt 2, 2), pokazuje, że szukają oni w Izraelu, w mesjańskim świetle gwiazdy Dawida, Tego, który będzie królem narodów. Ich przybycie oznacza, że poganie tylko wtedy mogą odkryć Jezusa i wielbić Go jako Syna

Bożego i Zbawiciela, gdy zwrócą się do Żydów (por. J 4, 22) i przyjmą od nich obietnicę mesjańską, która jest zawarta w Starym Testamencie”. „Kto spotyka Jezusa Chrystusa – spotyka judaizm” – mówił w Moguncji 17 listopada 1980 roku Jan Paweł II do tamtejszej wspólnoty żydowskiej...

Tom „Błogosławiony Bóg Izraela” kończy niezwykle wartościowy Appendix, zawierający dokumenty Kościoła rzymskokatolickiego na temat Żydów i judaizmu (Deklaracja o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich *Nostra aetate*, nr 4; dokumenty Komisji do spraw kontaktów religijnych z judaizmem, najważniejsze wypowiedzi Jana Pawła II, a także List pasterski Episkopatu Polski).

Sławomir J. ŻUREK

Romuald Jakub Weksler-Waszkinel, „Błogosławiony Bóg Izraela”, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 2000, ss. 280.

## Nadesłane nowości wydawnicze

BAZIAK (Jolanta). *Pół szyby światła*. Str. 104. Instytut Wydawniczy Świadek, Bydgoszcz 2000.

BAKOWSKI (Michał). *Votum separatum*. Str. 190. Kontra, Londyn 2000.

*Bibliografia Europy Wschodniej*. Bibliografia ukraińska 1991-1993. Oprac. Helena Arkusza. Str. 286. Studium Europy Wschodniej UW, Warszawa 1999.

BONOWICZ (Wojciech). *Hurtownia ran*. Str. 31. Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2000.

*Dopóki jest „Dziennik” – jestem*. Praca zbiorowa pod redakcją Katarzyny Bzowskiej. Wstęp Rafał Ha-

bielski. Str. 416. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 2000.

GAŁCZYŃSKA (Kira). *Zielony Konstanty czyli opowieść o życiu i poczciwości Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego*. Str. 383. Książka i Wiedza, Warszawa 2000.

GRABOWSKI (Artur). *Ziemny początek*. Str. 53. Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2000.

KAŁUSKI (Marian). *Cienie, które dzielą... Zarys stosunków polsko-żydowskich na Ziemi Drohobyckiej*. Str. 156. Wydawnictwo von Borowiecky, Warszawa 2000.

KAŁUSKI (Marian). *Wypełniali przykazanie miłosierdzia*. Polski

Kościół i polscy katolicy wobec holocaustu. Str. 178. Wydawnictwo von Borowiecky, Warszawa 2000.

KOBIERSKI (Radosław). *Wiek rębny*. Str. 119. Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2000.

KOMARNICKI (Wacław). *O ustroju państwa i konstytucji*. Wstęp, wybór i opracowanie Stanisław Kilian. Str. 247. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2000.

KOŚCIAŁKOWSKA (Janina). *Bih me!* Wstęp, opracowanie i przypisy Wacław Lewandowski. Str. 211. OPEN, Warszawa 2000.

LATAWSKI (Paul). *The Transformation of the Polish Armed Forces: Preparing for NATO*. Str. 66. The Royal United Services Institute for Defence Studies, 1999.

LEWANDOWSKI (Wacław). *Józef Mackiewicz. Artyzm. Biografia. Recepcja*. Str. 365. Kontra, Londyn 2000.

*Literatura polska od średniowiecza do końca XVIII wieku*. Antologia w języku polskim i angielskim. Wybór i przekład Michael J. Mikoś. Str. 682. Constans, Warszawa 1999.

MAGOCZI (Paul Robert). *Of the Making of Nationalities. There is No End*. Vol. 1 : Carpatho-Rusyns in Europe and North America. Wstęp Christopher M. Hann. Str. 482. Columbia University Press, New York 1999.

MAGOCZI (Paul Robert). *Of the Making of Nationalities. There is No End*. Vol. 2 : Speeches, Debates, Bibliographic Works. Wstęp Tom Trier. Str. 536. Columbia University Press, New York 1999.

MICHAŁOWSKI (Witold St.). *Testament barona Ungerna*. Str. 205. Wydawnictwo AMBER, Warszawa 2000.

MIŁOSZ (Czesław). *Wypisy z książek użytecznych*. Str. 344. Wydawnictwo Znak, Kraków 2000.

MISZCZAK-MATUSZEWSKA (Ewa). *Zatruta studnia. Impresje poetyckie*. Str. 63. Fundacja Sztuki na Rzecz „Integracji”, Warszawa 2000.

MROŻEK (Sławomir). *Dziennik powrotu*. Str. 264. Noir sur Blanc, Warszawa 2000.

NAJDER (Zdzisław). *Sztuka i wierność*. Szkice o twórczości Josepha Conrada. Str. 255. Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2000.

ODROWĄŻ-PIENIAŻEK (Janusz). *Małżeństwo z Lyndą Winters albo pamiątka po Glorii Swanson*. Str. 127. Iskry, Warszawa 2000.

ORLIKOWSKI (Janusz). *Martwa natura z pętelką*. Str. 55. Stowarzyszenie Twórcze Krakowski Klub Artystyczno-Literacki, Kraków 2000.

*Polska-Japonia 1919-1999*. Chopin-Polska-Japonia. Wystawa z okazji 80. rocznicy nawiązania stosunków oficjalnych między Polską a Japonią oraz Roku Chopinowskiego. Katalog. Str. 245. Warszawa-Kraków 2000.

POZNAŃSKI (Kazimierz). *Wielki przekręt*. Kłeska polskich reform. Str. 154. Towarzystwo Wydawnicze i Literackie, Warszawa 2000.

*Przedsiębiorstwo przyszłości*. Praca zbiorowa pod redakcją Wiesława M. Grudzewskiego i Ireny K. Hejduk. Str. 354. Difin, Warszawa 2000.

PRZYŁUSKI (Bronisław). *Strofy o malarstwie*. Str. 49. Biblioteka Uniwersytecka, Toruń 2000.

SIEMASZKO (Zbigniew S.). *Zaplece i młodość*. Str. 455. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 2000.

SKARGA (Barbara). *O filozofię bać się nie musimy*. Szkice z różnych lat. Str. 337. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1999.

SKARGA (Barbara). *Po wyzwoleniu... (1944-1956)*. Str. 302.

- Fundacja Aletheia, Warszawa 2000.
- SZPORLUK (Roman). *Russia, Ukraine, and the Breakup of the Soviet Union*. Str. 437. Hoover Institution Press, Stanford University, 2000.
- TRUBNIKOW (Borys). *Wielki leksykon broni i uzbrojenia*. Przełożyli Olga Makarowska i Andrzej Sitarski. Str. 518. Wydawnictwo Kurpisz, Poznań 2000.
- TYSUKIEWICZ (Jan). *Arystokrata bez krawata*. Str. 286. Świat Książki, Warszawa 2000.
- WALCZEWSKA (Sławomira). *Damy, rycerze i feministki*. Kobiety dyskurs emancypacyjny w Polsce. Str. 206. Wydawnictwo eFKA, Kraków 2000.
- WALICKI (Andrzej). *Polskie zmagania z wolnością*. Str. 470. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2000.
- WEKSLER-WASZKINEL (Romuald Jakub). *Błogosławiony Bóg Izraela*. Str. 277. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 2000.
- WEŁNA (Matylda). *Krajobrazy serca*. Str. 153. Wydawnictwo MULLETUCO, Lublin 2000.
- WILDSTEIN (Bronisław). *Profile wieku*. Str. 237. POLITEJA, Warszawa 2000.
- Zbigniew Herbert. *Epilog burzy*. Katalog wystawy. Str. 27. Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, Warszawa 2000.
- ŻELEŃSKI (Władysław), CITKO (Henryk). *Wykaz poległych żołnierzy polskich jednostek wojskowych we Francji w 1940 roku*. Str. 103. Paryż-Warszawa 2000.

## POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

20.06.

W Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich w Warszawie, z udziałem ambasady szwedzkiej, odbyło się spotkanie z wybitnym poetą szwedzkim Tomaszem Tranströmerem. Zebranie prowadzili Tomasz Jastrun i Leszek Szaruga.

1.07.

Na VI Posiedzeniu Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego wysunięto projekt połączenia Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie z Wyższą Szkołą Języków Obcych i Ekonomii w Częstochowie i utworzenia uczelni prywatnej o nazwie Polonijny Uniwersytet w Częstochowie z filią w Londynie. Na szczęście ten niepoważny projekt nie został przyjęty, bo obie instytucje razem wzięte nie spełniają żadnego warunku dla powołania takiego uniwersytetu.

15.07.

Z okazji 80-tych urodzin, prof. Bohdan Osadczuk otrzymał medal Uniwersytetu Warszawskiego. Również prezydent miasta Warszawy Paweł Piskorski wręczył mu medal „IV Wieków Stołeczności Warszawy”.

## ZACHÓD

12.06.

W Tel-Awiwie odbyło się oficjalne otwarcie Instytutu Polskiego. Dyrektorem została p. Agnieszka Maciejowska, która wygłosiła w języku hebrajskim i polskim przemówienie podkreślające znaczenie tej nowej polskiej placówki.

1.07.

W Niemczech ukazał się pierwszy tom „Szkiców piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego, nakładem hamburskiej oficyny ROSPO Verlag, w tłumaczeniu Martina Pollacka. Drugi tom niemieckiego wydania ukaże się w roku przyszyłym. Uprzednio „Szkice piórkiem” wydało we Francji wydawnictwo Noir sur Blanc w przekładzie Laurence Dyevre.

13.07.

Zmarł w Waszyngtonie w wieku 86 lat Jan Karski, bohaterski wysłannik Podziemia, który pierwszy zaalarmował Zachód o holocaustę. Niestety, ani prezydent Roosevelt, ani Churchill, ani organizacje żydowskie nie zostały przekonane o ścisłości jego relacji. Po wojnie Jan Karski pozostał w Stanach Zjednoczonych

i wykładał w Georgetown University. W 1988 Instytut Yad Vashem w Jerozolimie wysunął jego kandydaturę do Pokojowej Nagrody Nobla. Obszerniejsze wspomnienie o Janie Karskim zamieścimy w następnym numerze.

12.08.

Zmarł w Waszyngtonie w wieku 95 lat Włodzimierz Bączkowski. Przed wojną redagował w Warszawie *Biuletyn Polsko-Ukraiński*. Do wojny ukazało się 289 numerów. Był autorem kilku książek, które wzbudziły duże zainteresowanie: „U źródeł upadku i wielkości” (1936) oraz „Grunwald czy Pilawce” (1938). Ponadto Bączkowski zajmował się ruchem prometejskim, który to ruch skupiał emigracje narodów kaukaskich i środkowoazjatyckich. ■ W Londynie obchodzone uroczyste 95-lecie urodzin Tymona Terleckiego.

14.08.

Zmarła w Santa Monica (Kalifornia) w wieku 81 lat Lidia ze Steinhausów-Kott, człowiek wielkiego serca, żona znanego pisarza Jana Kotta.

18.08.

Został otwarty XIX Uniwersytet Letni Towarzystwa Francusko-Polskiego z udziałem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. W czasie 6-dniowej sesji wygłoszono szereg interesujących wykładów, m.in. – Jean-Bernard Raimond: „Francja-Polska i przyszłość Europy”, dr Adolphe Lesur: „Przyjaźń francusko-polska poprzez wieki”, Isabelle Renaud: „Wizyta gen. de Gaulle’a w Polsce 6-12 września 1967 r.”, prof. Sylvère Monod: „Józef Conrad, wielki pisarz angielski urodzony w Polsce”, gen. Ives Faury: „Józef Piłsudski: wydarzenia w maju 1926.”, Jean Georges Guillard: „Norblin, malarz osiemnastego wieku”.

19.08.

Zmarł w Paryżu w wieku 79 lat Jerzy Mond. Działacz AK. Za udział w Powstaniu Warszawskim otrzymał Krzyż Walecznych. Sekretarz generalny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w 1956 r. Po wyjeździe na Zachód wykładał na Sorbonie w Institut Français de Presse oraz pracował w CNRS. W latach 1979-1989 był sekretarzem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu.

## Listy do Redakcji

Monachium, 13.08.2000 r.

Do Redakcji *Kultury*,

O *Kulturze* – smutne zjawisko! Te wspaniałe teksty, które trafiają w sedno spraw życia w Polsce, nie są dostępne czytelnikowi, a jeżeli, to b. mały odsetek osób czyta *Kulturę*. „Niewidzialna ręka” to określenie robi zawrotną karierę w Polsce. W EMPiK-u w Polsce *Kultura* nie uświadczysz! Na Nowym Świecie w W-wie *Kultura* leży, jeżeli leży, gdzieś w ciemnym kąciuku, przy tym b. często zmienia się miejsce, ażeby odzwyczaiać czytelników od miesięcznika. Co zaradniejsi czytelnicy, znający już niechęć sprzedawcy, osiągną swoje. Nie zdarzyło mi się bez oporów uzyskać *Kulturę*, zawsze z zaplecza z trudnościami z zapytaniem, dziewczynki niechętnie natrętnym czytelnikom przynoszą.

*Kultura* niechętnie widziana jest w kraju, jest spychana na zaplecze. Po prostu dlatego, że w *Kulturze* ukazują się b. trafne teksty, co niektórych piecze twarz, jeśli ją mają. Nie sądzę, żeby było jej zbyt mało, lub czy może 12 zł jest na kieszeń Polaka zbyt dużo. Nie potrafię tego ocenić, widzę, że młodzi nie sięgają po *Kulturę* a szkoda, że tak mało znana jest „*Kultura* Paryska w Polsce”.

Z poważaniem

Adam CHODAKOWSKI

Bremgarten, 2.07.2000

Szanowny Panie Redaktorze,

W krytycznym artykule *Kultura* Nr 4/631 Pana Pospieszalskiego o książce J.R. Quinna „O reformę papieżstwa”, dostrzegłem nieścisłość dotyczącą wzmianki o Szwajcarii. Prawdopodobnie chodzi

o biskupa Maas a nie Heim jak wydrukowano, który został przeniesiony z Chur do Lichtensteinu. Biskup ten nie był popularny wśród wiernych, ani nie miał dobrej prasy. Przykładowo w TV wygrzebano jakiś dokument sygnowany przez niego nieposiadającym tytułem doktorskim. Jak mi wiadomo, po nominacji w Lichtensteinie były też objawy niezadowolonia.

Łączę pozdrowienia

Ryszard CUKIERNIK

10 lipca 2000

Szanowny Panie Redaktorze,

(...) Nadzwyczajna Komisja Sejmowa do Spraw Reprywatyzacji, pod przewodnictwem posła Tomasza Wójcika, złożona z 30 członków reprezentujących różne ugrupowania partyjne, już od blisko roku obraduje nad rządowym projektem USTAWY REPRYWATYZACYJNEJ. Z dotychczasowych „osiągnięć” Komisji należy odnotować uchwaloną w styczniu br. poprawkę wykluczającą wszystkich obywateli polskich zamieszkałych zagranicą przez ostatnie pięć lat od możliwości złożenia jakichkolwiek roszczeń własnościowych, oraz obniżenie wartości zwrotu zagarniętych przez Państwo nieruchomości do 40%, minus podatek spadkowy. Polski Związek Ziemiaków, których członkowie w olbrzymiej większości znaleźli się poza granicami Kraju na skutek działań wojennych, protestują przeciw tak haniebnemu potraktowaniu ich zasług poniesionych w obronie ujarzmionej Ojczyzny, której starali się służyć.

Za Zarząd Polskiego Związku Ziemiaków w Stanach  
Zjednoczonych,

Józef Edward Kleszczyński – Delegat

30 lipca 2000

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł Andrzeja Koraszewskiego (*Kultura* 6/633) dotknął bardzo poważnego problemu w RP. Ze swej strony chcę opisać wydarzenie, które dobrze ilustruje to zjawisko.

Rok temu współorganizowałem konferencję hydrologiczną w Brisbane „Water 99”. Wysoko usytuowany pracownik Instytutu

Meteorologii i Gospodarki Wodnej w Warszawie przysłał mi wiadomość, że kilku pracowników tej instytucji chciałoby wziąć udział w tej konferencji i prosił o przedłużenie terminu nadsyłania referatów, ponieważ dowiedzieli się o tej konferencji tuż przed ostatecznym terminem nadsyłania prac. Na moją prośbę, komitet organizacyjny przedłużył termin o dwa tygodnie. Istotnie, w tym terminie otrzymaliśmy referaty z IMGW. Zostały one jednak odrzucone, ze względu na bardzo zły poziom języka angielskiego (po prostu referaty były niezrozumiałe). Mimo to, pięciu przedstawicieli IMGW przyjechało do Brisbane (w tym co najmniej dwóch profesorów). Na konferencji nie pojawili się ani razu (choć się zarejestrowali). Można jedynie domniemywać, że zwiedzali okolice mojego miasta, które są turystycznie atrakcyjne.

Wg moich szacunków panowie ci wydali A\$ 20-30 tysięcy (w zależności czy lecieli klasą ekonomiczną czy też *business*) z kasy IMGW czyli podatnika.

Sprawa nabrała rozgłosu w moim środowisku z dwóch powodów:

prośby o przesunięcie terminu nadsyłania prac;

prośby mojego przyjaciela prof. Jana Oleszkiewicza z Kanady, który propagował organizowaną przez niego konferencję w Krakowie „Woda 2000”. Ulotki krakowskiej konferencji zostały umieszczone w teczkach ofiarowanych uczestnikom „mojego” zjazdu.

Tuż po konferencji kilka osób zapytało mnie z ironią czy organizatorzy konferencji krakowskiej będą tak samo widoczni jak byli widoczni przedstawiciele IMGW w Brisbane. Jestem przekonany, że ta turystyczna eskapada kosztowała podatnika RP również utratę wpływów z uczestnictwa Australijczyków w krakowskiej konferencji (nie mówiąc już o tym, że ja sam wyszedłem na durnia).

Cały epizod jest klasycznym przykładem braku etyki urzędników państwowych. Przecież, ktoś z władz musiał wyrazić zgodę na ten wyjazd. Jest dla mnie niewyobrażalne, żeby panowie ci nie złożyli sprawozdania z konferencji po powrocie, a jeżeli tak, to musieli po prostu kłamać w tym sprawozdaniu.

Będę Panu wdzięczny za umieszczenie mego listu w *Kulturze*

Pozostaje z szacunkiem

Wojciech POPLAWSKI

21 sierpnia 2000

Szanowny Panie Redaktorze,

W swym felietonie pt. „Kartki ze skażonej strefy”, Pani Ewa Berberysz wspomina na str. 101 Zalew Zegrzyński przy ujściu Buga-Narwi. Niestety, w treści artykułu tkwi spore bałamuctwo

chronologiczne dotyczące roku powstania Zalewu („Dzięki ci, Gierku!”).

Panią Ewę w oczywisty sposób zawodzi pamięć, bo Zalew Zegrzyński nie powstał w okresie gierkowskim, lecz znacznie wcześniej. Napelnianie zbiornika wodą miało miejsce w roku 1961, czyli jej okrzyki powinny raczej brzmieć: „Dzięki ci, Gomułko!”. Projekt zbiornika zegrzyńskiego pochodzi jednak z lat jeszcze wcześniejszych, przedgomułkowskich. Prace geotechniczne na terenach mających być dnem zbiornika miały miejsce we wczesnych latach pięćdziesiątych (może więc raczej pasowałoby: „Dzięki ci, Bierucie, albo Ochabie?”). Tak czy inaczej, w latach 1963-67 niemal w każdej pogodną niedzielę żeglowałem już po Zalewie.

Łączę pozdrowienia dla Pani Ewy

Andrzej SKUPIŃSKI

Kraków, 19 czerwca 2000.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z ukazującymi się ostatnio na łamach kierowanego przez Pana pisma artykułami i notatkami, a w szczególności w odniesieniu do zamieszczonego w nr 5/632 artykułu Michała Spandowskiego „Sprawa skradzionych starodruków”, pragnę wyjaśnić kilka kwestii:

1. Kradzież, której doświadczyła Biblioteka Jagiellońska, jest jedną z największych strat, jakie poniosła ona w swej historii. BJ jest w tej sprawie ofiarą, poszkodowanym. Kradzież jest czynem kryminalnym i śledztwo w tym względzie prowadzi policja pod nadzorem prokuratury. Społeczność BJ, jak i Uniwersytetu Jagiellońskiego bardzo boleśnie odczuwa poniesioną stratę, stąd trudno nam się pogodzić z niektórymi komentarzami, w tym również tymi zamieszczanymi na łamach *Kultury*.

2. Zabezpieczenie zbiorów BJ jest i było przedmiotem starań władz Uniwersytetu, czego dowodem jest zmierzająca powoli ku końcowi inwestycja, jaką jest budowa III skrzydła Biblioteki. Środki z tej rozbudowy pozwoliły sfinansować system zabezpieczeń w istniejącym budynku o wartości ponad 700 tys. zł. Budowa trwa od r. 1995.

3. Nie jest prawdą, że – jak pisze p. Spandowski – do września 1999 r. nic się w kwestii kradzieży nie działo, a całą sprawę „dyrekcja BJ usiłowała zachować w tajemnicy”. Kradzież zgłoszona została policji następnego ranka po jej wykryciu, bowiem prace nad wstępnym ustaleniem strat poniesionych wśród najcenniejszych starodruków trwały do późnego wieczora.

Od tej chwili aż do dnia dzisiejszego o każdym istotnym szcze-

góle mającym związek ze sprawą jest i będzie informowana policja i prokuratura. Faktu kradzieży nie mogliśmy podać od razu do publicznej wiadomości choćby dlatego, iż skontrum zarządzane we wszystkich oddziałach zbiorów specjalnych objęło masę zbiorów. Już w maju natomiast o stracie najcenniejszych starodruków poinformowaliśmy antykwariuszy oraz Dyрекcję Biblioteki Narodowej. Skontaktowano się również z p. Michałem Spandowskim, który jest cenionym i powszechnie szanowanym specjalistą w zakresie inkunabulistyki. Spodziewaliśmy się, iż będzie on nam rzeczywiście pomocny w chwili, kiedy zbiory wypłyną. Przekazana antykwariuszom wstępna lista strat doprowadziła faktycznie do tego, że w końcu czerwca sprawa kradzieży w Bibliotece Jagiellońskiej dotarła do opinii publicznej jeszcze przed zakończeniem skontrum.

4. Fakt wypłynięcia dzieł w Königstein odkryła nie *Gazeta Wyborcza*, jak to wynika z treści artykułu M. Spandowskiego, ale Janusz Pawlak, krakowski antykwariusz. Biblioteka Jagiellońska dowiedziała się o tym 18 sierpnia 1999 r. O fakcie tym niezwłocznie powiadomiłem prokuraturę, która podjęła stosowne działania.

5. W związku z przeciągającymi się formalnościami związanymi z oficjalnym wyjazdem do Niemiec ekipy składającej się z przedstawicieli prokuratury i policji oraz biegłych, w ciągu miesiąca września władze Uniwersytetu Jagiellońskiego przygotowały wstępny wyjazd dwóch specjalistów – prof. Stanisława Szczura i prof. Jana Pirożyńskiego – do Königstein. Działania te były koordynowane z postępowaniem prokuratury i w efekcie wspomniani specjaliści pojechali do Niemiec jako biegli Prokuratury Krakowskiej. Nie jest więc prawdą, że gdyby panowie Kalicki i Spandowski nie pojechali do Königstein na zlecenie *Gazety Wyborczej*, to nikt by tam z Krakowa nie pojechał i książki skradzione w Bibliotece Jagiellońskiej zostałyby sprzedane na aukcji.

6. Inkryminowany przez p. Spandowskiego wspólny list Prokuratury i Dyrekcji BJ z dn. 16 października 1999 r. wiązał się z faktem zakończenia skontrum i dotyczył przede wszystkim tego wydarzenia. Problem krytyki działań *Gazety Wyborczej* pojawił się w sytuacji, w której opublikowane, skądinąd bardzo cenne zdjęcia p. Lucyny Szaniawskiej zawierały istotne wady techniczne (np. widoczna na jednym z nich rysa, nie mająca nic wspólnego z rzeczywistym stanem obiektu). Mogło to utrudnić identyfikację dzieł i wprowadzić pewne zamieszanie. Z tej racji nasze obawy budziło publikowanie fotografii dowodów rzeczowych w mediach.

7. Mój od dawna zaplanowany wyjazd do Stanów Zjednoczonych, o który starania podjąłem w 1998 r. i którego plany sfinalizowały się na wiosnę 1999 r. odbył się za wiedzą i akceptacją władz Uniwersytetu. O zamiarze wyjazdu informowałem również prokuraturę. Pobyt w USA miał charakter naukowy i wiązał się z faktem, iż niezależnie od funkcji dyrektora BJ jestem także pracownikiem naukowym Instytutu Historii UJ. W każdej chwili byłem gotów wrócić do kraju na wezwanie władz Uniwersytetu czy Prokuratury, co też miało miejsce na jesieni ubiegłego roku, w związku z zakończeniem skontrum.



Byłbym wdzięczny za zamieszczenie tych kilku uwag na łamach *Kultury*. Korzystając z tej smutnej okazji pragnę równocześnie raz jeszcze podziękować Panu Redaktorowi za okazywaną Bibliotece Jagiellońskiej pomoc w przeszłości oraz za przesyłanie nam paryskiej *Kultury* w czasach, gdy dostęp do niej w Polsce był bardzo utrudniony.

Z wyrazami szacunku

dr hab. Krzysztof ZAMORSKI

#### KILKA UWAG DO LISTU DYREKTORA BIBLIOTEKI JAGIELLOŃSKIEJ DR. HAB. KRZYSZTOFA ZAMORSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze,

dziękując bardzo za udostępnienie mi przed publikacją treści listu dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej, pana Krzysztofa Zamorskiego, pozwalam sobie przesłać kilka uwag i wyjaśnień związanych z całą sprawą. Dla ułatwienia będę się trzymał kolejności tematów przyjętej w liście dyrektora BJ.

1. Kradzież w Bibliotece Jagiellońskiej nie jest stratą tylko dla tej instytucji. Biblioteka Jagiellońska jest (a raczej do niedawna była) jedyną z wielkich historycznych polskich księżnic, która nigdy w swych dziejach nie była rabowana, plądrowana, palona; nawet w czasie II wojny światowej Jagiellonka – w odróżnieniu do niemal wszystkich pozostałych polskich bibliotek – straty poniosła minimalne. Dlatego też wszyscy Polacy mieli prawo oczekiwać, że te akurat zbiory będą szczególnie pilnie strzeżone, co – jak wiadomo – nie miało miejsca. Przedstawianie więc Jagiellonki w tej sprawie jako wyłącznie ofiary jest moim zdaniem tendencyjne i nie do obronienia na poziomie konkretów.

2. Cieszę się, że obecnie w Bibliotece Jagiellońskiej wprowadza się system zabezpieczeń. Sformułowanie jednak, że zabezpieczenie zbiorów nie tylko jest, ale także „było przedmiotem starań władz Uniwersytetu” jest wysoce dyskusyjne, jeśli zważyć okoliczności dokonanej kradzieży.

3. Moje sformułowanie „nic istotnego się w tej sprawie nie działo” nie miało oznaczać, iż Jagiellonka nie powiadomiła policji, a ta siedziała w tej sprawie z założonymi rękami – czynności dokonane przez obie te instytucje, a opisane przez pana dyrektora, to zachowania tak elementarne, że zrozumiałe samo przez się, tak jak np. zamykanie biblioteki na noc. Miałem natomiast na myśli, że poza działaniami rutynowymi nic innego nie miało miejsca. Co do

zachowania sprawy w tajemnicy: kiedy (z przyczyn, które omówiłem w swym artykule) powiadomiono mnie o owej kradzieży, zobowiązano mnie zarazem do zachowania tej wiadomości w ścisłej tajemnicy na życzenie, jak zrozumiałem, Biblioteki Jagiellońskiej. Pasowało to do faktu, że pogłoski o kradzieży dotarły do mnie dużo wcześniej, niż oficjalny komunikat.

4. Nie twierdziłem w swym artykule, że to *Gazeta Wyborcza* odkryła skradzione książki u pana Reissa – napisałem jedynie, że do mnie *Gazeta* zwróciła się z tą sprawą, a to zupełnie co innego. Pora tu chyba podkreślić, że mój artykuł nie był i nie miał być całościowym omówieniem afery – opisywałem tylko swój stosunkowo niewielki w niej udział i to, co się bezpośrednio z nim wiązało, albo co było niezbędne dla przejrzystości tekstu. Sam nie miałem w tej sprawie żadnych kontaktów z panem Januszem Pawlakiem, stąd też nic o nim nie pisałem. Natomiast fundamentalną jego rolę w całej historii kilkakrotnie podkreślała *Gazeta Wyborcza* czy to publikując rzeczowy i dobrze informujący o całej materii list pana Janusza Pawlaka (20 X – gdzie, nawiasem mówiąc, pan Pawlak żali się, że kompletniejszą listę strat BJ dostał właśnie z *Gazety*, bo nie mógł się jej doprosić w Jagiellonce – więc jak to było z tym powiadomieniem antykwariatów, panie dyrektorze?) czy to we własnych publikacjach (np. 26 XI).

5. Teraz kluczowa sprawa: czy nasz (Kalickiego i mój) wyjazd miał znaczenie dla dalszego przebiegu wypadków czy nie. Dyrektor BJ twierdzi, że nie. Z tego, co mi wiadomo, sprawa nie jest taka prosta. Z listu pana Krzysztofa Zamorskiego wynika, iż powiadomiono prokuraturę o „sprawie Reissa” 18 sierpnia. Ale – co potwierdza również cytowany wyżej list pana Pawlaka – prokuratura wcale nie była skora do oficjalnego występowania w tej sprawie. Czemu? – To wiem nieoficjalnie: i koszty, i możliwość blamażu – bo w końcu o książkach u Reissa wiadomo było tylko, że są bibliograficznie identyczne ze stratami BJ, a to bardzo mało (dlatego też prokuratura szukała szczegółowszych informacji m. in. u mnie, o czym pisałem w swym artykule). Tak więc przez półtora miesiąca prokuratura nie występuje z żadną oficjalną inicjatywą, a potem, 1 października w kilka godzin po ukazaniu się w *Wyborczej* opisu książek, jakie widzieliśmy u Reissa, w trybie nagłym zwołuje konferencję prasową i informuje, że wkrótce podjęte zostaną formalne kroki. Zbieg okoliczności? Wolne żarty, panie dyrektorze...

6. We wspólnym liście prokuratury i dyrekcji BJ z 16 X w ogóle nie ma mowy o zdjęciach pani Lucyny Szaniawskiej, marginalnie – ale za to zdecydowanie nieżyczliwie – wspomniano tylko (bez nazwisk) Kalickiego i mnie. I właśnie o tę nieżyczliwość miałem żal. Można było w ogóle o naszym wyjeździe nie wspominać, ale jeśli już, to – uważałem i nadal uważam – raczej należało powiedzieć „dziękujemy”. Tak samo można było podziękować pani Szaniawskiej, której zdjęcia przesądziły sprawę identyfikacji owego Ptolemeusza (oprócz felernej fotografii z rysą, o której pisze Pan Dyrektor, było sześć innych, niezastąpionych w sytuacji, gdy macierzysta biblioteka nie miała nawet mikrofilmu z druku o takiej wartości).

Na zakończenie jeszcze jedno. Szkoda, że pan dyrektor Krzysztof Zamorski korzystając z okazji, jaką jest pisanie o sprawie owej kradzieży do redakcji *Kultury* nie dodał kilku zdań informujących o tym, co się dzieje aktualnie: czy książki – choćby jako depozyt – wróciły? Co się dzieje w sferze prawnej? Jakie są perspektywy? Myślę, że to by bardzo zainteresowało nie tylko mnie, ale i wszystkich czytelników *Kultury*.

Z poważaniem

Michał SPANDOWSKI

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3<sup>ème</sup> trimestre 2000.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:  
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskiej obl.,  
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

e-mail: [kultura@club-internet.fr](mailto:kultura@club-internet.fr)

## PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-rocznia      roczna

### Ceny na rok 2000

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: W. Luterek (adres w Szwecji). Konto w BG-Bank A/S nr1-686-7179	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru – F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (z Francji)  
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (z zagranicy)

## Nowości wydawnicze

### BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSLAW A. SUPRUNIUK

### **BIBLIOGRAFIA**

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 511 – ZESZYTY HISTORYCZNE

### **ZESZYT**

### **STO TRZYDZIESIETY DRUGI**

zawiera opracowania: A. Strońska: *Litwo, ojczyzna Wasza*; Grzegorz Mazur: *Kontakty polsko-jugosłowiańskie w czasie II wojny światowej*; *Jaka Polska? – Przestanie „Kultury”*; *Fragmenty wspomnień N.S. Chruszczowa*; R. Pichoja: *Dwie solidarności: socjalistyczna i polska*; J.J. Milewski: *Biuletyn historii pogranicza*; M.K. Dziewanowski: *Obraz pokolenia*; W. Sznarbachowski: *„Dzienniczek” błogostawionej Faustyny Kowalskiej*; M. Patelski: *Ochotnicy amerykańscy w wojnie polsko-bolszewickiej. Z działalności dyplomatycznej gen. Tadeusza Jordan Rozwadowskiego*; *Relacja Bogusława Miedzińskiego z wydarzeń majowych 1926 r.*; oraz obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

**Cena 55 F**